tygodnik społeczno-kulturalny

odgłosy

Łódź

NR 22 (1121) ROK XXII 3 CZERWCA 1979 R. CENA 3 zł

SAME O SOBIE (I O NAS)

— *Jak się wam podoba Międzynarodowy Rok Dziecka? Czy rzeczywiście w tym roku jest inaczej niż było w poprzednich?*

MAŁGOSIA: — Jest jakby weselej.

IZA: — Mama, tata, i pani w szkole są dla nas jakby milsi.

TOMEK: — I robią nam różne imprezy na wolnym powietrzu.

TOMEK: — Bardzo ważne.

— *Ale dlaczego?*

ROBERT: — Bo wtedy nie pada deszcz, a jak pada deszcz, to jest ponuro. Nie ma co robić.

MAJA: — Jak jest nasz rok, to zawsze powinno świecić słońce, żeby nie było ponuro.

— *Czy tylko wtedy jest ponuro, kiedy nie świeci słońce?*

IZA: — Ponuro jest też, kiedy dziecko idzie ulicą i jest brudne, albo gorzej ubrane, a dorośli się śmieją i mówią do siebie: patrz, jakie to dziecko zaniedbane, źle wychowane, a dziecko to słyszy i jest mu przykro.

— *A czego jeszcze chciałybyście w waszym roku?*

PAULINA: — Dużo wycieczek i żeby często był dobry deser.

MAJA: — Żebyśmy się wszyscy śmiali i byli weseli.

ROBERT: — Żeby do kina, zoo i do lunaparku puszczali dzieci bez biletu.

JOASIA: — I żeby rodzice nie krzyczeli na kolegów, nie straszyli biciem, tylko z nami rozmawiali.

— *A co byście chciały dostać na Dzień Dziecka?*

TOMEK: — Ja to bym chciał pieska, ale muszę opiekować się młodszym bratem i nie dostanę pieska, bo kto by się bratem zajmowaał.

MAŁGOSIA: — Pieska i teczkę, którą mama mi już raz obiecała.

KASIA: — Pójść z tatą do lunaparku i do kina.

PAULINA: — Chciałabym dostać rower.

MAJA: — Chciałabym pojechać w góry na wycieczkę, bo nigdy w górach nie byłam.

ROBERT: — Chciałbym pieska, ale mieszkamy w starym budownictwie i rodzice się nie zgadzają, mówią, że nie ma na to warunków.

MAREK: — Ja, jak Paulina, chciałbym rower i za darmo pójść do kina.

JOASIA: — A ja chciałabym żółwia.

IZA: — Ja też zwierzątko, mógłby być piesek. Miałabym się z kim bawić, kiedy jestem sama w domu, ale mama się nie zgodzi, bo mam dużo innych obowiązków, chodzę jeszcze do szkoły muzycznej.

— *Uważacie, że Dzień Dziecka jest potrzebny?*

PAULINA: — Bardzo.

MAREK: — Trzy razy w roku mógłby być taki dzień.

ROBERT: — Dzieci muszą mieć przynajmniej jeden dzień w roku tylko dla siebie.

— *Kiedy chodziłyście do przedszkola, to miałyście więcej czasu dla siebie.*

ROBERT: — Ale w szkole jest lepiej.

— *Nie podobało się wam w przedszkolu?*

TOMEK: — Najgorsze było leżakowanie.

MAREK: — Zamiast leżakować, dzieci powinny się bawić na dworze.

IZA: — Mogłoby być leżakowanie, ale żeby pani bajki opowiadała.

JOASIA: — Albo żeby było można słuchać radia.

PAULINA: — Ale inne dzieci chcą spać.

ROBERT: — Ja zawsze udawałem, że śpię.

Dalszy ciąg na str. 7

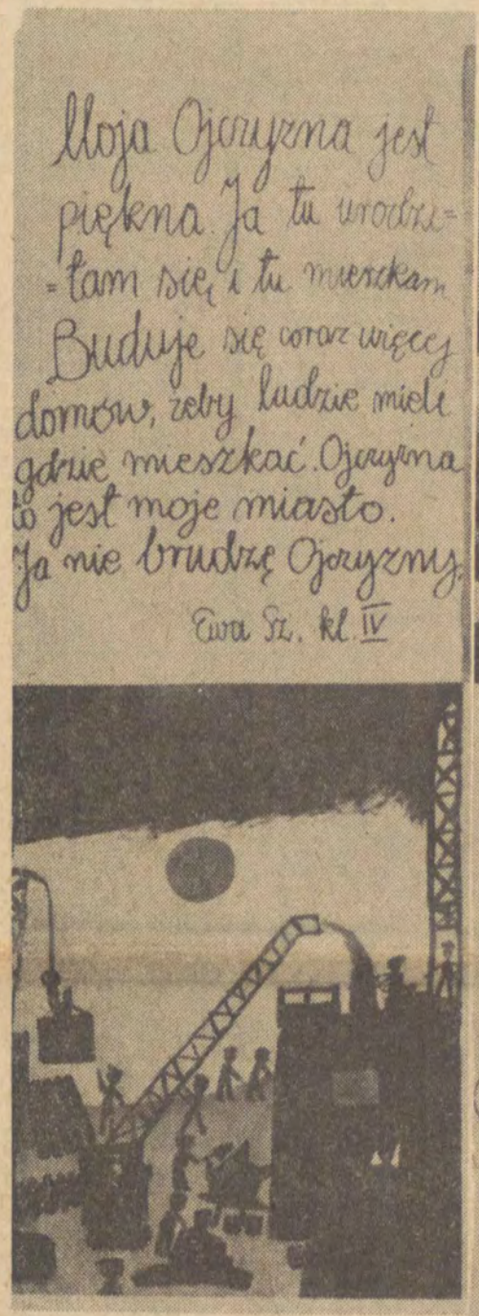

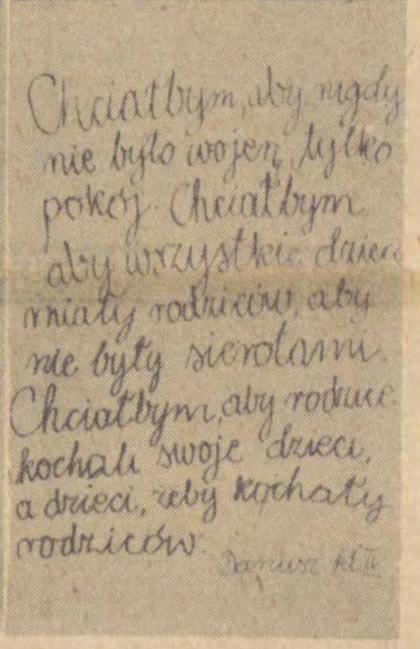

Foto: R. Łucyszyn

W NUMERZE:

Złota seria

Następnego dnia obudziła go żona wracająca od rodziny i oczywiście od razu urządziła mu awanturę. Nie za pijaństwo bynajmniej, bo akurat była niedziela i inżynier miał dosyć czasu, by wyleczyć piętrowego kaca przed pójściem do pracy, ale za to, że w butach polazł w czyściutką pościel, tratując niemiłosiernie bieliznę.

Historia pisana obiektywem

Aby uchwycić zbliżenie, wpakowałem się pomiędzy dwie lokomotywy, które wpadły na siebie ukosem i nagle runęła na mnie boczna pokrywa żelazna, taka osłona, która ma chronić parowóz przed wiatrem. Nikt tego nie widział, więc leżałem pod nią czekając na śmierć, bo o tym, żeby się stamtąd wydostać samemu, nie mogło być nawet mowy.

Przybysze z kosmosu?

Na odcinku od Missisipi, ponad Luizjaną, Teksasem, aż do Oklahomy RB-47H towarzyszył mu niezidentyfikowany obiekt o znamionach latających spodków. Nad Teksasem, na zachód od Dallas, samolot amerykański zbliżył się do tego obiektu na odległość około 10 kilometrów i minął go.

PONADTO:

Listy dzieci do Pana Boga ■ Dziewczyny kochajcie mistrza ■ Szansa dla małych ■ Załącznik ■ Felietony ■ Recenzje 16 stron!

W NASTĘPNYCH NUMERACH:

■ Pożar w „Bistonie”
■ Z łopatą do wagonu
■ Paganini szalbierstwa
■ Spotkanie w hotelu „Hessischer Hof”
■ Dialog biednych i bogatych
■ Żywot nieosobliwy
■ Świat w Łodzi, Łódź w świecie

WITOLD NAWROCKI

Proza polska lat siedemdziesiątych

Referat wygłoszony podczas sesji literackiej „Obraz Polski lat siedemdziesiątych w prozie” która odbyła się 17 maja br. w ramach Dni Literatury w Łodzi.

1.

Nie ulega wątpliwości, iż zasadniczym kierunkiem przemian we współczesnej kulturze literackiej jest nadal tendencja do zróżnicowania stylowego, do dyferencjacji sposobów kreowania świata przedstawionego oraz działających w nim bohaterów, do odmiany ich światopoglądowego wyposażenia, a co za tym idzie — do rozmaitego pojmowania świata. Co jest szczególnie widoczne na obszarze prozy, bo ona właśnie, a nie poezja — lektura prawie że elitarna i nie dramat — nawet nie pretendujący do odegrania wybitniejszej roli w kształtowaniu świadomości literatury, istniejący jakby na marginesie głównych nurtów współczesnego życia literackiego, decyduje o tempie i kierunku przeobrażeń, o naturze i mocy ideowego pobudzenia.

I — co jest raczej osobliwością właściwą tylko polskiemu życiu literackiemu — o jej artystycznym i ideowym charakterze, o katalogu jej zainteresowań i diagnoz stawianych światu i jednostce, decydują pisarze uformowani w poprzednich okresach kulturowych i formacjach społecznych. Oni tworzą nadal dzieła wybitne i nowatorskie charakteryzujące jakość i głębię współczesnych literackich dokonań. Oni decydują o tempie i głębi przepływu nowych idei artystycznych. Oni kategoryzują przenikliwie nasze doświadczenie i bilansują przemiany we współczesnej kulturze. Bez ich udziału literatura polska lat siedemdziesiątych pozbawiona byłaby dzieł o trwałych wartościach, znaczących i charakterystycznych. Przedłużająca się aktywność twórcza pisarzy uformowanych w okresie międzywojennym, w czasie wojny oraz w pierwszej połowie lat czterdziestych, równoważy niepokojąco długi okres inkubacji pokoleń literackich, które wstąpiły w życie twórcze po generacji „Współczesności”, ostatniej wspólnocie pokoleniowej, której start literacki zdeterminowany został względnie wyrazistymi okolicznościami historycznymi oraz względnie spójnym programem literackim. Cykl rozwojowy kolejnych generacji literackich, które wystąpiły w latach sześćdziesiątych trwa nadal i ciągle jeszcze nie zaznaczyły one swej obecności w kul-

Dalszy ciąg na str. 10

Kiedy na płowym błękicie zaczyna królować słońce, wszystko naraz staje się piękne: i ta cicha, rozległa, płaska ziemia, osnuta na horyzoncie delikatną mgiełką, i wracające do życia bujne, soczyste łąki, na których widać pierwsze pasące się krowy, i czarne bezlistne drzewa, jeszcze bez ptaków; ale wszędzie, gdzie byś się nie znalazł, nad przeschniętymi, starannie uprawionymi polami dzwonią radośnie skowronki. Wiosna...

Gmina Lututów, położona na południowo-zachodnich rubieżach województwa sieradzkiego, tuż przy granicy z Kaliskiem, przezimowała nieźle i o jakiejś klęsce żywiołowej nie mogło być mowy; oziminy przetrzymały się dobrze, zaorano znikomy procent, zalewy też niewielkie, przeto rolnicy sami uporali się z wodą, kopiąc rowki i szybko osuszając pola. Instruktor rolny, *Mieczysław Ignaczewski*, który właśnie przytaszczył dwie doniczki z kwiatami, bo gminna służba rolna mebluje się na potęgę w nowo zajętym budynku po szpitalu przy ulicy Złoczewskiej, stwierdza, że dziś (7 maja), ze względu na przewagę gleb lekkich, zboża jare praktycznie zostały wysiane na całym areale.

— Rolnicy twierdzą, że brakuje im nawozów azotowych.

— *No tak, z tym było trochę kłopotów, chociaż w najtrudniejszym okresie GS przywoziła nawozy własnym transportem. Ale u nas rolnicy są bardzo zapobiegliwi i operatywni. Na przykład zmawiają się we dwóch, w czterech, biorą dwie przyczepy z traktorem i przywożą to, co im brakuje, z gmin ościennych: z Klonowej, Białej i Złoczewa.*

Ignaczewski na chwilę zbacza z tematu, wdając się w rozważania na temat pracy gminnej służby rolnej. Uważa, zresztą nie bez racji, że pracownicy służby rolnej są ograniczeni w działaniu, i nie wiąże się to wyłącznie z brakiem środków lokomocji, dzięki którym mogliby szybko docierać do najbardziej odległych zakątków gminy, ale ze złą strukturą organizacyjną i rozszerzonym zakresem obowiązków. Ignaczewski prowadził ostatnio kurs na kwalifikowanego rolnika i teraz musi biegać po gminie, zbierać dokumenty i samemu wypisywać odpowiednie zaświadczenia. Trudno się wygrzebać z tych cholernych papierków.

— Czym więc mierzy się operatywność instruktora rolnego?

— *Najczęściej trzydniową akcją. Wtedy jest ruch, rwetes, bieganina, a potem wszystko siada i znowu te kochane papierki. Nie mam czasu się uczyć, a uczyć się muszę, bo jest coraz więcej młodych rolników, wykształconych specjalistów, którzy łatwo mnie zagną, jeśli nie będę siedział na bieżąco w najnowszych osiągnięciach agro- i zootechnicznych. Poza tym muszę mieć czas na dłuższe, życzliwe, rozważne rozmowy z rolnikami, ponieważ krzykiem, odgórnymi zarządzeniami i krótkim, służbowym komunikatem, niczego z chłopem nie załatwię. Je-*

RYSZARD BINKOWSKI

dziewczyny, kochajcie mistrza

Dalszy ciąg na str. 3

☆

Jubileusz 60-lecia obchodził Związek Zawodowy Pracowników Kultury i Sztuki. Z tej okazji w Muzeum Historii Miasta odbyła się uroczystość z udziałem przedstawicieli władz miasta i Związków Zawodowych. Pracownikom kultury życzenia w imieniu władz partyjnych i administracyjnych przekazała sekretarz KŁ PZPR Genowefa Adamczewska, podkreślając ich rolę w kształtowaniu współczesnego oblicza społeczeństwa. Honorową Odznaką m. Łodzi udekorowano 7 osób, natomiast Odznakę „Zasłużonego Działacza Kultury" — 6. Poza tym przyznano 4 Medale 60-lecia, odznaki „Zasłużony dla Związku" oraz listy okolicznościowe. Jubileuszowe uroczystości uświetniły dwa koncerty: orkiestry kameralnej POSM im. K. Wieniawskiego oraz z udziałem artystów łódzkich teatrów i filharmonii.

☆

21 maja rozpoczęły się w Szegedzie w woj. Csongrad na Węgrzech Dni Przyjaźni Polsko-Węgierskiej, które zainaugurował tydzień kultury województwa łódzkiego. Otworzyła go wystawa fotogramów Andrzeja Wacha, obrazujących dorobek Łodzi w 35-leciu PRL. W wernisażu udział wzięła delegacja władz miasta z sekretarzem KŁ PZPR Genowefą Adamczewską i wiceprezydentem Janem Morawcem. W programie „Łódzkiego Tygodnia" znajdują się m. in. wystawa współczesnego łódzkiego malarstwa grafiki i plakatu, festiwal polskich filmów, kiermasz wyrobów sztuki ludowej, występy Teatru Lalek „Arlekin" i Zespołu Pieśni i Tańca ZPB im. Marchlewskiego oraz liczne spotkania środowiskowe. W Szegedzie odbył się również masowy wiec przyjaźni polsko-węgierskiej, który stał się okazją do zamanifestowania przyjacielskich uczuć łączących oba miasta i oba narody.

☆

Łódzki pisarz Igor Sikirycki, znalazł się w gronie laureatów nagród olsztyńskiego czasopisma „Warmia i Mazury". Gratulując nagrodzonemu artyście, od wielu lat związanemu z tym regionem, przypominamy, że laureatami (przyznanych w tym roku już po raz ósmy nagród tego miesięcznika) byli w latach ubiegłych m. in. pisarze: Maria Zientara-Malewska, Aleksander Rymkiewicz i Jerzy Putrament.

KRONIKA KULTURALNA

☆

Grupa łodzian znalazła się wśród laureatów IV Biennale Sztuki dla Dziecka, które 9 maja zakończyło się w Poznaniu. Państwowy Teatr Lalek „Arlekin" uzyskał nagrodę honorową — „Srebrne Koziołki" za przedstawienie sztuki „Pieśń o lisie" J. W. Goethego. Jednocześnie Nagrody Główne otrzymali twórcy tego widowiska: W. Wieczorkiewicz (reżyseria), Z. Strzelecki (scenografia) i Zdz. Owsik (rola Lisa). Przyznano też dwa wyróżnienia aktorskie: M. Gryglasowi (rola Wilka) i W. P. Sitce (rola Gawrona).

Na liście laureatów znalazł się również łódzki Teatr Powszechny, któremu przyznano dwa wyróżnienia: Nagrodę Specjalną dla aktora B. Wrocławskiego (rola Pinokia w „Historii o sosnowym pieńku") i wyróżnienie za reżyserię — dla Z. Dąbrowskiego.

Natomiast podczas ogólnopolskiego festiwalu filmów dla dzieci i młodzieży „Brązowym Koziołkiem" nagrodzono film łódzkiego twórcy E. Sturlisa („Ręce i nogi"). Wojciech Fiwek za film „Pogrzeb świerszcza" otrzymał drugą nagrodę i „Srebrne Koziołki" w dziedzinie filmów fabularnych. Dwie równorzędne trzecie nagrody przyznano: reż. J. Żukowskiej i operatorowi J. Żukowskiemu za film „Kolorowe piórka". Filmy te powstały w łódzkich wytwórniach.

☆

Na ogólnopolskiej wystawie malarstwa „Dziecko" jedną z głównych nagród otrzymał artysta łódzki — Ryszard Popow, a wyróżnienie honorowe — Józef Skrobiński. Natomiast w konkursie na plakat z okazji „Polonijnych spotkań z piosenką" I i III nagrodę zdobył także łodzianin — Zbigniew Nitek.

Z okazji 50-lecia pracy twórczej dwaj zasłużeni łódzcy artyści — Geza Rozmus i Lucjan Kintopf otrzymali niedawno listy gratulacyjne od ministra kultury i sztuki Z. Najdowskiego — z jednoczesnym podziękowaniem za twórczy wkład w rozwój kultury narodowej.

☆

Dzięki natychmiastowej akcji jednostek Ochotniczych Straży Pożarnych w Rawie Mazowieckiej uratowany został jeden z najcenniejszych w Polsce zabytków architektury drewnianej — cisowy kościołek z XVI wieku w Boguszycach k. Rawy Maz. Straty są — na szczęście — niewielkie.

☆

Włączając się do ogólnopolskich akcji ratowania zabytków, załoga Zakładu Ceramiki Budowlanej w Łasku k. Łodzi postanowiła przystąpić do produkcji tzw. cegły gotyckiej, stanowiącej poszukiwany materiał do rekonstrukcji zabytkowych budowli. Pierwszy transport 300 tys. sztuk tych cegieł już wkrótce opuści zakład i będzie przeznaczony dla ratowania zabytków Szczecina.

☆

Niedawno przyznano doroczne nagrody im. Heleny Radlińskiej — za wybitne osiągnięcia w dziedzinie bibliotekoznawstwa i bibliotekarstwa. Miło nam donieść, że jedną z dwóch równorzędnych nagród III stopnia otrzymała łodzianka — Waleria Konarska — długoletnia kierowniczka Biblioteki Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. J. Marchlewskiego, należącej do wzorcowych placówek bibliotekarstwa związkowego.

☆

Uroczystości 30-lecia obchodziła niedawno VII Rejonowa Biblioteka Publiczna Łódź-Górna (przy ul. Rzgowskiej 33), będąca — założona przez obecnego prezesa Łódzkiego Oddziału ZBP Izabelę Nagórską — filią Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Waryńskiego. Dodajmy jeszcze, że chodzi tu o jedną z trzech najstarszych filii tej ostatniej placówki. Przez 30 lat istnienia wypożyczano tu książki ponad 1,5 mln razy! Przez mury biblioteki przewinęło się 800 tysięcy czytelników. Z okazji rocznicy przygotowano wystawę związaną z historią i działalnością tej placówki.

☆

Horacy Safrin został wyróżniony dyplomem honorowym i znaczkiem okolicznościowym w dowód uznania za 30 lat pracy w dziennikarstwie polskim. Wyróżnienie — podczas uroczystości 20-lecia Klubu Dziennikarza (o której pisaliśmy w poprzednim numerze) odebrała — w zastępstwie chorego autora — żona.

☆

Pod hasłem „Człowiek — Praca — Twórczość" odbył się w drugiej połowie maja cykl imprez podsumowujących osiągnięcia amatorskich zespołów artystycznych, działających w przemyśle budowlanym. Przegląd, który odbył się w Łodzi, miał charakter ogólnopolski. Zakończył go koncert galowy w Teatrze Muzycznym pt. „Muzyczny uśmiech wiosny".

☆

Dzielnicowa Biblioteka Publiczna Łódź-Widzew otrzymała w dniach Oświaty, Kultury i Prasy imię Lucjana Rudnickiego.

☆

Dyplomem Kolegium Obywatelskiego i Prezydium Towarzystwa Przyjaciół Łodzi uhonorowano niedawno prof. dr hab. Stefanię Skwarczyńską — wybitnego uczonego i wychowawcę młodzieży polonistycznej, od wielu lat związanego z Łodzią. Warto dodać, że ze wspomnianym dyplomem wiąże się tytuł „Bohatera dnia powszedniego".

☆

Bogaty program wypełni „Dni Łowicza"", które odbywają się w tym mieście w dniach od 31 maja do 3 czerwca 1979 r. Zainaugurowała je sesja popularnonaukowa „Kultura ludowa — kulturą narodową", a także sesja MRN, podczas której zostały ogłoszone wyniki plebiscytu „Łowiczanin roku 1978".

Następne dni upłyną [illegible] wystaw (m. in. wystawa fotograficzna „Łowicz w 35-leciu PRL", „Wieś polska w malarstwie XIX i XX wieku", „Grafika książkowa" Zb. Dolatowskiego) koncertów, pokazów, konkursów m. in. również dla uczczenia Międzynarodowego Dnia Dziecka. Odbędzie się też kiermasz handlowy i jarmark, będący przeglądem twórczości związanej z folklorem Ziemi Łowickiej.

Warto przy tej okazji dodać, że myśli się nad modernizacją i adaptacją łowickiej Starówki. „Studium centrum Łowicza" było nawet tematem pracy magisterskiej absolwentki Instytutu Architektury i Urbanistyki PŁ — Bożeny Kosteleckiej, która otrzymała jedną z równorzędnych I nagród w tegorocznym, ogólnopolskim konkursie Towarzystwa Urbanistów Polskich. Miejmy nadzieję, że projekt ten zostanie niebawem wykorzystany przy pracach nad ocalaniem historycznych wartości staromiejskiego Łowicza.

☆

Natomiast w Łodzi — w maju — pod patronatem „Expressu Ilustrowanego" odbyła się kolejna już „Cepeliada". Wzięło w niej udział szereg zespołów ludowych, m. in. z Lipiec Reymontowskich (z inscenizacją Wesela Boryny), a także grupa twórców, spośród których największym powodzeniem cieszyli się: garncarz Jan Kaczmarek i rzeźbiarze — Longin Orczykowski oraz Mieczysław Żegliński.

☆

Przegląd zespołów profesjonalnych muzyki tanecznej organizuje — z okazji 60-lecia istnienia Związku Zawodowego Pracowników Kultury i Sztuki — Rada Okręgowa w Łodzi. Aby umożliwić szerszej publiczności wysłuchanie tych zespołów, eliminacje łódzkie odbywają się w muszlach koncertowych łódzkich parków...

☆

Na sympozjum pn. „Środowisko służby zdrowia — styl życia, twórczość, osobowość" zaprosili nas: ZG Związku Zawodowego Pracowników Służby Zdrowia, wespół z Klubem Pracowników Służby Zdrowia w Łodzi i Unią Polskich Pisarzy-Medyków. W programie sympozjum, które odbyło się w Łodzi 19 maja br., znalazły się referaty: doc. dr T. Brzezińskiego — „Zagadnienia deontologiczne i etyczne na tle twórczości medyków", prof. dr J. Reykowskiego — „Osobowość człowieka twórczego" oraz dr Z. Rucińskiego — „Twórca, a środowisko — świat zamknięty czy otwarty".

☆

Na Międzynarodowy Festiwal Muzyczny „Majowe wieczory" w Skopje wyjechała grupa solistów łódzkiego Teatru Wielkiego" Delfina Ambroziak, Alicja Pawlak, Jerzy Jadczak i Henryk Kłosiński — pod kierownictwem dyrygenta Tadeusza Kozłowskiego, który poprowadzi przedstawienie opery „Carmen" G. Bizeta z udziałem czwórki łódzkich artystów.

☆

Natomiast w Czechosłowacji występowały w maju „Włókniarskie Słowiki", czyli Reprezentacyjny Chór Chłopięcy i Męski pracujący już od 16 lat przy MDK „Lodex". Zespół ten wystąpił trzykrotnie — w Orłowej i Hawirzowie — podczas koncertów z okazji Międzynarodowego Roku Dziecka i 30 rocznicy założenia organizacji pionierów.

☆

W Poznaniu zakończył się 13 maja br. XXVI Ogólnopolski Konkurs Filmów Amatorskich pn. „OKFA-79". W grupie zaawansowanych jedną z dwóch równorzędnych I nagród otrzymał obraz „Życie czy śmierć" — T. Marcinkowskiej-Moscickiej z Akademickiego Klubu Filmowego w Łodzi.

☆

Natomiast w Strzelcach Krajeńskich zakończył się 6 maja III Ogólnopolski Konkurs Gitarowy Uczniów Szkół Muzycznych. Dobrze spisali się łodzianie, kontynuując świetne tradycje łódzkiej gitarystyki. Wśród solistów starszych najlepszą okazała się Małgorzata Majewska z PSM I stopnia w Łodzi. A w kategorii zespołów I nagrodę otrzymał duet gitar klasycznych z tej samej, łódzkiej szkoły.

☆

„Łódzkie bramy i detale architektoniczne" — to temat bardzo interesującej wystawy, zaprezentowanej w hallu Biblioteki Uniwersyteckiej w Łodzi. Wystawa przedstawia prace studentów I roku architektury Politechniki Łódzkiej, wykonane w ramach zajęć z przedmiotu „Wstęp do projektowania architektonicznego", prowadzonego przez mgr inż. Ludwika Mackiewicza. Wystawa ukazuje mało zauważane i nie doceniane bogactwo form stylowych końca XIX i początków XX wieku. We wstępie do ekspozycji czytamy: „Mamy nadzieję, że w wyniku gromadzenia rysunków w kolejnych latach powstanie zbiór najciekawszych detali XIX-wiecznej łódzkiej architektury". Dzieląc z organizatorami tej wystawy wyrażoną tu nadzieję, polecamy zwiedzenie ekspozycji łódzkim krytykom, władzom konserwatorskim i przedstawicielom Wydawnictwa Łódzkiego, którym podsuwamy pomysł opublikowania zgromadzonych na wystawie prac w osobnej graficznej tece!

LIST OTWARTY

Do Egzekutywy POP przy:

- **Państwowej Filharmonii w Łodzi,**
- **Państwowym Teatrze Muzycznym w Łodzi,**
- **Państwowym Teatrze Nowym w Łodzi,**
- **Państwowym Teatrze Powszechnym w Łodzi,**
- **Państwowym Teatrze im. St. Jaracza w Łodzi,**
- **Państwowym Teatrze Wielkim w Łodzi,**
- **Państwowej Wyższej Szkole Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi,**
- **Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Łodzi,**
- **Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Łodzi,**
- **Związku Polskich Artystów Plastyków — Oddział w Łodzi.**

POP PZPR Związku Literatów Polskich — Oddział w Łodzi zleciła nam zwrócić się do Was, Towarzysze, z propozycją przedyskutowania środków i sposobów zmierzających do ożywienia ideowo-artystycznej działalności w naszym mieście. Coraz częściej dochodzimy do przekonania, że indywidualne działania naszych środowisk, mające na celu załatwienie ważnej dla jednego z nich sprawy, mogą być naprawdę owocne dopiero wówczas, gdy wspólnym wysiłkiem przyczynimy się do rozwiązania problemów istotnych nie tylko dla wszystkich twórców, ale i dla całokształtu aktywności kulturalnej w Łodzi. Rzeczywiste ożywienie ideowo-artystyczne nigdy nie było dziełem przedstawicieli jednej tylko dziedziny twórczości, skoro zaś na poziom życia kulturalnego w Łodzi ma istotny wpływ suma dokonań i poczynań naszych środowisk, to nie powinna to być suma działań przedsiębranych w pojedynkę, przypadkowo. Uprawiamy co prawda różne dyscypliny artystyczne, ale odczuwamy te same potrzeby w odniesieniu do mechanizmów wpływających na intensywność życia kulturalnego. Wszyscy jesteśmy zainteresowani w dopracowaniu się rozwiązań służących podniesieniu tętna i temperatury ruchu ideowo-artystycznego w naszym mieście.

Wszyscy, na przykład, mamy świadomość, iż nie dorobiliśmy się forum, na którym mogłyby powstawać oceny faktów artystycznych zrodzonych w naszym mieście. Wszyscy wiemy, że spory i kontrowersje o rzeczywistą wartość dokonań artystycznych służą zarówno twórcom jak i czytelnikom, widzom czy słuchaczom. Wiemy także, że pozytywne rozwiązanie tej ważnej sprawy nie jest możliwe przez którekolwiek z naszych środowisk z osobna, ale, jak dotąd, nie wyciągnęliśmy z tej wiedzy wniosków praktycznych.

Wiemy też wszyscy, że brak jest w życiu kulturalnym Łodzi mechanizmów służących promowaniu najcenniejszych osiągnięć artystycznych łódzkich twórców do świadomości mieszkańców miasta. Nie funkcjonuje, jak dotąd, żaden system przenoszenia zdobytych w mieście wartości artystycznych do szerokiego kręgu odbiorców; ta sprawa pozostawiona jest żywiołowi czy też przypadkowi. Wiemy wszyscy, że ważniejsze byłoby zapoznanie czytelników, widzów czy słuchaczy z dziełami laureata nagrody artystycznej miasta niż z jego życiorysem, ale praktycznych wniosków z tej wiedzy także jeszcze nie spostrzegamy.

Wszyscy wreszcie jesteśmy przekonani, że nasze środowiska mogą i powinny w sposób bardziej niż dotychczas systematyczny i zorganizowany uczestniczyć w planowaniu i realizacji działalności kulturalnej i artystycznej w naszym województwie miejskim. Opinię tę uzasadnia zarówno powszechnie przyjęta w naszym życiu zasada konsultacji zamierzeń władz z kompetentnymi środowiskami jak i przekonanie o fachowych kompetencjach naszych środowisk. I w tym zakresie nie wystąpiliśmy jeszcze z żadną propozycją czy inicjatywą.

Wymieniliśmy tylko parę problemów, których rozwiązanie interesuje wszyskie nasze środowiska. Nad tym, jak te problemy rozwiązać, jakie propozycje przedstawić władzom naszego województwa chcielibyśmy zastanowić się razem z Towarzyszami. W przeświadczeniu o pożytku takich rozmów utwierdza nas nie tylko teoria i wyobraźnia, lecz przede wszystkim doświadczenia tych środowisk, które już wcześniej zaczęły uczestniczyć w kształtowaniu życia kulturalnego swych regionów. Mamy tu na myśli krakowską „Kuźnicę" czy poznański „Komitet Środowiskowy", których działalność tak pozytywnie ocenił tow. Łukaszewicz podczas swego ostatniego spotkania z aktywem kulturalnym Łodzi.

Nie wątpiąc, iż Towarzysze zechcą wziąć udział w poszukiwaniu rozwiązań istotnych dla naszych środowisk problemów, zapraszamy Ich serdecznie do Związku Literatów Polskich — Oddział w Łodzi, na dzień 11 czerwca br. o godz. 16,30. Na spotkaniu tym, w obecności przedstawicieli Wydz. Propagandy KŁ PZPR, przedstawimy pod dyskusję propozycje dotyczące działalności Domu Środowisk Twórczych i propozycje w sprawie periodyku o charakterze interdyscyplinarnym. Liczymy, że i Towarzysze zaproponują warte rozpatrzenia tematy, wobec czego nasze spotkanie rozpocznie cykl dyskusji nad problemami istotnymi dla ożywienia ideowo-artystycznej działalności w naszym mieście.

EGZEKUTYWA POP PZPR
przy Związku Literatów Polskich
Oddział w Łodzi

W NIEDZIELĘ DO MUZEUM

Co roku, w jedną z czerwcowych niedziel łódzkie Muzeum Sztuki otwiera swoje podwoje: sale wystawowe, dziedziniec i skwer dla szerokich rzesz odbiorców, proponując im rzadką możliwość spędzenia wolnego czasu w bezpośrednim otoczeniu zabytkowych murów, przyrody, dzieł sztuki, muzyki i literatury.

Tym razem tradycyjny muzealny festyn przypada 17 czerwca i — podobnie jak w latach ubiegłych — zapowiada się bardzo atrakcyjnie. Można mieć zatem nadzieję, iż pewien pozytywny snobizm, jaki wytworzył się — i to nie tylko wśród łodzian w stosunku do tej imprezy, utrwali się, zachęcając wielu potencjalnych odbiorców do częstszych spotkań ze sztuką. W myśl założeń organizatorów, których celem jest pokazanie pracy i zbiorów jedynego w Polsce muzeum sztuki nowoczesnej przede wszystkim właśnie „ludziom z ulicy", pracownikom fabryk i ich rodzinom, a także młodzieży.

Dlatego między innymi wśród zaproszonych artystów znajdują się co roku zespoły związane z amatorskim ruchem kulturalnym. Najbliższą „Niedzielę w Muzeum Sztuki" otworzy przemarsz ulicami Łodzi orkiestry dętej z Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. J. Marchlewskiego. Wykonywana przez amatorów muzyka towarzyszyć będzie również innym atrakcjom, stanowiąc dla nich wdzięczny przerywnik. Poza tym w programie przewidziano dwa inne koncerty: studenckiego zespołu folklorystycznego złożonego ze słuchaczy Studium Języka Polskiego dla Obcokrajowców przy UŁ oraz koncert w wykonaniu zespołu kameralnego Filharmonii Łódzkiej.

W całym szeregu plastycznych konkursów nie zabraknie zajęcia dla dzieci. Kontynuowany będzie także konkurs pn. „Tajemniczy obraz", polegający na rozszyfrowywaniu fragmentów prac znajdujących się na wystawach Muzeum, a tworzących owo „tajemnicze" dzieło. Każdy z gości będzie też mógł sfotografować się na koszt organizatorów ze swoim ulubionym obrazem, czy rzeźbą: Natomiast nowością w programie „Niedzieli" będzie akcja bezpłatnego poradnictwa w zakresie klasyfikacji dzieł sztuki. Nie mniejszym zapewne zainteresowaniem od fotograficznych cieszyć się będą także portrety rysunkowe, wykonywane na zamówienie przez znanego rysownika St. Ibisa-Gratkowskiego. Młodzież z kolei przyciągnie rewia mody najbardziej wziętego w Łodzi domu towarowego — „Juventusu", wszystkich zaś pokazowa lekcja z grafiki prowadzona przez Franciszka Starowieyskiego — artystę znanego szerszej widowni z programów telewizyjnych. Ten nurt atrakcji uzupełnią: kiermasz wydawnictw, stoiska z galanterią i biżuterią artystyczną, zorganizowane przez „Dom Książki", „Desę" i spółdzielnię „Puchatek".

Najpoważniejszy wszakże nurt „Niedzieli" wytyczą cztery wystawy, dwie stałe: ekspozycja malarstwa polskiego od XVIII do XX wieku i kolekcja międzynarodowej sztuki nowoczesnej oraz dwie wystawy specjalne, otwarte właśnie 17 czerwca.

Pierwsza — pod hasłem „Użytkownik — Projektant — Przemysł" — da zapewne dobrą okazję do porównania pomysłów plastyków z Katedry Projektowania Produktów i Struktur Przemysłowych PWSSP z ich przemysłową realizacją (tę część wystawy współorganizuje Politechnika Łódzka). Jako kolejne wydarzenie artystyczne dużej miary — zaproponowane przez łódzkie Muzeum Sztuki — zapowiada się natomiast pierwsza w Polsce wystawa fotografii Stanisława Ignacego Witkiewicza, malarza, pisarza, krytyka i teoretyka sztuki, mniej znanego dotąd ze swych zainteresowań fotografią (a będzie ich na tej wystawie 180!).

Sygnalizując nieco obszerniej i nieco wcześniej atrakcje tegorocznej „Niedzieli w Muzeum Sztuki" dodajemy, że po raz pierwszy bezpośrednie relacje z tej imprezy nadawać będzie — w ramach bloku „Tylko w niedzielę" — Telewizja Polska.

KIEDY DZIECI

Na niedzielę 27 maja w godzinach od 10 do 20 Samorząd Mieszkańców Osiedla ŁSM im. Matejki wespół z Radą Osiedla SDM i paroma innymi instytucjami zaplanowały — po raz pierwszy — wielki festyn dla dzieci. I my zjawiliśmy się na tym festynie. Stało się to o godz. 13.00, w porze — jak się okazało — najmniej odpowiedniej (dla organizatorów)... W rozciągniętej na cały dzień festynowej pończosze zrobiła się bowiem akurat nieprzewidziana dziura.

Od godz. 12.00 do godz. 14.00 miały odbywać się zawody lekkoatletyczne (bieg 60 m, skok w dal, rzut piłką palantową). Niestety, skończyły się przed naszym przyjściem. W trawie na pustym stadionie AZS opalały się nieliczne pary i tylko na kortach czwórka chłopców odbijała piłki, czemu przypatrywały się z trybun rzadkie kępki rodziców. Poszliśmy zatem na pobliski teren jednostki straży pożarnej, gdzie... skończył się już jednak konkurs rysunkowy i dzieci ustawiały się właśnie w kolejce po kolorowe torebki. „Ile będzie, tyle damy" — zapewniał je organizator z plakietką na piersi. „Maluchom trzeba najpierw dać" — oponował drugi. W sumie nie starczyło nawet dla maluchów, nie dotarły też — na pocieszenie — batony, a w ogóle — jak się dowiedzieliśmy — z nagrodami i fantami kłopot był największy (imprezę organizowano w końcu miesiąca, kiedy sklepy mają zazwyczaj wyczerpane limity sprzedaży na rachunki)... Na boisku Zespołu Szkół Chemicznych, gdzie od 10 do 13 miały się odbywać konkursy, z wielkim transparentem: „Ludzkość powinna dać dzieciom to, co ma najlepszego" kontrastował przykro widok pustego placu, zastawionego krzesłami i mikrofonami. Po drugiej stronie uwagę naszą zwróciła kolejka pod stoiskiem z książkami, złożona zresztą wyłącznie z dorosłych. Trafiliśmy akurat na „pyskówkę". Jak się okazało, kością niezgody były nieliczne egzemplarze „Ilustrowanej Encyklopedii dla Dzieci", które podobno tkwiły gdzieś ukryte — tylko dla wybranych.

Na koniec odwiedziliśmy salę gimnastyczną ZSCh, gdzie w kącie wokół trzech bilardów tłoczyła się gromadka chłopców.

Było sennie, niezbyt ludnie, działacze zbierali krzesła, rodzice zaś — szwendające się dzieci (na obiad). Pożałowaliśmy rzetelnego wysiłku wielu organizatorów na urządzenie tej nudnawej imprezy. Mamy też pytanie: czy nie lepiej byłoby następnym razem skomasować wszystkie atrakcje w ciągu paru (a nie kilkunastu) godzin i ściągnąć na ten czas możliwie dużo dzieci z całego miasta...? Tak, aby żadne dziecko nie twierdziło potem, że jedynie mamusia mogła sobie poszaleć na tym dziecięcym festynie (w kolejce po „Króla Niespałka" i Ruskij jazyk w kartinkach" — zresztą...).

JEDZĄ OBIAD...

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), JERZY KATARASIŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny) Stale współpracują: JAN BĄBIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, ZBIGNIEW NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI.

Kazimierz Jadwiszczak: Każdy, kto w ten sposób przeprowadza zabiegi, może zebrać równie wysoki plon.

Dalszy ciąg ze str. 1

żeli coś z góry nakażę i ściągnę podpis od rolnika, to jestem pewny, że on tego nakazu nie wykona. A na jednego instruktora przypada w gminie ponad dwieście gospodarstw...

— Może pracownicy służby rolnej powinni, podobnie, jak rolnicy, specjalizować się?

— Myślę, że to byłoby dobre. Są nawet przymiarki do powrotu do specjalizacji. Tak, jak dawniej, kiedy byli agronomowie i zootechnicy. Kiedy jest węższy zakres zagadnień, jest lepiej. Mniejszą działkę można staranniej obrabiać...

— Uprawa ziemniaków to też specjalizacja?

— W naszej gminie prawie specjalizacja. Ziemniaki posadzono w tym roku dość wcześnie i kiedy teraz otrzymaliśmy dodatkowy przydział sadzeniaków, żeby zachęcać rolników do uprawy szlachetnych odmian, chętnych zabrakło. Bo rolnicy wcześniej zaopatrzyli się w te dobre odmiany u sąsiadów. I zasadzili, ponieważ teraz byłoby już za późno.

— A rekord Jadwiszczaka nikogo nie zaskoczył?

— Mamy swojego mistrza, ale jego wynik nikogo specjalnie nie zdumiał. Mógłbym wymienić około dziesięciu wsi, gdzie rolnicy plon ziemniaków w wysokości 400 q/ha traktują jako coś normalnego. Tutaj uprawiano ziemniaki na dużą skalę od bardzo dawna, z tym, że były to głównie ziemniaki przemysłowe, przeznaczone do gorzelni....

21 marca 1979 roku *Kazimierz Jadwiszczak* ze wsi Dębina w gminie Lututów, uczestnik uroczystego sympozjum zorganizowanego przez SGGW-AR w Warszawie, otrzymał z rąk rektora, profesora doktora habilitowanego H. Jasiorowskiego dyplom uznania i 20 tys. zł nagrody. Jadwiszczak został zwycięzcą konkursu na najlepsze plony ziemniaków, ogłoszonego w ubiegłym roku przez rektora Jasiorowskiego, uzyskując rekordowy wynik — 663 kwintale z hektara. Aby podkreślić wartość tego osiągnięcia, należy wyjaśnić, że średnie zbiory ziemniaków w województwie sieradzkim wyniosły w ubiegłym roku 199 q/ha.

I dlatego do Dębiny nie zaprowadziła mnie chęć obejrzenia dyplomu (jest już oprawiony w złote ramki), lecz ciekawość poznania człowieka, który uzyskuje tak zdumiewające wyniki. Spodziewałem się zastać takiego, co to na gospodarstwie pozjadał przysłowiowe zęby, a tymczasem na spotkanie wyszedł mi niski, drobny, szczupły młody człowiek o twarzy chłopca, skromny i nieśmiały, który z zażenowaniem wprowadził mnie do prowizorycznej, „letniej" kuchni w budynku gospodarczym. U podnóża rozpalonego kaflowego pieca tuliło się kilka piskląt, na płycie gotowała się w garnku kapusta. Kazimierz Jadwiszczak oczyścił rękawem stół i podsunął mi krzesło. W jego ruchach i bardzo chłopięcej sylwetce było coś, chyba nieznaczne pochylenie pleców i ociężałość, z jaką unosił ramiona, co świadczyło, że mimo młodzieńczego wyglądu wiele się już w życiu napracował.

— Ile pan ma lat? — zapytałem, nie mogąc poskromić ciekawości.

— Dwadzieścia trzy. No, i kawaler, jak dotąd, chociaż żona bardzo by mi się przydała. Wie pan, młody rolnik powinien się żenić z miłości, ale samą miłością nie da się żyć. Na wsi żona musi być współpracownikiem, bo gospodarstwo jest wspólnym warsztatem pracy. Kiedy przed czterema laty wziąłem się za gospodarkę, było 11 ha. Wszystko robię sam, ponieważ trudno wynająć dziś człowieka do pomocy. Ojciec ma 69 lat, matka 66. Do takiego gospodarstwa potrzebny przynajmniej jeszcze jeden człowiek...

Ma ładną, delikatną, drobną twarz, długie kręcące się włosy ciemnoblond i szaroniebieskie oczy, w których często pojawia się wyraz troski i powagi. A kiedy się rozpogadza, uśmiech obejmuje całą twarz, a najwięcej ciepłego blasku w oczach. Ładny chłopak, ale zapracowany i trochę nieśmiały, powinien podobać się dziewczynom. Jak gdyby odgadując moje myśli, mówi z uśmiechem:

— Odnoszę wrażenie, że dziewczyny boją się pracy w dużym gospodarstwie. To tylko w telewizji czasem pokażą taką, która mówi z entuzjazmem o pracy na roli. W życiu jest inaczej. Mało jest dziewcząt naprawdę zamiłowanych w pracy w gospodarstwie. Dumne są, zarozumiałe i zanadto przeceniają własną urodę i talent. Jak któraś posmakuje trochę szkoły, zaraz by ziemniaki obierała w rękawiczkach. A ja niczego się nie wstydzę, chociaż też sroce spod ogona nie wypadłem. Mam średnie wykształcenie, ukończyłem Technikum Rachunkowości Rolnej w Lututowie. Ale tam nie tylko uczyć się nauczyłem...

— Ludzie kończący szkoły rolnicze często pracują w zupełnie innych specjalnościach. Albo co najwyżej w służbie rolnej. Nie marzył się panu stołek urzędniczy?

— Kiedy się ma 19 lat, różnie się myśli. Chciałem uciekać. Ale, jak zostawić gospodarkę? Zostawić rodziców, którym brakuje sił do pracy? Po ukończeniu technikum przejąłem gospodarstwo i dzięki temu, jako jedyna podpora rodziców, nie poszedłem do wojska...

No i zaczęło się to jego gospodarowanie. Jest nieprawdopodobne, aby ten chłopiec, kruchy i filigranowy, w ciągu czterech lat dokonał tego, na co inni nie mogą się zdobyć przez dziesięć lat. A jednak to prawda, wszystko można obejrzeć, dotknąć, wymierzyć. Ignaczewski powiedział później, że Kazik tego swojego obejścia, bez ziemi, nie sprzedałby za dwa miliony. Warte o wiele więcej...

Dziewczyny, kochajcie mistrza

Jadwiszczak nie musiał się tylko martwić o dom, który zbudowali rodzice. Dom jest solidny, z czerwonej cegły, podpiwniczony, z pięterkiem; od frontu tuje, kolorowa brama i furtka, osadzone między murowanymi słupami z dwuspadowymi wierzchołkami. Ignaczewski mówi, że nie ma zaufania do takich ładnych słupów. Rozwalił, bo kiedy ojciec odpoczywał kiedyś o zmierzchu, wpatrując się spod przymrużonych powiek w jarzeniówkę, i matka go nagle zawołała, wyszedł i wyrżnął nosem w słup, bo o szarówce ten słup, wzniesiony z białej cegły, stał się całkiem niewidoczny. Jadwiszczak stuka czubkiem buta w słupek i oświadcza, że też musi to rozwalić, bo kombajn się nie zmieści...

— To nie było robione na jutro — mówi — *za ojca kombajnem się nie sprzątało. Siano cięło się kosami, a ziemniaki były pielone ręcznie, haczkami. Była drewniana obórka i stodółka, żadnych maszyn. Kupiłem ciągnik C 330 i podstawowy zestaw maszyn, wziąłem trochę ziemi z PFZ, resztę dokupiłem od synów sąsiadów, którzy zmarli. Kupiłem tę ziemię razem z domkiem, a potem odsprzedałem domek i dwadzieścia arów nauczycielowi. Teraz jest tak* — wyjaśnia, wychodząc za stodołę — *od tamtych słupów do tej zagrody, szerokość dwieście metrów. Takiego pola w jednym kawałku nie ma nikt w okolicy...*

Rozkręcił się, znikło onieśmielenie, w jego głosie brzmi duma, w oczach lśni zapał. Wie, że odwalił kawał dobrej roboty, której nie musi się wstydzić. Zaczął budować oborę ze stodołą, ale wszystko to było jeszcze jakieś niejasne, złość go brała, bo nawet w gminie nie wiedzieli, jak to będzie z tą jego specjalizacją. Zdecydowano, że zbuduje długi jak kicha budynek, w którym jedną część stanowić będzie obora, drugą zas chlewnia. Przyjechali fachowcy z WOPR i mówią: źle. Jak specjalizacja, to tylko bydło mleczne i opasowe. I tak powstała ogromna obora z wielkim strychem użytkowym, gdzie przechowuje ziarno oraz siano i słomę, które może zrzucać prosto do korytarza paszowego oraz jeszcze ogromniejsza murowana stodoła, wszystko pokryte estetycznym, zielonym eternitem, jakiego nikt w okolicy też nie ma, bo on brał prosto z wagonu. Samo postawienie budynków to jest nic, w maju były mury i więźba dachowa, a na jesieni wszystko pokryte. Ignaczewski stwierdza, że łatwiej dziecko zrobić, niż je wychować.

— Stodoła dawno gotowa — wyjaśnia Kazik — *ale z oborą utknąłem. A to nie ma materiałów, a to nie ma ludzi, albo majstra nie można zgodzić. Co mogę, to robię sam. Muruję, tynkuję. Sam obmurowałem pomieszczenie na parnik, potem to pomieszczenie na paszarnię, śrutownik i hydrofor, a teraz wziąłem się za kącik na dojarkę.*

Do obory weszła niska, lekko przygarbiona kobieta o czerstwej, drobnej, pozbawionej zmarszczek twarzy, w której śmieją się bystre, brązowe oczy. Jest ruchliwa, bardzo żywotna, gadatliwa i tylko sinawe, obrzękłe nadgarstki świadczą, że nie żyło się jej lekko.

— Na mój rozum — powiada z humorem — *to w tej oborze można pomieścić sto sztuk bydła. Powbijać kołki, powiązać, to się zmieszczą!*

— Za wielka?

— Widzi pan to? — wskazuje resztki drewnianej, krytej słomą stodółki, przycupniętej pod murem nowej stodoły. — *Wstyd, ale nas z mężem tylko na tyle było stać. A on z miejsca pałace wali! I bardzo dobrze! Ja chcę powiększać gospodarstwo, a nie umniejszać! I nie likwidować, że to niby nie warto, bo są lepsze fachy.*

— Ale strasznie dużo pracy...

— Nie ma żalu! Jak jest robota, to są i pieniądze. Ale synowa przydałaby się do pomocy. Ja bym się przy niej odmłodziła, ale ona w lusterko by nie patrzała! Musi być mądra i lepsza gospodyni ode mnie.

— Teraz pani ma mniej prania. A jakby się wnuki posypały...

— To by się dawało mniej jeść, żeby nie waliły w pieluchy — kończy rezolutnie. — *I prania byłoby mniej...*

— A nie wolałaby pani do miasta? — rzuca przekornie Ignaczewski.

— Co to, to nie! Ja już teraz muszę mniej chodzić do miasta, żeby mnie tam śmierć nie spotkała...

Kazik śmieje się bezgłośnie Oprócz podobieństwa fizycznego łączy ich pogoda ducha, optymizm, chęć zmagania się z pracą. Matka twierdzi, że w gospodarstwie wszystkiemu da się radę, trzeba tylko mieć silne postanowienie, a nie mieć dwóch lewych rąk. Kazik praktycznie jest sam, ale ludzi nie wynajmuje do pracy, tyle co mu odrobią, gdy pracuje u nich ciągnikiem. I zawsze wszystko ma na czas zrobione. Obora jeszcze nie wykończona, ale to inna sprawa. Na razie ma 7 krów dojnych, 2 jałówki do zacielenia i 13 opasów. Ale w nowej oborze będzie 15 krów dojnych i 30 bukatów. Już teraz myśli o przygotowaniu odpowiedniej bazy paszowej. Jedną z najwartościowszych pasz dla bydła są ziemniaki. Ojciec zawsze uprawiał 2 ha ziemniaków, odstawiając je do gorzelni i do GS, on zaś spotkał się z uprawą doświadczalną już w technikum. W tym roku obsadził 3 ha ośmioma odmianami ziemniaków, a rok ubiegły? No cóż, wziął udział w konkursie nie tyle z chęci sławy, co z faktu, że w ciągu ostatnich lat ziemniak przeżywa swoją koniunkturę, i dlatego, że pragnął się sprawdzić i przekonać się, jakie to mu da korzyści jako hodowcy bydła.

— Zanim mistrz wyjaśni, jak to się robi — wtrąca Mieczysław Ignaczewski — *musimy sobie wyjaśnić kilka spraw. Ziemniaki dają dobry plon, ale tylko wówczas, kiedy sadzi się je na dobrej ziemi. To nie może być pole, na którym rośnie liche żytko albo łubin. A poza tym, nie umniejszając znaczenia zabiegów agrotechnicznych, trzeba przyznać, iż ogromne znaczenie na wysokość plonów ziemniaków miały ubiegłoroczne warunki klimatyczne.*

— I nie tylko ziemniaków — przyznaje Jadwiszczak. — *To był wyjątkowy rok, bo jeśli przedtem żyto dawało plon 25 q, to w ubiegłym roku zbierano do 50 q z hektara. Miałem 70 a pszenicy i zebrałem z tego cztery pełne zbiorniki kombajnowe, po 1500 kg każdy.*

— To też rekord. Ale zajmijmy się ziemniakami.

Kazik sięga do notatek i zaczyna opowiadać, zwięźle i dokładnie, bez przechwałek. Pod ziemniaki wybrał pole po wysadce buraków cukrowych, przeznaczonych na nasiona: ziarno zebrano, a w ziemi zostały 20—30 cm długości korzenie spichrzowe z dużym zapasem azotu.

Kompleks ten dwukrotnie uprawiał glebogryzarką, późną jesienią zaś dał obornik i połowę dawki nawozów sztucznych (bez azotowych), po czym przyorał na głębokość 25 cm, żeby nie wyrzucać na wierzch martwicy. Wiosną bronował pole, wysiewał nawozy (fosfor i potas) i ponownie przejechał glebogryzarką, aby wyrównać cały areał pod sadzenie. Sadził sadzarką mechaniczną. Po dwóch tygodniach znów bronował.

— Do wschodów ziemniaka trzeba pole dwukrotnie obsypywać, nawozić azotem i bronować brono-chwastownikiem. Jeśli chodzi o nawozy, to dawałem na hektar 80 kg azotowych, 90 kg fosforowych i 130 kg potasowych. W okresie wschodów była przerwa w wykonywaniu zabiegów. Potem zastosowałem 10 cm szerokości obsypnik, a przed „zwarciem" roślin, żeby uniknąć chemicznego niszczenia chwastów, jeszcze raz przeprowadziłem pielenie mechaniczne. Przed sprzętem usuwałem łęciny za pomocą maszyny z ruchomymi łańcuchami. Te łańcuchy wirują i ścierają łęty niemal na proszek, tak że niczego nie trzeba z pola usuwać. Potem odkopałem z boków po sześć rajek i zbierałem ziemniaki kombajnem. Jestem przekonany, że przy dobrych warunkach klimatycznych każdy, kto w ten sposób przeprowadzi wszystkie zabiegi, może zebrać równie wysoki plon...

Na polu wyznaczono pierwsze trzy działki, po dwie redliny długości 10 m, i 19 sierpnia komisja składająca się z sołtysa, naczelnika gminy i instruktora Ignaczewskiego dokonała próbnego zbioru. Już wówczas, po odpowiednim przeliczeniu, średnia z hektara wyniosła 456 q.

9 października ta sama komisja z I poletka zebrała 69,1 kg ziemniaków, z II — 68,7 kg, a z III — 62,2 kg, co w sumie dało 199,1 kg. Po przeliczeniu średnia z hetkara wyniosła 663 q. Spisano protokół, wysłano, potem przyszło zaproszenie od rektora.

Nie tylko on sięgnął tak wysoko. Inni nie byli o wiele gorsi. Na przykład III miejsce w konkursie zajął EDWARD MIŁEK z Charłupi Małej, w gminie Sieradz, który osiągnął 623 q/ha. Pośród 10 najlepszych w kraju plantatorów ziemniaków było jeszcze sześciu rolników z Sieradzkiego. A gdyby wdać się we wnikliwą analizę wyników, to okaże się, że pośród 300 rolników, którzy znaleźli się w finale konkursu, aż 200 reprezentowało województwo sieradzkie!

W ostatnim czasie ziemniaki znalazły się w centrum zainteresowania władz i instytucji odpowiedzialnych za gospodarkę żywnościową. Powstają nowe zakłady koncentratu ziemniaczanego, jak np. w Głownie, i wydaje się, że ziemniak proponowany w nowych, bardziej atrakcyjnych formach, będzie spożywany na większą skalę niż dotychczas. Ponadto wysokie plony i rozszerzenie arealu jego uprawy jest gwarancją zwiększenia zasobów paszowych, a co za tym idzie — wzrost hodowli bydła i trzody chlewnej, na co czeka cały kraj.

W Sieradzkiem poziom uprawy ziemniaków wzrósł bardzo znacznie, ale kiedy porówna się średnią województwa z wynikami rekordzistów, dopiero wówczas widać, jaki jeszcze ogrom możliwości tkwi na wsi w tym zakresie. Załóżmy, że 1000 rolników osiągnie połowę tego, co mistrz, a więc większy plon o 100 q z hektara, to z 1000 ha można by zebrać o 10 tys. ton ziemniaków więcej.

Kazimierz Jadwiszczak prowadzi mnie na drugą stronę szosy, gdzie ma jeszcze 9 ha ziemi, również w jednym kawałku. Ciągnie się to pole aż po kanał melioracyjny, tam gdzie czarna ściana drzew zasłania pobłękitniały horyzont. Pokazuje mi pszenicę ozimą, piękną, soczystą, grubolistną, która została zasiana po tym rekordowym zbiorze ziemniaków. Przechodzimy przez zagon, a tam krzywa, poszarpana bruzda przy miedzy, pole nierówne, obsiane kępami rachitycznego żyta.

— To sąsiada. Tak też można gospodarować...

W jego głosie brzmi nie tyle ironia, co troska i gniew, że ktoś tak może traktować ziemię. On by tak nie potrafił. On jest młodym mistrzem plonów w gminie. W podziękowaniu, jakie otrzymał od wojewody Barczyka, znalazły się słowa uznania dla jego pracy i życzenia pomyślności dla rodziny. Może ten rok okaże się dla niego równie pomyślny? Może zakocha się w mistrzu któraś z dziewcząt i w Dębinie odbędzie się huczne wesele? Myślę, że te życzenia mogą się rychło spełnić...

RYSZARD BINKOWSKI

Foto: R. Łucyszyn

GOSPODARKA

Foto: R. Łucyszyn

STANISŁAW SKOWROŃSKI

SZANSA DLA MAŁYCH

Dyskusja na temat przemysłu drobnego została niejako podsumowana przyjęciem uchwały przez XIV Plenum KC PZPR, a następnie zatwierdzeniem przez Sejm programu zwiększenia udziału tego przemysłu w rozwoju społeczno-gospodarczym kraju. Nie oznacza to naturalnie zamknięcia dyskusji, zwłaszcza że obchodzi ona każdego z nas: nabywcę towarów, odbiorcę usług.

Choć w centrum uwagi pozostaje przemysł wielki, kluczowy, będący bazą dla całej gospodarki, to w poszukiwaniu dróg obniżania kapitałochłonności rozwoju i pełniejszego wykorzystania posiadanych zasobów, w polu widzenia pojawić się musi przemysł drobny.

Ważna cecha przemysłu drobnego, to niski koszt stanowiska roboczego, co jest rezultatem niewielkiego uzbrojenia go w maszyny i urządzenia przy jednoczesnym stosunkowo dużym udziale pracy ręcznej. Pozwala to stosować w tym przemyśle proste na ogół techniki i technologie produkcji, nie wymagające zastosowania bardziej zautomatyzowanych maszyn, z drugiej zaś strony — nastawiać aparat produkcyjny na wykonywanie zadań nietypowych, specjalnych, polegających np. na wyprodukowaniu krótkiej serii unikalnych wyrobów w celu zbadania chłonności rynku, na rozwinięciu określonego rozwoju usług na danym terenie, na zatrudnieniu pewnych nadwyżek siły roboczej w drodze uruchomienia produkcji systemem hakładczym np. w chałupnictwie.

Małe zakłady odznaczają się przy tym dużą elastycznością w produkcji, mając możliwość szybkiej reakcji na zmieniające się potrzeby rynku, podczas gdy na przemysł wielki oddziałują w zasadzie tylko takie sygnały rynkowe, które umożliwiają podjęcie produkcji masowej.

Przemysł wielki nie był i nie jest w stanie dostosować swej działalności w sposób ekonomicznie uzasadniony do wymogów wszystkich grup konsumentów o bardzo zróżnicowanych upodobaniach i gustach. Tymczasem badania wskazują na pewną prawidłowość, zgodnie z którą w miarę wzrostu dobrobytu i zamożności społeczeństwa upodobania te wykazują tendencję do dalszego różnicowania się. Jest to tendencja, której z powodzeniem może wyjść naprzeciw przemysł drobny.

Nie ma co ukrywać, iż jeszcze nie tak dawno wśród pewnej liczby działaczy różnych szczebli zarządzania przeważał pogląd uznający jako kierunek najsłuszniejszy — koncentrację produkcji. Stąd też programy tworzenia wielkich organizmów gospodarczych ogarnęły nie tylko przemysł kluczowy, lecz również przemysł drobny.

Tak na przykład w wyniku uporczywie zalecanej przez związki spółdzielcze koncentracji, połączono nie zawsze kierując się rachunkiem ekonomicznym — wiele spółdzielni pracy. W Łodzi jest kilka takich skomasowanych sztucznie spółdzielni, których operatywność i giętkość działania została poważnie zawężona.

Nie ulega wątpliwości fakt zasadniczej wyższości produkcji w wielkiej skali nad drobną. Wyższość ta wynika z przesłanek techniczno-ekonomicznych, związanych ze wzmożonym działaniem czynników wywołujących przyśpieszenie procesu koncentracji produkcji (postęp techniczny, specjalizacja). Z tego właśnie wynika czołowa rola przedsiębiorstw wielkich.

Nie może to jednak w żadnym razie przesłonić innego faktu iż drobna produkcja znajduje swe miejsce w każdym systemie gospodarczym, w którym przechodzenie do wielkiej produkcji dokonuje się stopniowo i nie na wszystkich odcinkach. Istnieją tedy obszerne dziedziny i sfery życia gospodarczego, w których występowanie małych zakładów jest nieodzowne z przyczyn ekonomicznych. Potwierdza się to na przykładzie krajów wysoko uprzemysłowionych, w których obserwujemy zjawisko dużego udziału małych i średnich zakładów w ogólnej liczbie przedsiębiorstw, zwłaszcza w przemysłach konsumpcyjnych (włókiennictwo, produkcja odzieży, przetwórstwo spożywcze, wytwarzanie przedmiotów gospodarstwa domowego), w których drobne zakłady obejmują nawet 80 proc. całego potencjału produkcyjnego niektórych branż.

I dlatego powszechnie uważa się, że udział małych zakładów w potencjale przemysłowym naszego kraju jest wysoce niedostateczny, wynosi bowiem zaledwie 12 proc. Ubolewając nad tym stanem trzeba równocześnie zdawać sobie sprawę z tego, że w okresie powojennym rozwój przemysłu drobnego charakteryzował się stosunkowo wysoką dynamiką. Np. w regionie łódzkim, należącym przecież do obszarów najbardziej uprzemysłowionych w kraju, biorąc pod uwagę zarówno rozmiary produkcji globalnej jak i wielkość zatrudnienia — zaznaczało się szybsze tempo wzrostu przemysłu należącego do spółdzielczości pracy w porównaniu z pozostałą częścią przemysłu uspołecznionego. I to mimo gorszych warunków, w jakich działały spółdzielnie pracy.

2.

W przyjętej koncepcji dalszego rozwoju przemysłu drobnego zasadnicze znaczenie przywiązuje się do **rozszerzenia działalności skierowanej na zaspokojenie potrzeb rynku wewnętrznego.** W tej działalności przemysł drobny wykazuje szczególną przydatność. Oprócz takich cech jak niewielkie rozmiary przedsiębiorstwa, uniwersalny typ wyposażenia technicznego, znaczny udział pracy ręcznej, sprzyja tu (np. w przemyśle spółdzielczym) bezpośrednie zainteresowanie członków załogi rezultatami ekonomicznymi przedsiębiorstwa. Stanowić to może — i powinno — czynnik skłaniający do ujawniania inicjatywy i pomysłowości, niezbędnej w tego rodzaju działaniu.

Potrzeba wszechstronnego rozwijania produkcji przeznaczonej na rynek będzie zawsze aktualna i pilna. Rosnącej sile nabywczej ludności odpowiadać musi zwiększająca się pula towarów, które pragnie ona nabyć. Jednakże **rozwój drobnej produkcji nie może przebiegać tylko w kierunku zwiększania ilości, lecz także — o czym nie zawsze chcą pamiętać mali producenci — w kierunku podnoszenia jakości, nowoczesności i różnorodności wyrobów.**

W ramach przemysłu drobnego szczególnie szybkiego i intensywnego rozwoju wymaga działalność usługowa. Jest rzeczą dowiedzioną, iż w miarę wzrostu dochodów ludności popyt na usługi rośnie szybciej aniżeli inne rodzaje wydatków, a nawet w tempie szybszym, niżli sam wzrost dochodów pieniężnych. Ta ogólna prawidłowość występuje po osiągnięciu określonego poziomu zaspokojenia potrzeb podstawowych, przewyższającego tzw. minimum potrzeb socjalnych, odnosi się w pełni do krajów wysoko i średnio rozwiniętych, do których zalicza się również Polska.

Tempo wzrostu zapotrzebowania na usługi wyprzedza u nas jeszcze znacznie tempo rozwoju bazy usługowej, powodując — zwłaszcza w wielkich aglomeracjach miejskich — stały niedobór usług. Wydatne zwiększenie podaży usług, stanowiące priorytetowe zadanie przemysłu drobnego, wymaga jednakowoż spełnienia wielu warunków, pośród których na plan pierwszy wysuwa się zarówno **konieczność zwiększenia bazy usługowej,** jak też wprowadzenie nowych form świadczenia usług, przybliżenie ich do odbiorców, równomierne rozmieszczenie sieci punktów usługowych etc. Trzeba bowiem pamiętać, że ilość i wielkość zakładów usługowych zależy od optymalnego zasięgu rynku zbytu usług, wyznaczonego przez odległości możliwe do pokonania przez tych, którzy z tych usług korzystają, przy czym nie bez znaczenia jest tu rodzaj i jakość świadczonych usług.

3.

Powstaje jednak kwestia, czy tylko — a jeśli nie tylko, to w jakim zakresie — przemysł drobny nastawiać się ma na produkcję rynkową i usługi dla ludności. Jest to zagadnienie z rzędu odwiecznych i znalezienie optymalnego rozwiązania w tym względzie, pozostaje ciągle sprawą niełatwą. **Już gdzieniegdzie odzywają się głosy, że po wejściu w życie programu rządowego przystąpi się do administracyjnego wygaszania działalności nierynkowej** (wyłączając z tego oczywiście produkcję eksportową). Z takimi zakusami nie bardzo nawet kryją się niektórzy wojewodowie (vide — wywiad z wicewojewodą częstochowskim w jednym z ostatnich numerów „Życia Gospodarczego").

Na takie rozstrzygnięcie kwestii nie sposób się zgodzić. Istnieje wszak pewna grupa małych zakładów zajmujących się niezmiernie potrzebną i opłacalną produkcją kooperacyjną i zaopatrzeniowo-inwestycyjną. Są to z reguły zakłady ściśle wyspecjalizowane, mające duże doświadczenie w tej produkcji i odpowiednio wykwalifikowaną kadrę fachowców. Wiele wyrobów, ze względu na nieskomplikowaną konstrukcję i prosty proces wytwarzania oraz ograniczone nań zapotrzebowanie, może być produkowane jedynie w tychże jednostkach, odciążających od dodatkowych kłopotów przedsiębiorstwa wielkie. Okazuje się to korzystne szczególnie w tych przypadkach, gdy produkcja taka wymaga dużego wkładu pracy ręcznej, a nie zezwala na zbyt daleko posuniętą automatyzację.

Utrzymanie tejże produkcji leży więc przede wszystkim w interesie licznej rzeszy odbiorców: wielkich przedsiębiorstw przemysłu okrętowego, motoryzacyjnego, maszynowego powiązanych umowami kooperacyjnymi, a także innych jednostek cierpiących na dotkliwe braki w zaopatrzeniu w środki produkcji. I ten aspekt sprawy należałoby zawsze brać pod uwagę przy podejmowaniu decyzji o wstrzymaniu określonego rodzaju produkcji nierynkowej.

4.

Często się teraz mówi i pisze o efektywności. Słowo to padło też kilka razy i w tym artykule. Przyznajmy, iż niewiele wiemy, jak się kształtuje efektywność gospodarowania w małym zakładzie. Że mała skala produkcji, że wyższe koszty jednostkowe, że trudniejsze warunki? A jak jest w rzeczywistości?

Dokonana swego czasu — w ramach prowadzonych badań nad spółdzielczością pracy regionu łódzkiego — analiza porównawcza podstawowych relacji ekonomicznych przedsiębiorstw kluczowych i spółdzielni pracy przemysłu odzieżowego, wykazała wyższą efektywność tych pierwszych. Niemniej jednak wyniki osiągnięte przez spółdzielnie nie odbiegają zasadniczo od rezultatów uzyskiwanych w „kluczu", a w pojedyńczych przypadkach nawet je nieco przewyższają.

Biorąc pod uwagę odmienny pod względem pracochłonności charakter produkcji oraz wyraźne dysproporcje w wielkościach czynników wytwórczych i wynikający stąd różny stopień trudności realizacji zadań, zaryzykować można stwierdzenie, że efektywność gospodarowania małych zakładów co najmniej dorównuje efektywności osiąganej w zakładach dużych. Efektywność ta, w sytuacji zmniejszenia „rozwarcia" między zadaniami a nakładami w przemyśle drobnym, może być większa właśnie w małych zakładach.

W tym kontekście ważnym zwrotem w traktowaniu małych jednostek są nowe założenia polityki ekonomicznej, które przewidują **dynamiczny wzrost produkcji przemysłu drobnego z równoczesną poprawą zaopatrzenia techniczno-materiałowego oraz rozszerzeniem możliwości inwestowania.**

I jako drugą konkretną zdobycz ostatniego okresu uznać należy właśnie skierowanie wysiłków na usuwanie sprzeczności między zadaniami i środkami, jakie zamierza się przekazać do realizacji przemysłu drobnego. Stwarza to małym zakładom — jak nigdy dotąd — wielką szansę rozwoju i zajęcia pozycji najbardziej dla stosownej w obecnej, złożonej sytuacji gospodarczej kraju.

OBYCZAJE

ZBIGNIEW S. NOWAK

ZŁOTA GORĄCZKA

Tak zwany efekt, to często niebezpieczna siła, zdolna popchnąć niejednego do czynów zgoła nieobliczalnych, przykrych nie tylko dla samych niezrównoważonych popędliwców, ale i tych wszystkich, którzy wchodzą z nimi w jakiekolwiek układy, a tym bardziej tzw. interesy. Każdy więc interes w spółce z szaleńcem to szaleństwo do kwadratu.

Takież niemiłe doświadczenie życiowe dotknęło jednego z większych europejskich handlarzy numizmatami, któremu zachciało się spółki ze zbyt afektowanym kolekcjonerem zabytkowych monet.

Owo doświadczenie tak oto zostało ujęte w akcie oskarżenia: W dniu 1 kwietnia 1979 roku o godz. 22.00, przez przejście graniczne w Olszynie zamierzał przekroczyć granicę państwową i udać się do Szwajcarii obywatel szwajcarski, Max G., czasowo przebywający w Polsce. W czasie kontroli celnej i dewizowej ujawnił, że wywozi z Polski 300 zł polskich, 223 dolary USA, 295 marek RFN, 150 franków szwajcarskich, a nadto odzież osobistą. Odprawy celno-dewizowej dokonywał inspektor Oddziału Celnego w Olszynie, Tomasz C., który zadecydował poddać jednak Szwajcara kontroli osobistej.

W jej wyniku ujawniono u Maxa G., w kopercie umieszczonej od strony pleców pod koszulą, obiegowe pieniądze polskie w kwocie 15.000 zł, marki RFN — 7.800 oraz 5.000 dolarów USA. Zaś w trakcie przeszukania samochodu marki „Toyota", w którym Max G. podróżował wraz z żoną, pod wykładziną wewnętrzną bagażnika, w miejscu usytuowania koła zapasowego, ujawniono i zabezpieczono worek foliowy i dwa klasery, zawierające 665 różnych złotych i srebrnych monet zabytkowych, o łącznej wartości ustalonej przez biegłych rzeczoznawców na 1.832.667 zł!

ANTYKWARIUSZ Z WILHELMSALLEE

Bazylea to centrum europejskiego „czarnego rynku" antykwarycznego. Są, co prawda, inne jeszcze ośrodki konkurencyjne — Wiedeń, Hamburg, Amsterdam, Triest czy Marsylia ale w wielu dziedzinach od lat absolutny prym dzierży Bazylea. Można tam kupić i sprzedać absolutnie wszystkie monety świata, nie tylko starożytnego, ale i zupełnie współczesnego, od antycznych rzymskich denarów do całkiem już dzisiejszych... polskich złotówek.

W centrum miasta, na samym początku ekskluzywnej Wilhelmsallee, w jednopiętrowym budynku o ścianach licowanych czerwonym piaskowcem, od lat mieścił się antykwariat starego Maksa G., dawnego łódzkiego Żyda, którego wojenne losy rzuciły do ojczyzny Wilhelma Tella. Przez wiele lat po wojnie Maks G. handlował, czym tylko się dało, z różnym powodzeniem. Jego antykwariat przypominał kram z wszelką starzyzną. Zakład prosperował raczej mizernie. Ale w 1967 roku wszystko uległo nagłej zmianie. Stary Maks umarł, a interesy przejął jego syn, Max G. junior. Od tego czasu skromny przedtem biznes błyskawicznie zaczął się rozwijać.

Max G. nie bawił się w byle jaką starzyznę. Dawny kram z rupieciami zamienił na luksusowy antykwariat. Szybko zyskał opinię wybitnego specjalisty w swojej dziedzinie, a jego zakład przyciągał rzesze kolekcjonerów, głównie bogatych zbieraczy z USA, płacących bez szemrania słone ceny za każdy zaśniedziały pieniążek. Interesy kwitły, a jedyną prawdziwą troską Maxa G. było równanie podaży z popytem. To był spory kłopot. Klientów bowiem wciąż przybywało, ale o towar było coraz trudniej...

W 1975 roku Max G. przyjechał do Polski, w odwiedziny do rodziny zmarłego ojca. Umyślił też, że z Polski przywiezie sobie żonę, zgodnie z ostatnią wolą rodziciela. Dwa miesiące bawił w Łodzi, szukając odpowiedniej kandydatki na małżonkę. Miał szczęście. Urodziwa łodzianka, Izabella W., bez namysłu wydała się za bogatego cudzoziemca polskiego pochodzenia.

Po ślubie młoda para zaczęła się gotować do wyjazdu, czyniąc niezbędne zakupy. Nie chodziło oczywiście o żadne tam fatałaszki, lecz o towar, który można by z zyskiem upłynnić za granicą. Na załatwienie bardziej wartościowych okazów, o jakie głównie chodziło antykwariuszowi, potrzeba było jednak wiele czasu, dobrej znajomości środowiska kolekcjonerskiego, a także odpowiednich kontaktów wśród handlarzy. Bez tego ani rusz.

Stroskanemu antykwariuszowi dopomógł przypadek. W poszukiwaniu numizmatów Max G. pojechał do Gdańska, na odbywający się tam właśnie Jarmark Dominikański. Tam też spotkał człowieka, jaki akurat bardzo był mu potrzebny...

REZYDENT

Jerzy S., 33-letni inżynier pracujący w jednym z łódzkich zakładów, był człowiekiem bardzo niespokojnej natury, niezrównoważonym nerwicowcem. Co rusz zmieniał poglądy, zwyczaje, towarzystwo, pracę, a nawet miejsce zamieszkania, wykazując zdecydowaną niechęć do jakiejkolwiek stabilizacji. Jedynie w dwóch przypadkach był stały w uczuciach. Po pierwsze bardzo kochał żonę i małego synka, nie zamierzając zmieniać rodziny na inną. Drugą zaś jego starą miłością, a raczej pasją, była numizmatyka. O rodzinę dbał, jak tylko potrafił. Wszelkie zaś oszczędności i zaskórniaki, które mógł obrócić na inne cele niż utrzymanie domu, bez reszty pakował w kolekcjonowanie starych monet.

Numizmatyką zajmował się od dawna, jeszcze od czasów szkolnych, przejmując owe zainteresowanie, wraz z niewielkim zbiorem, po swoim stryju. W ciągu kilkunastu lat nieustannych zabiegań o coraz to nowe okazy starych monet, zgromadził bogatą kolekcję, liczącą prawie 5 tysięcy egzemplarzy. Kolekcja to imponująca, ale Jerzemu S. ciągle było mało. Toteż korzystał z każdej okazji, by wzbogacić swój ukochany zbiór o jakiś nowy, interesujący eksponat. Poza zwyczajową wymianą z innymi kolekcjonerami, często dokonywał zakupów monet, zwłaszcza na wszelkiego rodzaju giełdach, targach.

Latem 1975, na słynny Jarmark Dominikański, Jerzy S. zabrał ze sobą sporo monet, zamierzając je sprzedać lub wymienić na inne okazy. Jarmark jednak okazał się niewypałem. To, co przywieźli na giełdę inni kolekcjonerzy i handlarze, ani się umywało do oferty inżyniera. Jerzy S. stracił nadzieję na jakąkolwiek korzystną wymianę, mógł co najwyżej liczyć na w miarę

Eugeniusz Kudaj
Foto: R. Łucyszyn

ANDRZEJ MAKOWIECKI

HISTORIA PISANA OBIEKTYWEM

Kiedy na Placu Reymonta odsłonięto niedawno pomnik wielkiego pisarza, Eugeniusz Kudaj był tam oczywiście z aparatem. Ktoś śledzący uważnie powojenne losy łódzkich gazet powie: I co w tym dziwnego? Przecież Kudaj jest wszędzie. I to bez mała od trzydziestu pięciu lat.

Dla nas jednakże, a dla Kudaja przede wszystkim, moment ten ma szczególne znaczenie, jako, że Plac Reymonta nazywano niegdyś Górnym Rynkiem. Nim wszedobylski fotoreporter „Expressu Ilustrowanego" zaczął utrwalać na kliszy początki Łodzi Ludowej, tu, na tym właśnie rynku, podczas strajku robotniczego w 1923 roku, jego ojciec, tkacz, delegat społeczności włókniarskiej, stanął na mównicy i policja granatowa odstrzeliła mu nogę.

Zatem, aczkolwiek zamierzamy skoncentrować się wyłącznie na powojennej, trzydziestopięcioletniej działalności człowieka, który rejestrował losy miasta, odnotujmy kilka faktów uprzednich:

Kudaj jest łodzianinem z dziada pradziada. Urodził się w 1922 roku w rodzinie robotniczej. W latach 1934—37 był działaczem Czerwonego Harcerstwa i sekretarzem Młodzieży Socjalistycznej Dzielnicy Czerwona, za co szykanowano go w gimnazjum. Wcześnie zapoznał się z pracą — budował rozrządową stację kolejową w Andrzejowie, był konduktorem tramwajowym, a w czterdziestym trzecim, kiedy wyrzucono go z komunikacji, otrzymał nakaz pracy w fabryce zbrojeniowej, produkującej karabiny maszynowe. Spotkał się tam ze starymi, doświadczonymi robotnikami, którzy oprócz frezerki i tokarki nauczyli go również sabotować robotę. Niemcy przenieśli fabrykę w głąb Rzeszy, a przeklętych polskich fuszerów zaczęło poszukiwać Gestapo.

— Ukrywałem się — wspomina Eugeniusz Kudaj — w oficynie przy Piotrkowskiej 132. Jedzenie podrzucała mi matka, a także obcy ludzie. Hitlerowcy trafili w końcu na mój trop, ale było to w chwili, kiedy sami już musieli uciekać.

Po wyzwoleniu był jednym z organizatorów Milicji Obywatelskiej, sprawował funkcję zastępcy komendanta na Chojnach, wstąpił do ZWM i do partii, bił się z bandami NSZ w okolicach Łodzi, a później walczył z bandami faszystowskimi.

W Białymstoku poznał swoją żonę, z którą wrócił do Łodzi w 1947 roku, rozpoczynając niebawem studia polonistyczne na Uniwersytecie Łódzkim i jednocześnie współpracę dziennikarską z „Kurierem Popularnym" i tygodnikiem „Pobudka".

— Pomógł mi w tym — mówi Eugeniusz Kudaj — Sergiusz Jaśkiewicz, przy czym chciałbym nadmienić, że zaczynałem jako reporter, a zdjęcia robiłem tylko okazjonalnie, jako ilustrację do swoich tekstów.

Po likwidacji „Kuriera Popularnego" pracował kilka miesięcy w „Dzienniku Łódzkim", po czym stracił to zajęcie z uwagi na ojca-inwalidę, który prowadził na przedmieściach mały, prywatny sklepik spożywczy. Kudaj nie żywi jednak z tego powodu urazy — ot, było i minęło.

Przez jakiś czas współpracował luźno z warszawską „Gazetą Handlową", a w pięćdziesiątym szóstym, kiedy organizowano „Express Ilustrowany", na nowo, Sergiusz Jaśkiewicz, Adam Binkowski i pierwszy naczelny tej nowej gazety, Władysław Orłowski, ściągnęli go do zespołu, w którym przez rok pozostawał na ryczałcie, a później otrzymał etat fotoreportera, okupowany nieprzerwanie do dzisiaj.

— Krótko mówiąc: ciągoty fotograficzne były we mnie tak silne, że zrezygnowałem z pisania. Czułem, że mój obiektyw jest sprawniejszy niż pióro, że w tej formie przekazu potrafię wypowiedzieć się lepiej. Wkrótce zresztą włóczęga z aparatem po mieście stała się moją wielką namiętnością, pasją i nałogiem, bez których i teraz nie wyobrażam sobie życia.

Kudaj zna miasto, a miasto zna Kudaja. Kudaj przeszedł ulicami Łodzi kilkadziesiąt tysięcy kilometrów, a jeszcze więcej przejechał służbowym samochodem, prowadzonym przez zasłużonego prasowego kierowcę, Wacława Zena.

Był świadkiem wszystkich ważnych wydarzeń, które rozgrywały się w mieście, tworząc jego nowe oblicze. Nie ma osiedla, nie ma dzielnicy, która powstałaby poza obiektywem Kudaja, od pierwszych nowych bloków na Bałutach, kiedy to murarze nosili jeszcze cegły na plecach w tak zwanych koziołkach, aż po Widzew-Wschód, gdzie pracują nowoczesne dźwigi i wieżowce pną się w górę z chorobliwą szybkością. Fotografował mosty, wiadukty, bezkolizyjne skrzyżowania, gruzy wyburzonych budynków i fundamenty wznoszonych gmachów; był na miejscu w chwili, kiedy kładziono kamień węgielny i w momencie, kiedy przecinano wstęgę.

— Lubię wyjść z domu o szóstej rano i wałęsać się po nowych dzielnicach aż do południa. Aparat, rzecz jasna, zawsze mam ze sobą. Poluję na jakąś wzruszającą scenę: stary człowiek patrzący z zadumą na powstające wieżowce; stare, biedne, na wpół wieśniacze domki kontrastujące z masywem nowoczesnej zabudowy; śmieszne! na Retkini, jeszcze dwa lata temu, było drzewo z bocianim gniazdem, ptak przylatywał tam co roku, żeby wylęgać młode, ale spłoszył go wreszcie harmider stutysięcznej dzielnicy...

Życiorys Kudaja, podobnie jak biografia każdego rzutkiego dziennikarza, nie wolny jest od akcentów dramatycznych. Bo to komuś się zdaje, iż fotoreporter to taki pan, co sobie pstryka zdjęcia z budowy albo migawki z konferencji, które rozpoczynają się o jakiejś rozsądnej porze. Bywa jednak, że trzeba wstać w nocy, jak wtedy, w latach sześćdziesiątych, kiedy płonęła fabryka na Więckowskiego — jeden z największych, powojennych łódzkich pożarów...

— Otrzymałem telefon, wybiegłem jak stałem, sweter na piżamę i palto. Zima, dwadzieścia stopni poniżej zera, strażakom waliły z sikawek zamarznięte strugi lodu. Jacyś ludzie, abym mógł robić zdjęcia, przenosili mnie z miejsca na miejsce na ramionach, bo w pośpiechu nie zdążyłem włożyć butów, byłem w bamboszach, które nasiąkły wodą i zamarzły. Pracowałem do świtu i nagle ktoś mnie wziął w dyby i rzucił na nosze. Zacząłem się szamotać, wrzeszczeć, że jestem fotoreporterem, ale niewiele to pomogło, gdyż byłem usmolony, podrapany, twarz ociekała krwią, ubranie wisiało w strzępach. W karetkę i na Stację Pogotowia Ratunkowego, gdzie mnie zbadali, umyli, nakarmili i dopiero wówczas, pożyczając mi jakieś gumowce, pozwolili wrócić do pożaru, gdzie pracowałem jeszcze kilka godzin.

Albo wtedy, w sześćdziesiątym czwartym roku, w czasie katastrofy kolejowej w Jedliczach pod Kutnem.

— Zadzwonił do mnie zaprzyjaźniony redaktor z „Głosu Pracy". Pojechałem z nim samochodem, a była okropna mgła, oko wykol. W tych warunkach trudno robić zdjęcia. Aby uchwycić zbliżenie, wpakowałem się pomiędzy dwie lokomotywy, które wpadły na siebie ukosem i nagle runęła na mnie boczna pokrywa żelazna, taka osłona, która ma chronić parowóz przed wiatrem. Nikt tego nie widział, więc leżałem pod nią czekając na śmierć, bo o tym, żeby się stamtąd wydostać samemu, nie mogło być nawet mowy. Szczęśliwym trafem, po godzinie, zaczął mnie szukać ów kolega-dziennikarz, który zebrał już materiał i chciał wracać do domu. Odgrzebano mnie jakoś.

Wchodzi do sklepu, to ludzie ustępują mu miejsca. To samo w tramwajach. Kiedyś przydybała go zgraja chuliganów w parku Wenecja; któryś krzyknął: — Dawaj, dziadku, na flachę, albo w ryj! — A potem poznał go inny zapity drab (pewnie z uwagi na fakt, iż Kudaj często robi zdjęcia na meczach piłkarskich) i powiada:

— Pusta go, chłopaki, fotografa z „Expressu" nie znata? Porzunny gość!

W sześćdziesiątym piątym, kiedy likwidowano plac Tamfaniego, fotografował ostatnie chwile tego historycznego miejsca, a obok, na balkonie, przygrywała orkiestra.

— Lubię takie jarmarczne nastroje. Poza tym chciałem złapać jakąś perspektywę, więc kiedy zaczęli wołać do mnie z balkonu i okien, abym wszedł na górę, zrobiłem to bez namysłu. Okazało się, że trafiłem na wesele i ledwo skończyłem fotografować, posadzono mnie na honorowym miejscu, pomiędzy młodą parą. Reszta niech będzie milczeniem.

W sześćdziesiątym siódmym, w Kolumnie, gdzie pojechał z redaktorem naczelnym i całą gazetową wierchuszką, spiekł nagle raka, bo starosta przywitał ich takimi słowami: — Witam gorąco redaktora Kudaja, fotoreportera „Expressu" oraz jego kolegów!

— Nieraz człowiek poddaje się nastrojom. Było parę takich przełomów, że ze wzruszeniem płakałem. A kiedy odsłaniali Pomnik Martyrologii Bohaterskich Dzieci Polskich i poza oficjalnymi wiązankami, starzy ludzie zaczęli składać skromne wiązanki od siebie, tośmy się wszyscy rozpłakali: ci z prasy, z telewizji, z radia, z kroniki filmowej.

Jakkolwiek Kudaj nie doczekał się jeszcze albumu (być może zrobi coś w tym względzie życzliwe mu Wydawnictwo Łódzkie), ma przecież na swym koncie kilka znaczących sukcesów.

World Press Foto — trzecia nagroda i zdjęcie w albumie najlepszych fotoreporterów świata;

Grand Prix w Glasgow za zdjęcia sportowe;

Wyróżnienia na konkursie w Hongkongu;

Druga nagroda w **Interpress Foto w Budapeszcie** za zdjęcia architektury łódzkiej;

Bursztynowy Obiektyw, Srebrny Pierścień i jeszcze kilka innych.

Pytam:

— Zbliża się emerytura?

— Tak.

— I co? Przestanie pan pracować?

— No, wie pan!? Właśnie wtedy dopiero zacznę!

Marzy mu się wielka fotograficzna wystawa, poświęcona w całości łódzkim włókniarkom. Prowadzi już na ten temat rozmowy. Byłby tylko jednym z jej autorów (oraz komisarzem) zapraszając do udziału w ekspozycji wszystkich czołowych fotoreporterów polskich.

— Tworzę portret robotnicy w całej gamie nastrojów. Wie pan, radości, troski, niepokój, gniew, wesołość, znużenie, satysfakcja. Dużo będę miał pracy, kiedy zacznie się emerytura. Aż strach mnie ogarnia, kiedy pomyślę, ile czasu mi zajmie uporządkowanie archiwum.

— Ma pan jakieś hobby?

— Owszem, działka. Jestem prezesem Pracowniczych Ogródków Działkowych na Nowym Rokiciu, spędzam tam każdą wolną chwilę. Ale po cichu się panu przyznam, że w tych sprawach dużo więcej ode mnie ma do powiedzenia moja kochana żona.

— Czy ktoś w rodzinie kontynuuje tradycję fotoreporterską?

— W pewnym sensie. Córka i zięć są lekarzami, ale mój cudowny wnuczek, czteroletni Adaś, biega już z aparatem i robi pierwsze zdjęcia rodzinne. Nawiasem mówiąc, nie chciałbym jednak, żeby poszedł w moje ślady, bo to ciężki i nerwowy zawód. Mógłbym wyliczyć całą listę chorób, jakich się dzięki niemu nabawiłem, ale... nie lubię narzekać. Uważam, że miałem dobre życie, ciekawe, treściwe, kocham swoją gazetę, swoje miasto i swój fotoreporterski trud.

— Zatem: życzymy panu jeszcze wielu, wielu owocnych lat pracy.

— Dziękuję.

— My także dziękujemy. W imieniu własnym i wszystkich, jakże licznych pana sympatyków. Chciałoby się powiedzieć: w imieniu miasta.

35

SERIA

zyskowną sprzedaż swojego towaru.

Tu miał szczęście! W pewnym momencie do jego „kramu" podszedł elegancki gość, mówiący bardzo łamaną polszczyzną. Okazało się, że to cudzoziemiec ze Szwajcarii. Szwajcar wyraził chęć nabycia wszystkiego, co Jerzy S. miał aktualnie „na składzie". Inżynier oczywiście ochoczo przystał na transakcję, na tym wszakże sprawa się nie skończyła. Po ubiciu interesu Max G. zaprosił Jerzego S. na małego drinka. W „Akwarium", po kilku koniaczkach, kiedy atmosfera dojrzała do rozmowy o interesach, antykwariusz wyłożył kolekcjonerowi bez osłonek, w czym rzecz. Zaproponował inżynierowi utworzenie spółki handlowej na warunkach bardzo korzystnych dla obu stron. Jerzy S. nie posiadał się z radości.

Pomysł był prosty. Max G., ożeniony z Polką, a ponadto mający w Łodzi rodzinę swego ojca, mógł dość często przyjeżdżać do Polski nie zwracając na siebie szczególnej uwagi. Jerzy S. także mieszkał w Łodzi. Łatwo więc było utrzymywać stałe, częste kontakty. Wizyty antykwariusza w Polsce mogły być dlań doskonałą okazją do zakupu numizmatów, które mógł u siebie sprzedać z dużym zyskiem. Potrzebny był cichy „rezydent", który mógłby na tym interesie także sporo zarobić.

Do końca 1977 roku Max G. jeszcze trzykrotnie odwiedził Polskę. Wywiózł ponad 1500 cennych starych monet, zwłaszcza srebrnych, bo szlachetne kruszce interesowały go przede wszystkim. Jerzy S. dorobił się w tym czasie „Fiata 125p". W następnym roku szwajcarski antykwariusz wizytował Polskę pięciokrotnie. Interes nabrał rozmachu. Jerzy S. zaczął budować pod Łodzią komfortową willę, której koszty znacznie przekraczały możliwości przeciętnego inżyniera. Ale przecie Jerzy S. nie był już przeciętnym inżynierem...

WIELKA POMYŁKA

20 marca 1979 roku Max G. kolejny raz przyjechał do Polski. Parę dni zabawił u rodziny, zaś w przeddzień powrotu do Szwajcarii udał się do Jerzego S., aby sfinalizować kolejną transakcję. Tym razem przedmiotem handlu było 665 różnych złotych i srebrnych monet zabytkowych, wartości prawie 2 milionów zł!

Jerzy S. cieszył się niezmiernie, bo znów zarobił lekko poważną sumkę, część w dewizach. Max G. był nieco mniej kontent, bowiem inżynier nie zgodził się na sprzedaż wspaniałej, kompletnej serii złotych guldenów holenderskich z 1898 roku, na czym antykwariuszowi szczególnie zależało. Już któryś raz z kolei próbował wycyganić „holendry", ale Jerzy S. zaparł się na mur i ani chciał o tym słyszeć. Była to bowiem nie tylko wspaniała ozdoba jego kolekcji, ale i pamiątka po stryju, od którego kiedyś zaraził się kolekcjonerską pasją, a później otrzymał w spadku m. in. ową złotą serię.

Max G., niepocieszony, szybko pożegnał wspólnika, zbierając się do wyjazdu z tym, co udało mu się kupić. Podziękował nawet za drinka, którym inżynier chciał go poczęstować, by godnie uczcić transakcję. Jerzemu S. pozostało więc samotnie opić kolejny sukces.

Następnego dnia obudziła go żona wracająca od rodziny i oczywiście od razu urządziła mu awanturę. Nie za pijaństwo bynajmniej, bo akurat była niedziela i inżynier miał dosyć czasu, by wyleczyć piętrowego kaca przed pójściem do pracy, ale za to, że w butach polazł w czyściutką pościel, tratując niemiłosiernie bieliznę. Jerzy S., pokłóciwszy się z małżonką, zamknął się obrażony w swym pokoju i zabrał się do porządkowania swojej numizmatycznej kolekcji, co zawsze był czynił dla przywrócenia równowagi psychicznej. Wiadomo, hobby to najlepszy relaks.

Aliści tym razem stało się inaczej: Kiedy inżynier zabrał się za swoje klasery z monetami, by uładzić bałagan po ostatniej wyprzedaży, omal go szlag nie trafił na miejscu. Zniknął bowiem klaser ze złotą serią holenderską! Zwyczajnie, nie było go. Nigdzie, choć Jerzy S. wywrócił cały pokój do góry nogami.

Rażony tym odkryciem kolekcjoner wpadł w szał i pognał do najbliższego komisariatu milicji. Trzeba było się spieszyć, by dało się jeszcze zatrzymać Szwajcara na granicy. O swoją skórę Jerzy S. ani trochę się nie bał; zawsze mógł powiedzieć, że Max G. proponował mu handelek, ale on z propozycji nie skrzystał.

Dyżurny oficer, do którego skierowano Jerzego S. w komisariacie, z zainteresowaniem wysłuchał sensacyjnej opowieści. Natychmiast zarządzono blokadę przejść granicznych, a do mieszkania inżyniera wysłano grupę dochodzeniową, by sprawdzić rzecz na miejscu i stwierdzić, czy ewentualnie jeszcze coś nie zginęło.

Kiedy wszakże Jerzy S. wraz z funkcjonariuszami wrócił do domu, czekała go nie lada niespodzianka! Na jego biurku, obok innych klaserów, leżał także i ten, który rzekomo został skradziony przez szwajcarskiego antykwariusza. Inżynier nie dowierzał własnym oczom, ale fakt był faktem! Holenderskie złoto odnalazło się w cudowny sposób.

Cóż się okazało? Kiedy Jerzy S. spał jeszcze, przymroczony alkoholem, jego pięcioletni synek, który powrócił właśnie z mamą z wizyty u babci, zauważył, że na biurku leżą klasery, którymi ojciec nigdy nie pozwalał mu się pobawić. Ponieważ tata spał, chłopaczek skorzystał z okazji. Sięgnął z biurka najmniejszy klaser, przypadkiem akurat ten z „holendrami", po czym przycupnął w kątku, gdzie cichutko i grzecznie oglądał owe skarby, które ojciec tak skrzętnie zawsze przed nim chował.

Kiedy dzieciak tak się bawił, Jerzy S. został akurat obudzony przez żonę z pijackiej drzemki. Po kilkuminutowej kłótni o spanie w buciskach w nowiutkiej pościeli, poszedł do swojego pokoju, gdzie odkrył brak złotych guldenów. Nie przyszło mu na myśl, że to właśnie dzieciak mógł drapnąć klaser ze złotem. I tak doszło do brzydkiego posądzenia cudzoziemca...

Skonfundowany inżynier zaczął bardzo grzecznie przepraszać panów milicjantów za fałszywy alarm i niepotrzebną fatygę. I na tym właściwie cała sprawa mogłaby się zakończyć. Ale się nie zakończyła!

Nieufni milicjanci postanowili rzecz dokładnie wyjaśnić do końca. No i wyjaśnili...

PRZYBYSZE Z KOSMOSU? (3)

OLGIERD WOŁCZEK

W urzędowym komunikacie specjalnej komisji powołanej przez lotnictwo wojskowe USA, podpisanym również przez prof. A. Hynka, a wydanym 8 listopada 1957 roku czytamy wyraźnie:

„Siły powietrzne Stanów Zjednoczonych po zbadaniu ogółem 5700 meldunków o „latających spodkach" w latach 1947—1957 nie uzyskały najmniejszego fizycznego dowodu na istnienie „latających spodków". W ani jednym przypadku nie stwierdzono śladów stóp ani odcisków pozostawionych przez jakikolwiek obiekt, który wylądował".

Poszukiwania prowadzono jednak dalej. Dopiero 17 grudnia 1969 r. amerykański sekretarz do spraw lotnictwa wojskowego zadecydował o definitywnym zakończeniu „Projektu Błękitna Księga". Decyzja została podjęta głównie na podstawie wyników tzw. Raportu Colorado, opracowanego przez Uniwersytet Colorado — „badania naukowe niezidentyfikowanych obiektów latających" oraz recenzji tego raportu, wykonanej przez Narodową Akademię Nauk.

W uzasadnieniu do postanowienia o zakończeniu „Projektu Błękitna Księga" podano trzy argumenty. Jednym z nich był stwierdzony brak jakiegokolwiek zagrożenia bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych przez zaobserwowane dotąd „latające spodki". Nie uzyskano też żadnych dowodów na to, iż dostrzeżone UFO reprezentują rzeczywiście wyższy poziom techniczny od konstrukcji znanych i stosowanych w lotnictwie. W ani jednym przypadku, zdaniem przedstawicieli amerykańskich sił powietrznych, nie zdołano wykryć jakiegokolwiek związku zauważonych „latających spodków" z pozaziemskimi statkami kosmicznymi.

Wspomniany Raport Colorado, zwany też często Raportem Condona, gdyż został opracowany pod kierownictwem znanego fizyka prof. U. Condona, spotkał się jednak z dość ostrą niekiedy krytyką wielu uczonych. Szczególną okazję stanowiło specjalne sympozjum, poświęcone niezidentyfikowanym obiektom latającym, które odbyło się w Bostonie 26 i 27 grudnia 1969 r., a więc w 10 dni po zakończeniu „Projektu Błękitna Księga". Konferencja została zorganizowana pod egidą bardzo poważnej instytucji naukowej zrzeszającej znakomitą większość uczonych amerykańskich — AAAS. Jest to American Association for the Advancement od Science, czyli Amerykańskie Stowarzyszenie Rozwoju Nauki. W imprezie tej wzięli udział wybitni uczeni reprezentujący różne dziedziny wiedzy: astronomowie, cybernetycy, fizycy, meteorolodzy, psycholodzy, socjologowie, naukoznawcy. Umożliwiło to wszechstronne i rzetelne omówienie zagadnienia.

Powodem krytyki Raportu Colorado była jednak nie wiara uczonych w pozaziemskie pochodzenie „latających spodków", i ich misję, lecz rzetelna chęć wyłuskania prawdy, chociażby ta prawda okazała się kłopotliwa. Naukowość nie polega bowiem na odrzucaniu osobliwych faktów, jeśli nie mieszczą się one w znanych kategoriach i uznawanych schematach, przyjmowanych w pracach badawczych.

W Raporcie Colorado tak właśnie stereotypowo — w imię uczciwości naukowej — potraktowano szereg przypadków, których nie sposób wyjaśnić w świetle wiedzy współczesnej. Pokutuje tu przyjmowana od końca XIX wieku zasada, stosowana przede wszystkim w fizyce: to, co się nie da wtłoczyć w uznawany w nauce schemat zjawisk, po prostu nie istnieje. Zwolennicy takiego poglądu uważają więc na przykład, że ponieważ nie wykryto dotąd życia poza Ziemią, tak długo dopóki nie zdobędzie się niezbitego dowodu, trzeba przyjmować, że go tam nie ma. W tego rodzaju postępowaniu jest rzetelność doprowadzona do absurdu.

Nieżyjący już dziś profesor nauk o atmosferze Uniwersytetu Arizony w Tucson, James Mc Donald, zwrócił więc na wspomnianym sympozjum bostońskim uwagę szczególnie na 10 przypadków „latających spodków", zauważonych przez wykwalifikowanych i rzetelnych obserwatorów — przypadków szczegółowo udokumentowanych. Wszystkie one wymykają się próbom racjonalnego ich wytłumaczenia, zaś komentarze Raportu Colorado nie są przekonywające. Sprawiają one wrażenie doczepionych na siłę, jakby ci, którzy je napisali, obawiali się wychylenia się poza granicę przyzwoitości.

Do szczególnie interesujących, należą dokumenty fotograficzne. W materiałach sympozjum bostońskiego znaleźć można między innymi klasyczne już zdjęcia wykonane 11 maja 1950 roku na południowy zachód od miejscowości McMinnville w stanie Oregon. Właśnie w Raporcie Colorado możemy przeczytać następujący komentarz do tych fotografii:

„Jest to jedno z niewielu doniesień o UFO, w którym wszystkie przebadane czynniki: geometryczne, psychologiczne i fizyczne sprawiają wrażenie zgodne ze stwierdzeniem, że niezwykły obiekt latający, srebrzysty, metalowy, o kształcie tarczy o średnicy dziesiątków metrów i widocznie sztuczny przeleciał widziany przez dwóch świadków. Nie można stwierdzić, że fałszerstwo jest absolutnie wykluczone, ale jest szereg czynników fizycznych, takich jak dokładność pewnych cech fotometrycznych oryginalnych negatywów, które przemawiają przeciw oszustwu".

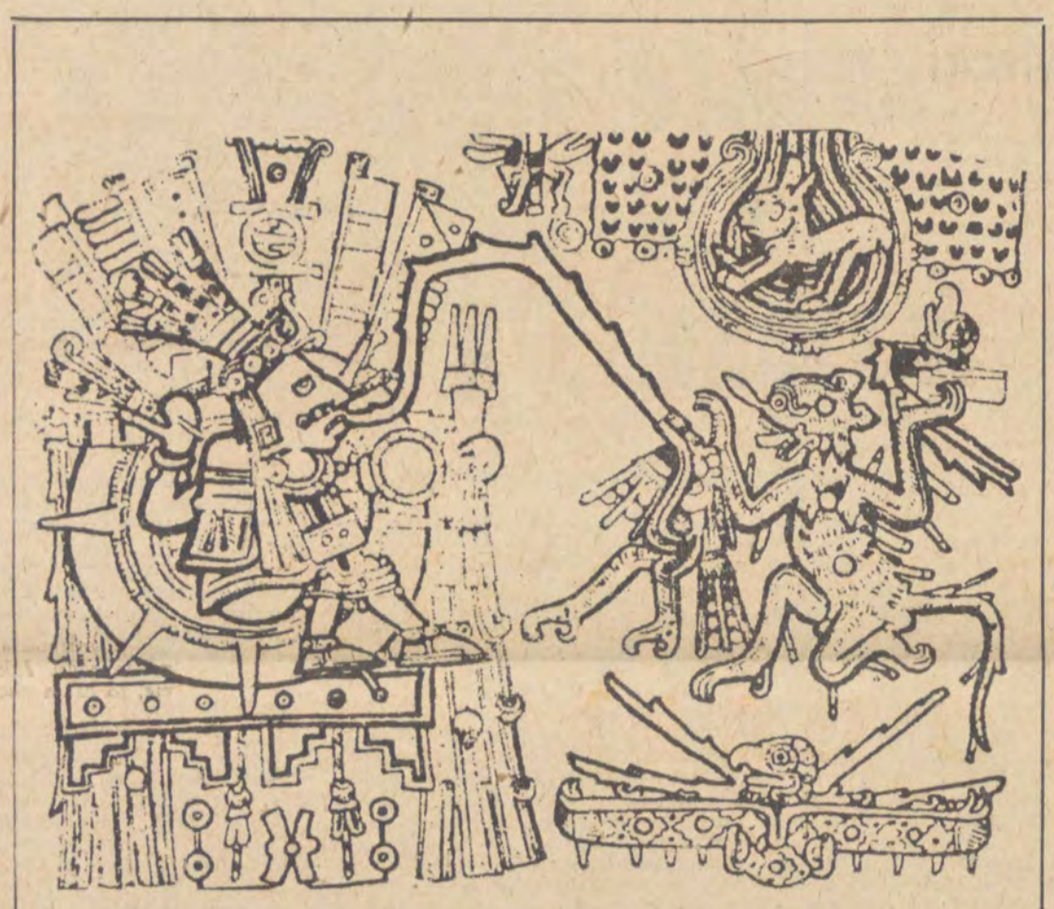

Staroamerykański rysunek z roku 1450. Czyżby „kosmita" w swoim pojeździe?

Analiza zdjęć z okolic McMinnville wykonana przez ekspertów świadczy również o tym, że nie było tam wad kliszy, ani nie nastąpiły przypadkowe zniekształcenia w czasie obróbki naświetlonego materiału.

A oto inny przypadek. W dniach 13—14 sierpnia 1956 roku w południowo-wschodniej części Wielkiej Brytanii w okolicach miejscowości Lakenheath stwierdzono pojawienie się niezidentyfikowanych obiektów latających, zarówno wzrokowo jak i metodami radiolokacyjnymi. Po raz pierwszy UFO dostrzeżono o godzinie 21.30, przy użyciu aparatury radiolokacyjnej stacji Bentwaters, oddalonej o około 100 km na północny wschód od Londynu. Pomiary wykazały, że nieznane obiekty poruszają się z prędkością ocenianą na około 6500 do 15.000 km/h. Przelot ich nastąpił w kierunku zachodnio-północno-zachodnim. W 5 minut później pojawiła się grupa 12 do 15 obiektów, które poruszały się na północny wschód z bardzo umiarkowaną prędkością wynoszącą tylko mniej więcej 130 do 200 km/h.

W odległości około 65 kilometrów od Bentwaters echo radiolokacyjne obiektów zlało się w jeden sygnał kilkakrotnie silniejszy niż w przypadku odbicia od pojedynczego bombowca B-36 w porównywalnych warunkach. Domniemany obiekt zatrzymał się na 10 do 15 minut, po czym zaczął się oddalać w poprzednim kierunku, znów się zatrzymał na 3 do 5 minut i o godzinie 21.55 odleciał poza zasięg radiolokatora w Bentwaters.

Urządzenie to wykryło nowe obiekty, poruszające się tym razem ze wschodu na zachód, o godzinie 22.00 i 22.55. W powiadomionej o zjawiskach stacji w Lakenheath, znajdującej się w odległości mniej więcej 100 kilometrów na północ od Londynu, w ostatnim wypadku dostrzeżono jasne światło poruszające się na niebie w kierunku ze wschodu na zachód na wysokości około 1200 metrów nad powierzchnią Ziemi z niezwykle wielką prędkością. W tym samym czasie pilot samolotu C-47, przelatującego właśnie nad Lakenheath, zauważył jasne światło, które przemknęło nad jego maszyną, znajdującą się również w odległości mniej więcej 1200 metrów od poziomu gruntu, w kierunku ze wschodu na zachód z olbrzymią szybkością.

W Lakenheath podjęto przeszukiwanie nieba przy użyciu tamtejszych urządzeń radiolokacyjnych. Po pewnym czasie, dokładnie o godzinie 0.10, w odległości około 30 do 40 kilometrów na północny zachód odkryto stacjonarny obiekt. Znajdował się on prawie dokładnie na przedłużeniu trasy przelotu wspomnianych już obiektów poruszających się ze wschodu na zachód od Bentwaters. Domniemany latający spodek nagle zaczął poruszać się w kierunku północno-zachodnim ze stałą prędkością ocenianą na 650 do 950 km/h. Obiekt został też dostrzeżony wzrokowo z powierzchni Ziemi.

Tymczasem zdecydowało się na działanie brytyjskie lotnictwo wojskowe. Nocny samolot myśliwski de Heavilland „Venom" wystartował z lotniska w pobliżu Londynu około północy. Został on skierowany ku jeszcze nieruchomemu wówczas obiektowi na północny zachód od Lakenheath. Pilot dostrzegł go też nie tylko na ekranie radiolokatora, ale i na własne oczy. Kiedy skierował na nieznany obiekt swoje działka, ten zniknął sprzed samolotu i nagle znalazł się za nim. Pilot brytyjski usiłował zejść z kursu domniemanego latającego spodka, lecz bezskutecznie. Obiekt ten powtarzał dokładnie i bezbłędnie wszystkie manewry Anglika tak, że ten zażądał w końcu pomocy z bazy naziemnej. Po dalszych 10 minutach musiał jednak wskutek wyczerpania paliwa przystąpić do lądowania. Tymczasem drugi samolot „Venom", który wystartował w celu wsparcia kolegi, nie był w stanie wykonać ciążącego na nim zadania. Nieoczekiwanie zaczął zawodzić silnik maszyny, która z tego powodu musiała zawrócić do bazy macierzystej.

Wydarzenia z Bentwaters i Lakenheath stanowią najlepiej udokumentowany, choć nie wytłumaczony dotąd przypadek „latających spodków". Opisano go zarówno w dokumentacji Projektu Błękitna Księga, jak i w Raporcie Colorado.

A oto jeszcze jedno interesujące wydarzenie, tym razem z terenu Stanów Zjednoczonych. W dniu 17 lipca 1957 roku samolot amerykańskiego lotnictwa wojskowego RB-47H, wyposażony w specjalną aparaturę elektroniczną do obserwacji obiektów latających, patrolował południowo-wschodni obszar kraju. Na odcinku od Missisipi, ponad Luizjaną, Teksasem aż do Oklahomy RB-47H towarzyszył mu niezidentyfikowany obiekt o znamionach latających spodków. Nad Teksasem, na zachód od Dallas, samolot amerykański zbliżył się do tego obiektu na odległość około 10 kilometrów i minął go. Domniemany latający spodek był wtedy również rejestrowany przez naziemne urządzenia radiolokacyjne Site Utah. Po minięciu przez samolot nieznany obiekt jakby obniżył się na wysokość tylko około 4,5 kilometra i utracono kontakt wzrokowy z nim. RB-47H wykonał zwrot ku północy i znów rzekomy latający spodek został dostrzeżony, także wzrokowo. Po raz ostatni zarejestrowano go metodami elektronicznymi na wschód od Oklahoma City.

Gdzie jest więc prawda? Czy biorąc pod uwagę kilka przytoczonych, nie wytłumaczonych, a dobrze udokumentowanych przypadków należy sądzić, że latające spodki pomimo wszystko istnieją?

Stojąc na gruncie rzetelnej wiedzy, lecz nie kierując się ciasnym dogmatyzmem, można jedynie stwierdzić, że istnieje szereg zjawisk, których w świetle posiadanych informacji nie potrafimy wytłumaczyć. Wypada podkreślić, sformułowanie „w świetle posiadanych informacji".

Na wspomnianym sympozjum bostońskim wybitny fizyk, Philip Morrison, profesor Instytutu Techniki Massachusetts, słynnej uczelni znanej pod skrótową nazwą MIT, poświęcił swoje wystąpienie kluczowemu zagadnieniu — naturze dowodu naukowego. Posłużył się on przy tym klasycznym przykładem — pracą Jean-Baptiste Biota na temat meteorytów. W pracy tej ów uczony francuski w roku 1803 wykazał po raz pierwszy ponad wszelką wątpliwość, że meteoryty rzeczywiście spadają na Ziemię z przestrzeni w górze, a nie są wytworami naszej planety.

Publikacja Biota stanowi uderzający przykład rzetelnego, naukowego podejścia do niezwykłego zagadnienia. Opiera się ona na niezależnych doniesieniach wielu nie znających się ze sobą świadków pochodzących z najrozmaitszych środowisk — doniesieniach zgodnych w zasadniczych szczegółach, a także na analizie geologicznej, wykonanej w danym miejscu na kilka lat przed spadkiem meteorytów oraz po ich odnalezieniu, jak również na dowodach spadku w postaci uszkodzeń dachów, drzew itp. Mamy tu wiele niezależnych od siebie łańcuchów dowodowych, które zbiegają się w jednym punkcie.

Jeśli chodzi zaś o obserwacje UFO, nawet gdy wykonane były one obiektywnymi metodami, jak w opisanych przypadkach w rejonie Bentwaters-Lakenheath czy nad obszarem południowo-wschodnich Stanów Zjednoczonych, brak nam niestety takiego udokumentowania we wszystkich potrzebnych nauce szczegółach.

(„ASTRONAUTYKA")

PIERWSZY POLSKI TRAKTAT O RAKIETACH

Według dotychczasowego stanu badań, najdawniejszym polskim traktatem teoretycznym, mówiącym o rakietach, jest dzieło historyka, kronikarza i żołnierza — Marcina Bielskiego (żył w latach około 1495—1575) pt. „Sprawa rycerska", wydane w Krakowie w roku 1569. Autor związany z terenem Polski środkowej (urodził się i mieszkał w Białej — wsi położonej w obecnym województwie piotrkowskim, a pochowany został w kościele parafialnym w Pajęcznie), zawarł w swej pracy zasady sztuki wojennej w ujęciu historycznym. Dzieło to wyrosło z doświadczeń staropolskiej obronności i potrzeb jej dostosowania do nowych warunków.

Księga ósma „Sprawy rycerskiej", poświęcona w całości artylerii, zawiera między innymi treściwą, choć krótką wzmiankę o sposobach produkcji i zastosowania rakiet. Mówi się tu o rakietach z korpusem papierowym, napełnionym paliwem stałym, złożonym z drobno zmielonych: saletry, siarki i węgla. Napełnianie rakiety paliwem — według autora traktatu — powinno odbywać się w odpowiednio przygotowanej formie, przy czym ładunek należy ubijać stemplem.

Marcin Bielski rozróżnia dwa typy rakiet — jedne z nich wznoszą się w górę swobodnie, z żerdzią ogonową jako stabilizatorem, a drugie poruszają się poziomo wzdłuż prowadnicy, którą stanowi naciągnięty sznur.

Jakkolwiek wiadomości teoretyczne o rakietach, zawarte we wspomnianym dziele, mogą dziś wywołać u nas uśmiech, gdyż przedstawione tam urządzenia przypominają nam bardziej zabawki niż obiekty latające, które my znamy jako rakiety, to jednak należy pamiętać o tym, że nawet największe osiągnięcia techniczne miały często skromne początki. Poza tym drogę osiągnięciom we wszystkich niemalże dziedzinach życia toruje nie tylko sama wiedza i doświadczenie, ale wspomaga je także fantazja i polot człowieka.

HENRYK SZUBERT

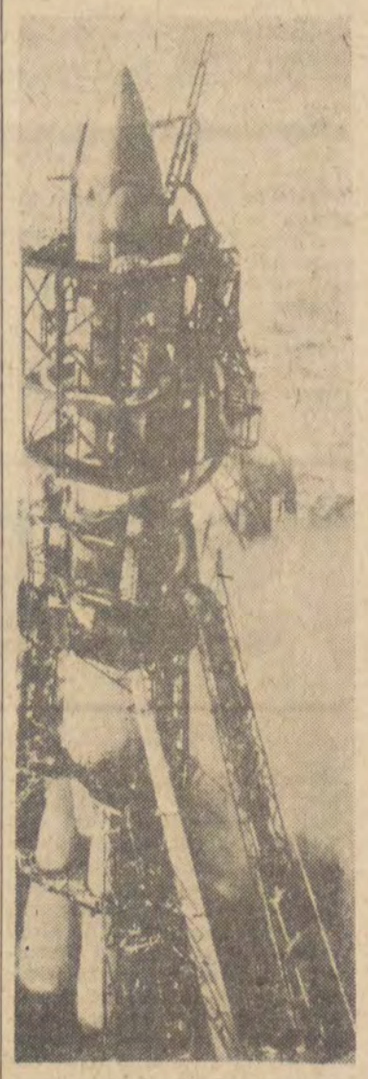

Współczesna rakieta „Wostok".

SAME O SOBIE (i o nas)

Mamy właśnie Międzynarodowy Rok Dziecka zbliża się Dzień Dziecka i dla:ego postanowiliśmy zaprosić do redak:ji grupę dzieci, czyli samych zainteresowanych uroczystościami. Na ogół z takich okazji o dzieciach piszą dorośli. A co dzieci o tym myślą? Co mają do powiedzenia w Międzynarodowym Roku Dziecka? Jakie mają radości i kłopoty? Co też myślą o nas, dorosłych?

W redakcyjnej dyskusji udział wzięło :dziewięcioro dzieci: Iza BEDNAREK, lat 9, Tomasz DUŁKA, lat 10, Marek IZYDORCZYK, lat 9 Małgorzata JÓŹWIAK, lat 10 Paulina PIETRZAK, lat 8, Joanna PYZIAK, lat 8, Robert ROGULSKI, at 8, Katarzyna ROSAK, lat 10 i Maja SOCHA, lat 9. Wszyscy są uczniami Szkoły Podstawowej nr 121 im. Jana Kochanowskiego w Łodzi.

Dyskusja odbyła się w bardzo poważnej i serdecznej atmosferze. Dzieci zabierały głos w sposób wysoce parlamentarny, nie przerywały sobie wypowiedzi, słuchały uważnie, co inni mają do powiedzenia a niekiedy nawet, co i u dorosłych jest ewenementem, ustosunkowywały się do wypowiedzi swoich przedmówców. Krem z bitą śmietaną zjadły z apetytem i nie potraktowały :ego jako formy przekupstwa, choć przyznały, że bardzo się im w redakcji podoba i mogą codziennie przyjeżdżać, aby zabierać głos w różnych sprawach. Z przykrością zrezygnowaliśmy z tej propozycji, gdyż nie starczyłoby nam pieniędzy na bitą śmietanę z kremem. Wszystkie uwagi skrzętnie zostały nagrane na taśmę magnetofonową.

Kasia: Dzieci powinny mieć swój pokój.

Tomek: Mogliby już znów powtórzyć „Zorro".

Paulina: W sklepie to często dziecku nie chcą nic sprzedać...

Robert: Dzieci wiedzą, jak być powinno i czego im trzeba.

Dalszy ciąg ze str. 1

— *Tylko leżakowanie wam się nie podobało?*

IZA: — Panie w przedszkolu powinny więcej z dziećmi rozmawiać, tłumaczyć dzieciom różne sprawy.

ROBERT: — W przedszkolu czasem jest nudno, teraz jest lepiej, więcej się można z kolegami bawić.

— *A gdzie się bawicie?*

TOMEK: — Dzieci, które mieszkają w innych blokach, mają place zabaw. U mnie przed blokiem rośnie trawa. A jedna pani to cały czas siedzi w oknie lub na balkonie i krzyczy na dzieci, jak tylko chcą się bawić na trawie.

ROBERT: — U mnie jest dobrze przed blokiem, są huśtawki, taka mała karuzela, można nawet wypożyczyć rakiety do kometki.

MAJA: — Jak mieszkaliśmy na Strzelczyka, to tam była taka pani, która się dziećmi opiekowała. Mieliśmy piłki, skakanki, huśtawki. Można wtedy było się bawić na trawie, bo ta pani mówiła, że trawa jest po to, że jak dziecko upadnie, żeby się nie potłukło. Ale teraz nie ma takiej pani.

KASIA: — U nas też nie ma żadnych huśtawek, ani karuzeli.

MAREK: — Na naszym podwórku nie można grać w piłkę nożną, bo są okna. Przedtem był taki pusty placyk niedaleko, to myśmy tam grali. Ale teraz posadzili tam trawę i kwiaty, to gdzie my się mamy bawić?

— *Czy przy każdym bloku powinien być plac zabaw?*

PAULINA: — Może nie przy każdym, bo by był wszędzie wielki hałas.

MAREK: — Ale co kawałek, to powinien być. Żeby było niedaleko z domu, bo inaczej rodzice nie puszczą.

— *Co powinno być na takim placu zabaw?*

PAULINA: — Powinna być wypożyczalnia różnego sprzętu dla dzieci.

ROBERT: — Żeby wypożyczali rowery, bo nie każde dziecko ma rower.

MAREK: — I miasteczko kowbojskie, krzaki, górki, rowy, żeby można było bawić się w Indian.

TOMEK: — I jeszcze prawdziwe okopy, żebyśmy się mogli bawić w wojsko.

ROBERT: — I sztuczne czołgi, takie naumyślnie, drewniane.

IZA: — A ja to bym chciała, żeby taki plac miał dach, żeby tam zimą była ślizgawka, latem basen.

MAJA: — I zamek, żeby się można było bawić w królewnę.

ROBERT: — Z czego ten zamek?

MAJA: — Ja nie wiem z czego, ale mógłby być.

MAŁGOSIA: — Jak ja byłam z bratem na wczasach, to tam był taki szałas z gałęzi i też fajnie bawiliśmy się.

KASIA: — Mógłby być i szałas. Sami możemy taki szałas zrobić, tylko żeby było gdzie.

MAŁGOSIA: — Nikt nam nie pozwoli.

KASIA: — Nikt nie pomyślał o nas.

IZA: — Są kłopoty z mieszkaniami, to nikt nie myśli o placach zabaw.

MAREK: — Rodzice pomogliby, gdyby tylko było gdzie to zrobić.

MAJA: — Dorośli się nigdy nie zgodzą, bo dorośli się boją hałasu.

— *Czy podobają się wam wasze mieszkania?*

MAŁGOSIA: — Mojej koleżance i jej mamie dają teraz „M-2", zamiast M-3". A jak koleżanka dorośnie, to musi przecież mieć swój pokój.

KASIA: — Dzieci powinny mieć swój pokój.

IZA: — Jedni to mają dużo pokoi, a inni nie. A wszyscy powinni mieć tyle, żeby nie było ciasno. Jak babcia do nas przyjdzie, to nie ma gdzie jej położyć spać.

ROBERT: — Ja też bym chciał mieć swój pokój.

JOASIA: — Każdy powinien mieć swój pokój.

MAJA: — Ale skąd to wziąć? Jeszcze tyle się nie buduje.

MAREK: — I żeby lepiej budowali, bo teraz to domy pękają i trzeba je reperować.

— *Czy wam się podoba urządzenie waszego mieszkania? Czy zrobilibyście to inaczej?*

JOASIA: — W pokoju musi być segment, jakaś półka na to, co dziecko zbiera, biurko i tapczan.

PAULINA: — I telewizor, żeby można było filmy oglądać.

IZA: — W pokoju dziecka musi być przytulnie, lampka do czytania, lalki na tapczanie.

MAJA: — Musi być dywan, bo na dywanie fajnie się bawi. Jak byłam mała, to mi tatuś wymalował na ścianie bohaterów różnych bajek. Teraz też bym chciała.

MAŁGOSIA: — W pokoju dziecka musi być wesoło. Mogą kolorowe pocztówki być na ścianie.

ROBERT: — Najlepiej byłoby, gdyby dzieci same urządzały sobie pokój, bo dzieci wiedzą, jak być powinno i czego im trzeba.

— *Lubicie wyjeżdżać z domu?*

PAULINA: — Tak, na wycieczki.

— *Czy tylko? A na kolonie, obozy?*

MAŁGOSIA: — Na koloniach jest dobrze, jak jest dużo wycieczek i innych imprez.

TOMEK: — Byłem na wczasach, ale to nudne. Jeden telewizor dla wszystkich. Powinien być w każdym pokoju, żeby ludzie mogli sobie obejrzeć to, co chcą.

MAREK: — Na wczasy z rodzicami nie warto jeździć. Nie ma żadnych rozrywek dla dzieci. Rodzice gdzieś chodzą, a my w domu siedzimy. To już lepiej na koloniach.

MAJA: — Na koloniach też nie zawsze jest dobrze. Byłam na takich, gdzie wycieczki organizowali, ale jak nie było wycieczki, to siedzieliśmy i nic nie robiliśmy, bo nie było ani piłek, ani skakanek. Nie było kół do pływania, choć byliśmy nad jeziorem. Można było tylko wejść do wody i chlapać się. To żadna rozrywka.

ROBERT: — Ja to najlepiej lubię jeździć do babci na wieś. Tam mogę robić co tylko chcę.

MAREK: — I żeby gotowali to, co dzieci lubią.

— *Nie zawsze są wakacje i nie zawsze — mimo waszych życzeń — świeci słońce, co dzieci robią, kiedy pada deszcz i jest ponuro?*

KASIA: — Można czytać książki, oglądać telewizję, pójść do koleżanki, albo do kina, jak mama pozwoli.

— *Jakie książki lubicie?*

KASIA: — Ja lubię baśnie.

ROBERT: — A ja o przygodach i „Relax".

— *Czy często dostajecie książki?*

TOMEK: — Mnie babcia kupiła na rynku książki: „Szara Wilczyca" i „Bari, syn Szarej Wilczycy". W księgarni nie ma takich książek.

MAŁGOSIA: — Nie ma też lektury szkolnej.

JOASIA: — Moja mama przez dwa lata szukała „Robinsona Cruzoe".

PAULINA: — Nie ma „Elementarza muzycznego" dla pierwszej klasy.

IZA: — Ja nie mogę kupić „Baśni" Andersena.

MAREK: — Mało jest książek o wojnie dla dzieci, takich jak „Czterej pancerni i pies".

— *Jakie filmy lubicie?*

TOMEK: — Wesołe, takie jak w „Starym kinie".

MAREK: — Żeby się można było śmiać.

ROBERT: — Takie, jak „Bolek i Lolek", „Pies Huckelberry".

MAJA: — Albo filmy o Barbapapie. Mnie się bardzo podobała „Wielka podróż Bolka i Lolka".

IZA: — A ja bym chciała znów zobaczyć „Kaczora Donalda".

MAŁGOSIA: — Dla mnie to za mało jest filmów o dzieciach, takich jak „Pipi".

ROBERT: — Albo „Chłopcy z Placu Broni".

MAJA: — I „Rodzina Leśniewskich".

MAREK: — Westerny powinny też być dla dzieci, a nie tylko w kinie nocnym.

TOMEK: — I częściej „Kosmos 1999". I mogliby już znów powtórzyć „Zorro".

MAREK: — Mnie się podobało „Życie na gorąco", bo to był film o dzielnym Polaku i szpiegowski, i każdy mógł oglądać.

JOASIA: — W „Studio 2" powinno być więcej filmów dla dzieci.

— *A gdybyście miały wybierać, czy macie oglądać film o przygodach chłopców z takiego osiedla jak wasze, czy „Kosmos 1999", albo „Życie na gorąco", to co byście wybrały?*

DZIECI CHÓREM: — „Życie na gorąco" i „Kosmos".

— *Co jeszcze oglądacie w telewizji?*

— JOASIA: — Ja bardzo lubię oglądać audycje o Trójkącie Bermudzkim, Atlantydzie, UFO i piramidach.

KASIA: — Ja lubię też oglądać dziennik, bo tam pokazują takie różne wiadomości z całego świata.

MAREK: — Ja lubię „Studio Sport" i mecze.

— *A co myślicie o dorosłych?*

ROBERT: — Dorośli czasem biją dzieci i krzyczą na nas.

IZA: — Jak dziecko jest grzeczne, to dorośli nie mają powodu krzyczeć i bić. Ale niektórzy dorośli nie lubią dzieci i krzyczą na wszystkie.

PAULINA: — W sklepie to często dziecku nie chcą nic sprzedać.

JOASIA: — Jak dziecko coś źle zrobi, to trzeba mu wytłumaczyć, a nie zaraz bić czy krzyczeć.

MAŁGOSIA: — Dorośli pracują na nas i są źli, jak my nie jesteśmy grzeczni.

MAJA: — Dorośli też kiedyś byli dziećmi i też ich rodzice na nich pracowali. A czy byli grzeczni?

KASIA: — Dorośli już zapomnieli o tym.

— *Lepiej być dzieckiem czy dorosłym?*

IZA: — Lepiej być dzieckiem. Dziecko nie musi wydawać pieniędzy i martwić się o to, nie musi pracować, nie pierze, nie gotuje.

PAULINA: — Ale pomaga rodzicom.

MAREK: — Lepiej być dzieckiem, bo dziecko ma więcej luzu, nie musi stale biegać do sklepu.

KASIA: — Ja to bym już chciała być w średnim wieku. Można chodzić do kina, do teatru, późno do domu wracać. Oglądać wszystkie filmy w kinie nocnym.

JOASIA: — Ja też bym chciała być dorosła. Dorośli mają lepiej, mogą się kochać, żenić się, późno chodzić spać.

IZA: — Jak dorosły późno idzie spać, to rano wstaje niewyspany i musi iść do pracy.

— *Dorośniecie, dorośniecie. Nie ma na to rady. Jak już więc dorośniecie, to czym chcielibyście być? I dlaczego?*

PAULINA: — Pielęgniarką, bo lubię dzieci i bym się nimi opiekowała.

MAREK: — Kierowcą PKS, bo bym mógł podróżować za darmo.

JOASIA: — Badaczką, badałabym różne tajemnice Atlantydy, Trójkąta Bermudzkiego, piramid, UFO.

ROBERT: — Ja bym chciał być takim myśliwym, który łapie zwierzęta dzikie dla zoo.

IZA: — Pianistką, bo uczę się grać na pianinie i lubię muzykę.

TOMEK: — Badaczem, jak Joasia, bo lubię rozwiązywać zagadki.

KASIA: — Lekarką, bo można pomagać innym.

MAŁGOSIA: — Jeszcze nie wiem kim, może aktorką, ale tak naprawdę, to nie wiem.

MAJA: — Stewardesą, bo chciałabym uczyć się obcych języków i podróżować po świecie.

* * *

TYLE DZIECI. Proponujemy tę lekturę dorosłym, w nadziei, że może dowiedzą się czegoś o dzieciach, czego do tej pory nie wiedzieli, albo może przypomną sobie swoje dzieciństwo i inaczej spojrzą na dzieci.

Opracowała:
BOGDA MADEJ
Foto: R. Łucyszyn

Iza: Jak babcia do nas przyjdzie, to nie ma gdzie jej położyć spać...

Marek: Lepiej być dzieckiem, bo dziecko ma więcej luzu...

Maja: ta pani mówiła, że trawa jest po to, że jak dziecko upadnie, żeby się nie potłukło...

Małgosia: W pokoju dziecka musi być wesoło...

Joasia: Jak dziecko coś źle zrobi, to trzeba mu wytłumaczyć...

Publikowane obok scenariusze filmów animowanych pochodzą z serii filmowych produkowanych w Studio Małych Form Filmowych „Se-ma-for" w Łodzi. Być może to forma publikacji stanie się zachętą dla scenarzystów in spe. Dobre scenariusze zawsze i wszędzie są poszukiwane.

Na kolumnie z prawej — „Listy dzieci do Pana Boga", pisane przez dzieci ze Stanów Zjednoczonych. Naiwne, czy przenikliwe?

JANUSZ GALEWICZ

WYŻEJ — NIŻEJ

(Z telewizyjnej serii „Przygody Misia Uszatka")

Uszatek, przed położeniem się do łóżka, stoi w otwartym oknie i kiwa łapką komuś stojącemu za oknem:

— *Cześć! Do jutra!*

Zamyka okno i odwracając się w stronę środka pokoju wylicza na palcach:

— *Wczoraj było, dziś też już się kończy, aa aaa (ziewa), a na jutro umówiłem się z Zajączkiem. To niby takie proste, a często mylimy różne słowa... Choćby tak jak dziś...*

* * *

Maszeruje sobie Uszatek drogą, mija dwupiętrowy domek. Okna na parterze szczelnie zasłonięte. W oknie na I piętrze pojawia się Wiewiórka z głową owiązaną szalem, jak to przy bólu głowy. Wiewiórka chwyta się za skronie, wychyla z okna do Misia. Ten kłania się:

— *Dzień dobry. A cóż to, pani chora, Wiewiórko?*

Wiewiórka macha łapą z rezygnacją:

— *Głowa mi pęka, Misiu, od hałasu pęka.*

Uszatek kiwa łebkiem na znak zrozumienia niedoli Wiewiórki:

— *A kto tak hałasuje?*

Wiewiórka w oknie zatrzepotała łapkami i znów chwyciła się za obolałą głowę:

— *Sąsiedzi, Misiu, sąsiedzi. Ale nie wszyscy. Taki Kot, na przykład, który mieszka na parterze, zachowuje się cichutko. Tak cichutko, że czasem nawet nie wiem czy nie stało mu się co złego.*

Uszatek stoi na dole i zadziera głowę ku Wiewiórce:

— *To skąd te hałasy?*

Wiewiórka wychyla się z okna prawie do połowy:

— *Hałasy są z góry. Sąsiad Dzięcioł tak hałasuje. Całymi dniami kuje dziury w ścianach.*

Miś znów pokiwał głową ze zrozumieniem:

— *Z dzięciołem trudna rada...*

Wiewiórka raz jeszcze zatrzepotała łapami, poprawiła opatrunek na czole i znikając w oknie dodała:

— *Oj, trudna, Misiu, trudna.*

Uszatek popatrzył raz jeszcze na zamknięte okna i poszedł dalej stąpając rozważnie, jakby w głębokim namyśle.

Biegnie sobie drogą Zajączek. To podskoczy, to wywinie koziołka, jak to Zajączek. Nagle staje jak wryty i patrzy przed siebie. Z naprzeciwka idzie Uszatek, ale jakiś zamyślony. Zajączek kucnął i z rozmachu, raz, dwa, już jest przy Misiu, ściska mu łapy, obskakuje to z jednej, to z drugiej strony:

— *Cześć, Misiu! Co słychać?*

A Uszatek wita się z Zajączkiem i odpowiada smętnie:

— *Oj, słychać, słychać i to nawet za głośno.*

W Zajączka jakby strzeliło:

— *Za głośno?*

Misiek bierze kolegę pod ramię i tłumaczy:

— *Tak, Wiewiórka ma sąsiadów. Ten z góry hałasuje całe dnie, a ten z dołu zachowuje się tak cicho, że też trudno wytrzymać. Ale na mnie już czas. Zobaczymy się później.*

Kiedy tak Uszatek rozmawia z Zajączkiem, zza krzaków lub płota zbliża się Prosiaczek. Już jest niedaleko, ale zanim dobiegł, Miś już poszedł. Prosiaczek jednak słyszy koniec rozmowy i teraz pyta:

— *Z kim tak trudno wytrzymać?* — zasapał Prosiaczek. — *Z kim?*

Zajączek zatupał zniecierpliwiony, zamachał łapami i podskoczył: .

— *Eh... ty zawsze musisz się spóźnić. Z sąsiadami Wiewiórki trudno wytrzymać. Ten, co mieszka niżej, hałasuje całe dni, a ten, co mieszka wyżej...*

Prosiaczkowi wydało się, że coś rozumie, poprawił na głowie berecik i dokończył myśl Zajączka:

— *...jeszcze gorzej, ma się rozumieć* — wypalił.

Zajączek znów zatupał zniecierpliwiony:

— *Wcale nie. Ten, co mieszka wyżej, jest za cicho.*

Prosiaczek ze zdumienia nasunął sobie berecik na same oczy:

— *To może... zamienią się mieszkaniami?*

Zajączek z lekceważeniem machnął łapą:

— *Eee tam... mam lepszy pomysł. Chodźmy.*

Pobiegli w stronę domu Wiewiórki.

W dwupiętrowym domu okna na parterze i I p. szczelnie zasłonięte firankami. Okna na II piętrze szeroko otwarte, widać jak za oknem, we wnętrzu pokoju ktoś się miota, stuka, przestawia, łomoce. Raz i drugi daje się zobaczyć, że to działa Dzięcioł. Pod oknem stają Zajączek i Prosiaczek. Dzięcioł wygląda i odpowiada na ukłon. Zajączek wystawia się do przodu:

— *Dzień dobry, mamy prośbę do pana. Wiewiórka narzeka, że u pana strasznie cicho, czasem nawet martwi się, czy nie stało się co złego. Może by pan choć odrobinkę pohałasował?*

Dzięcioł pokiwał głową:

— *Czemu nie? Skoro Wiewiórka prosi...*

I zniknął w swoim pokoju. Zaraz potem rozległo się walenie, łupanie, łomotanie tak okropne, że ściany domku chwiały się na wszystkie strony, a z komina, okien i drzwi leciały drzazgi. Domek prawie się rozlatywał w kawałki. Zajączek popatrzył na Prosiaka, Prosiak poklepał kolegę po plecach:

— *No i widzisz, jakie to proste?!*

Kiedy tak cieszą się z osiągniętego efektu, spostrzegają, że bokiem, pod ścianą przemyka się Kot. Zajączek trąca Prosiaczka:

— *Patrz, idzie Kot.*

Prosiaczek popycha lekko Zajączka i zachęca go słowami:

— *Więc do roboty... Uważaj...* (z góry lecą kawałki domu) — szepnął Prosiaczek.

Zastąpili Kotu drogę i powiadają:

— *Dzień dobry. Mamy prośbę. Wiewiórka nie może spać przez te twoje hałasy. Czy nie mógłbyś trochę ciszej?...*

Kot cały aż się skręcił i wymamrotał:

— *Ależ oczywiście... ja zawsze na paluszkach... ale mogę jeszcze ciszej...*

I kot jednym susem już był w drzwiach domu, zniknął w sieni. Teraz Prosiaczek ujął się pod boki:

— *Widzisz* — triumfował Prosiaczek. — *Raz, dwa i po krzyku.*

W tym samym momencie otworzyło się okno na I piętrze i ukazała się w oknie Wiewiórka. Do głowy przywiązała szalikiem dwie poduszki, każdą na jedno ucho. Wiewiórka miotała się w oknie i krzyczała:

— *Ja już dłużej nie wytrzymam tego hałasu!*

Nagle wszystko ucichło, a Wiewiórka zdarła z głowy swoje osobliwe ochraniacze. Kiedy to się działo, z okna na parterze wyskoczył Kot, zakręcił się w miejscu i pomknął na oślep, jak szalony. Z drugiej strony biegł Uszatek i machał łapami krzycząc:

— *Ale też Dzięcioł hałasuje...*

Z okna wychyla się Dzięcioł i patrzy na dół. Zajączek i Prosiaczek kucnęli zdumieni, bo wszystkie wypadki toczyły się w błyskawicznym tempie. Uszatek już dobiegł, rozgląda się, a Dzięcioł pyta:

— *Co się stało, sąsiadko? Przecież pani sama prosiła, żebym zachowywał się nieco głośniej. A ja na to jak na lato...*

Wiewiórka zadarła głowę ku II piętru:

— *Ja prosiłam?*

Dzięcioł macha skrzydłem i powiada:

— *Oczywiście. Byli u mnie Zajączek z Prosiaczkiem i prosili w pani imieniu...*

Zajączek patrzy na Prosiaczka i opuszcza uszy, Prosiaczek nasuwa berecik na oczy. Uszatek klaszcze w łapy i woła:

— *Już wiem. To pomyłka. Zaraz wszystko wyjaśnimy.*

Podbiega Miś ku Prosiaczkowi i Zajączkowi i przytupując nóżką pyta stanowczo:

— *Może mi powiecie, gdzie jest niżej, a gdzie wyżej?*

Zajączek podnosi łapy do góry, potem opuszcza je na dół, potem zmienia łapy. Zajączek patrzy na Prosiaczka i też zmienia łapy, wreszcie wszystkie łapy pomieszały się, aż Uszatek chwyta się za głowę, a Prosiaczek jeszcze bąka:

— *No... ma się rozumieć...*

Miś trzyma się za głowę zrozpaczony:

— *Wszystko pokręciliście. Teraz musimy przeprosić Wiewiórkę.*

Prosiaczek rusza pierwszy pod okno Wiewiórki:

— *Ma się rozumieć, że musimy... Hmmm... hm... pani Wiewiórko...*

Ale Zajączek nie dał mu dokończyć i sam stoi już obok...

— *Cicho, znowu pokręcisz. Przepraszamy, pani Wiewiórko. Pomyliło się nam, co jest wyżej a co niżej. Stąd kłopoty. Od wczoraj wszystko będzie jak należy...*

Wiewiórka zamachała łapką:

— *Od jutra, Zajączku. Od jutra. Przecież wczoraj już było.*

Zajączek stropił się odrobinę, ale zaraz aż kucnął z emocji. Bo oto Dzięcioł z góry podawał Wiewiórce bukiet kwiatów, a ona przyjmując prezent kiwała łapką na zgodę. Uszatek ujął przyjaciół pod łokcie i pobiegli sobie do domu.

* * *

Kiedy Usztatek już, już kładł się do łóżka, powiada jeszcze:

— *To takie proste. Posłuchajcie:*

I Miś śpiewa piosenkę, ilustrując ją gestami, pokazując „dzianie" się, demonstrując niektóre przedmioty o których śpiewa, bezbłędnie jednak rozróżniając kierunki góra — dół.

Piosenka Uszatka

Wyżej — to chmurki na niebie,
Wyżej — to wiśnie na drzewie,
Wyżej — samolot przeleci,
Wyżej — słoneczko zaświeci.

Niżej — to woda w strumyku,
Niżej — to gruszki w koszyku,
Niżej — to bucik na nodze,
Niżej — to dziura w podłodze.

Koniec piosenki i Uszatek wskakuje do łóżka, gasi lampkę, ale przedtem jeszcze nie zapomina o swoim nieodzownym:

— *Dobranoc.*

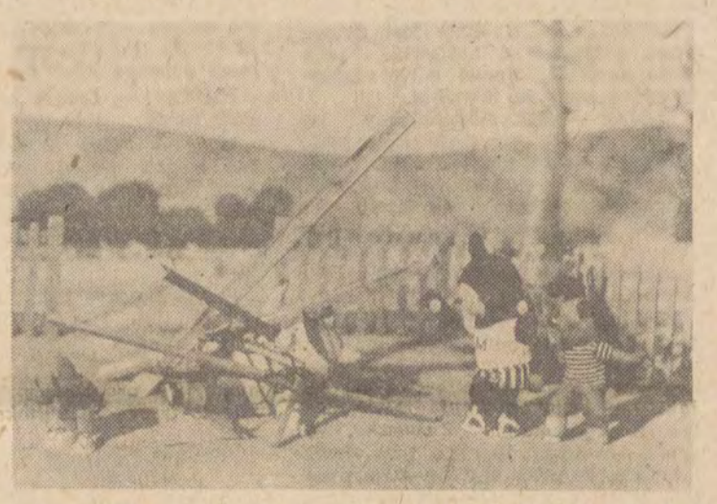

„Huśtawka" — film z serii „Przygody Misia Uszatka". Proj. plast. Zbigniew Rychlicki, reżyseria Janusz Galewicz

ADAM OCHOCKI

KATASTROFA W GÓRACH

(Z serii „Zaczarowany ołówek")

Kamera panoramuje po górach. Akcja rozgrywa się zimą. Pod górę jedzie kolejka linowa, zbliża się do budynku stacyjnego. Za szybą kabiny kolejki wąsaty mechanik manipuluje dźwigniami maszynerii. Mechanik wychodzi ze swego pomieszczenia, otwiera drzwiczki.

Z wagonika wysiada Piotruś w stroju narciarskim — czapeczka, bluza zapinana na guziki, spodnie wpuszczone do butów. Na prawym ramieniu narty z kijkami, pod lewą pachą blok rysunkowy. Za nim wybiega piesek z ołówkiem w mordce.

Mechanik odbiera od Piotrusia bilet, dziurkuje go. Z kolejki wysiada jeszcze jeden pasażer — chudy jak tyka narciarz, z krótko przystrzyżoną bródką.

Narciarz i Piotruś przypinają narty i odpychając kijkami przechodzą na drugą stronę budynku stacyjnego, do „Oślej łączki". Piesek wskakuje na nartę Piotrusia, zmęczył się bieganiem.

Piotruś odpina narty, stawia je sztorcem. Z doliny roztacza się piękny widok. Chłopiec zawiesza blok rysunkowy na wiązaniach nart, rysuje krajobraz, a chudy narciarz wdrapuje się na stromą górkę naprzeciwko budynku stacyjnego.

Najazd kamery na rysunek Piotrusia. Kamera przejeżdża po górach z lewej strony i obracając się w prawo chwyta mały punkt na stromej górce. Ten mały punkt to chudy narciarz który zjeżdża imponującym szusem.

Narciarz pędzi coraz szybciej. Nagle traci panowanie nad nartami. Gubi kijki i szusuje z wyciągniętymi przed siebie rękami. Odwróceni do niego tyłem Piotruś i piesek nie widzą tego. Narciarz, w szalonym pędzie, z pochyloną do przodu głową, odbija się od wystającego progu i w pozycji poziomej wpada przez otwarte okno do kabiny mechanika.

Silny wstrząs — kolejka szybko zjeżdża na dół. Wąsacz pociąga jeden lewarek, drugi. Kolejka staje między dwoma słupami. Po obu stronach wysokie ściany gór, w dole — przepaść. Mechanik rozpaczliwie manipuluje lewarkami, ale kolejka tkwi nieruchomo w miejscu.

Piotruś skończył właśnie swój rysunek, gdy rozlega się syrena. Na dachu budynku zapala się i gaśnie na przemian czerwone światło — alarm! Piesek puszcza się pędem do stacji. Piotruś obraca się, chcąc pobiec za nim. W tym momencie zza zaspy śnieżnej wyjeżdża na miniaturowych nartach krasnoludek odpychając się zaczarowanym ołówkiem. Podaje chłopcu ołówek i znika.

Chłopiec z zaczarowanym ołówkiem w ręku wpada do kabiny mechanika. Ten załamując ręce pokazuje na wiszącą między słupami kolejkę.

Wszyscy trzej — Piotruś, mechanik i pisek biegną na polankę, nad którą zawisła kolejka. Piotruś rysuje zaczarowanym ołówkiem drabinkę, która zamienia się w prawdziwą. Następnie szybko wspina się po szczeblach. Drabinka się chwieje, mechanik i piesek przytrzymują ją. Znalazłszy się na ostatnim szczeblu, Piotruś dorysowuje drugą, identyczną drabinkę, wsadza ją końcówkami w otwory poprzedniej i dalej pnie się w górę.

Wysoka drabina ze stojącym na górze chłopcem chwieje się coraz bardziej. Piotruś rysuje dwie liny, przywiązuje je z obu stron drabiny i spuszcza na dół. Mechanik i piesek chwytają końce lin i powoli opuszczają drabinę w stronę wiszącej w górze kolejki.

Piotruś, stojąc na ostatnim szczeblu drabiny, znajduje się na tej samej wysokości co okienko unieruchomionej kolejki. Wsuwa głowę przez okno i mówi coś do narciarza, żywo gestykulując jedną ręką. Drugą przytrzymuje się drabiny, następnie schodzi kilka szczebli, żeby zrobić miejsce narciarzowi.

Tyłem przez okno kolejki wchodzi chudy narciarz. Jedną nogą staje na szczeblu i trzymając się oburącz wycięcia okiennego spogląda w dół. Widzi z góry małą chatynkę, mechanika i — przepaść. Wszystko w szalonym pędzie wiruje mu przed oczyma. Narciarz wydaje okrzyk trwogi, wskakuje z powrotem do wagonika, wystawia ręce i potrząsa nimi — za żadne skarby nie zejdę na dół!

Zrezygnowany Piotruś schodzi na dół, rozmontowując po drodze drabinę. Każdy jej fragment wkłada sobie pod pachę.

Piotruś, mechanik i piesek podążają w kierunku budynku stacyjnego.

Przed budynkiem Piotruś rysuje długą linę, robi pętlę, nakłada ją pieskowi na kark i pokazuje na kolejkę. Piesek kiwa głową, że zrozumiał, podbiega do żelaznej liny, po której niedawno zjechała kolejka, splatając łapy chwyta się liny, zjeżdża po niej na dół ciągnąc wyczarowaną przez Piotrusia linkę. Pętlę zakłada na hak tkwiący w przedniej ścianie wagonika, po czym wspina się z powrotem w górę.

Piotruś głaszcze pieska, brawo! Rysuje jakby trzepak na pościel, wbija przy pomocy mechanika trzepak w śnieg, przekłada linę przez poprzeczny drążek „trzepaka" i wszyscy we troje ciągną linę z całych sił.

Kolejka wolno posuwa się w górę. Zwalniając coraz dłuższy kawał liny, trójka ratowników ciągnie dalej. Ale siły ich opuszczają — nie mogą już opanować przeciwwagi kolejki, wagonik zjeżdża do tyłu na swoje poprzednie miejsce, a nasi bohaterowie wzbijają się w powietrze trzymając się kurczowo liny. Chłopiec nie traci zimnej krwi — trzymając się jedną ręką liny, drugą wyjmuje z kieszeni zaczarowany ołówek i rysuje parasol-spadochron z trzema uchwytami. Każdy łapie za jeden uchwyt, parasol powoli opada na śnieg (...)

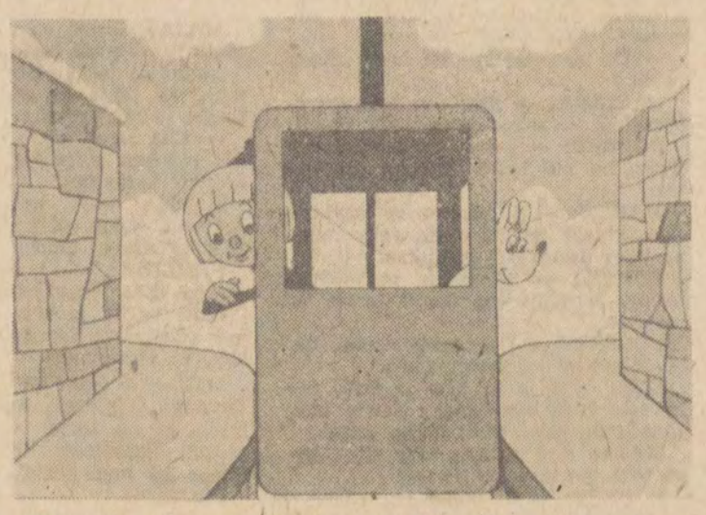

„Katastrofa w górach"! Proj. plast. Karol Baraniecki, reżyseria Zbigniew Czarnelecki.

Piotruś już wie, jak wciągnąć kolejkę i uwolnić narciarza! Rysuje wielki magnes (...)

Piotruś, mechanik i piesek obracają magnes, ukierunkowując go biegunami na wiszącą kolejkę. Rozlega się donośny chrzęst. Kolejka drgnęła, zakołysała się i powoli pnie się ku magnesowi. Mechanik klaszcze w dłonie, Piotruś tańczy w kółko z radości, piesek wywraca koziołki.

Wagonik nabierając szybkości sunie w stronę magnesu, wreszcie przylepia się do niego z głośnym hukiem. Mechanik otwiera kluczykiem drzwi wagonika. Wychodzi narciarz, którego bródka wyrosła już do pokaźnych rozmiarów.

Mechanik wchodzi z Piotrusiem do kolejki i pokazuje mu wyszczerbione koło zębate. Oto defekt, z powodu którego nie można było wyciągnąć kolejki. Piotruś dorysowuje nowe takie koło, zakłada je na miejsce uszkodzonego, następnie wraz z mechanikiem udaje się do jego kabiny sterowniczej. Mechanik przekłada lewarek — kolejka zjeżdża kilka metrów, pociąga za inny — kolejka staje, przekłada trzeci — kolejka wraca. Próba wypadła pomyślnie, można odprawić pasażerów.

Piotruś, narciarz i piesek wchodzą do wagonika. Mechanik zamyka drzwiczki, salutuje, udaje się do swej kabiny, pociąga za lewarek — kolejka powoli zjeżdża na dół.

W otwartym oknie kolejki staje Piotruś i, jak to robią motorniczowie na krańcówkach, przekręca metalową tabliczkę. Napis „Na górę" znika, na tabliczce widać jakieś pojedyncze, oddalające się słowo. Kamera „goni" tabliczkę, na której widnieje napis „koniec". Napis rośnie w oczach do całkowitego rozmazu zakrywając ekran.

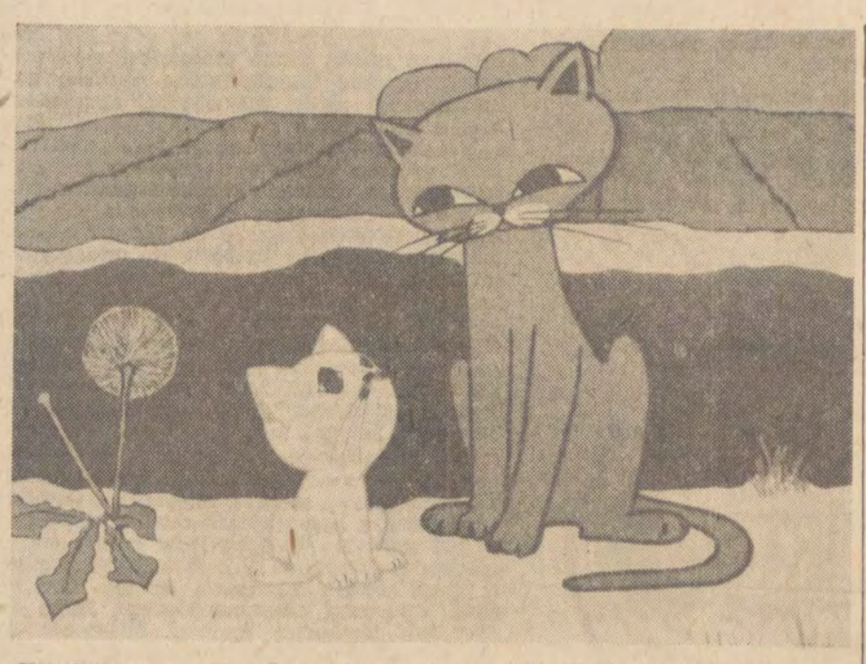

Kot Filemon w filmie „Autobusem do miasta". Proj. plast. Julitta Karwowska, Ludwik Kronic, reżyseria Wacław Fedak.

W izbie znudzony Filemon bawi się kłębkami wełny, a za oknem... Za oknem co chwilę inaczej. Dopiero co słońce świeciło, teraz deszcz kropi, a za chwilę wicher śnieg przyniesie. Niby wiosna, ale wiadomo — kwiecień-plecień wciąż przeplata, trochę zimy, trochę lata. Wraca z dworu zmarznięty Dziadek i w ręce chucha.

— *Co za pogoda?* — mruczy. — *Na kożuch za ciepło, bez kożucha znów za zimno. Przydałby się wełniany sweter!*

— *Oj, nie wiem, Dziadku, czy mi wełny starczy?* — odpowiada Babcia i dalejże z podłogi zbierać porzucone Filemonowe kłębki.

Filemon traktuje to jako niezłą zabawę i Babcia musi się za kłębkami nieźle nagonić.

— *A psik, kocie!* — woła ze śmiechem i wrzuca z trudem zdobyte kłębki do koszyka.

Potem siada i zaczyna robić na drutach sweter dla Dziadka.

— *Oj, nudno!* — miauczy Filemon. — *Zobaczę, może na podwórku zabłąkał się jakiś wełniany kłębek dla mnie...*

Na podwórku hasa pies Szczeniak, zaczepia Filemona i do wspólnej zabawy namawia. Ale Filemon dostrzega w rogu podwórka coś niezwykle ciekawego — jakby kłębek wełny, tyle że olbrzymi, rozkudlony, z wielkimi zakręconymi rogami.

— *Spójrz, Bonifacy!* — woła — *Jaki ten świat piękny! Ledwo zamarzyłem o małym kłębuszku, a zjawił się duży.*

Bonifacy spogląda i zrywa się z szybkością, o jaką trudno go było przed chwilą podejrzewać.

— *To żaden kłębek* — miauczy wskakując na płot — *To baran!!!*

Tymczasem baran popatrzywszy przez chwilę tępo na Filemona opuszcza łeb do dołu i z głośnym bekiem rusza naprzód. Filemon na wszelki wypadek też pryska na płot, w który baran z baranim uporem zaczyna walić głową raz po raz. Koty podskakują miarowo, wywijają salta, ale na baranie rogi nie spadają.

— *Baran? Nieważne... jak się... nazywa* — jąka się podrzucany do góry Filemon. — *Jest taki... puszysty i... miękki...*

— *Oszalałeś?* — odpowiada podobnie Bonifacy. — *Jest twardy... jak stołowa... noga!*

— *Chyba mądry... bo ma dużą głowę* — upiera się Filemon.

— *Głupi jak... baran...*

Tymczasem wychodzi z izby Babcia z połową zrobionego na drutach Dziadkowego swetra i woła do Dziadka:

— *Chyba nie dokończę twojego swetra. W całym domu nie ma już ani kawałka wełny.*

— *Nie martw się, Babciu. Zaraz coś na to poradzimy* — odpowiada Dziadek, rękawy zawija i dalejże ciągnąć kudłatego barana za rogi do komórki.

Później Babcia do komórki wiadro wody wnosi, a za chwilę jakiś chlupot słychać i rozpaczliwe beczenie. Stara komórka trzęsie się, jakby się miała za chwilę rozlecieć.

— *Czysty będzie mój baranek* — cieszy się Filemon.

Po chwili już inne odgłosy z komórki słychać. Znów beczenie, tumult, na przemian z dziwnym „ciach", jakby ktoś nożycami obracał. Ledwo Filemon nos do komórki zdołał wsadzić, kiedy ze środka Dziadek z wypchanym workiem wyszedł. A co w środku? Chyba baran, bo z dziury wystaje coś, jakby rozkudlona głowa barania. Tyle, że bez rogów.

W chałupie wyrzuca Dziadek zawartość worka na podłogę, a Babcia dziwne urządzenie z kołowrotkiem ustawia. Ale gdzie baran? Filemon w poszukiwaniu barana nurkuje w puszystych kłębkach wełny, ale nadaremnie... Naraża się jedynie na klapsa od Babci.

Babcia nasadza kudły baranie na kołowrotek i zaczyna z nich snuć cienką, równą przędzę. Kołowrotek warczy, obraca się, szczerzy drewniane szprychy do kota. Nim się Filemon zorientował, barani kudłaty stwór zmienia się w podłużne wełniane motki.

— *Bonifacy!* — wrzeszczy Filemon — *Gdzie zniknął mój puszysty baran?*

— *Z samego barana niewiele pożytku, nawet do zabawy* — ziewa Bonifacy z zapiecka. — *Dlatego Dziadek ostrzygł go i teraz z tej wełny Babcia zrobi ciepłe swetry i chusty... Jeszcze tylko wełnę trzeba ufarbować.*

Dziadek istotnie zaczyna farbę w garnkach zanurzać i uprzędzone przez Babcię motki wełny w niej zanurza. Potem czerwone, zielone i żółte motki wynosi na dwór, żeby wyschły.

— *Wszystko dobrze, ale gdzie jest mój baranek?* — jęczy Filemon.

— *Beee!* — rozlega się jakby w odpowiedzi gardłowe beczenie i z komórki wychodzi... baran ostrzyżony na palę. Mniejszy się wydaje, nie taki groźny i ogromnie śmieszny.

— *Znów miałeś rację, Bonifacy!* — woła Filemon. — *Barania głowa! Po co mi taki kanciasty kłębek?*

Niespodziewanie przy wiszących na sznurze kłębkach wełny zjawia się Szczeniak i mówi szeptem do Filemona:

— *Gdybyś trochę wyżej podskoczył, to mielibyśmy obaj czym się bawić. Już próbowałem, ale dla mnie to trochę za wysoko...*

MAREK NEJMAN

KWIECIEŃ -PLECIEŃ

(Z serii „Przygody kota Filemona")

Ale od czego Filemon jest kotem? Hop! i już pierwszy motek leży na ziemi. Hop! i drugi też.

No i zaczyna się wspaniała zabawa. Szczeniak ciągnie motek z jednej, Filemon z drugiej strony. To rozwijają wełnianą nitkę, to piączą. Wreszcie zaplątują się w nią tak, że po chwili po ziemi turlają się tylko dwa wełniane kłębki — jeden z Filemonem, a drugi ze Szczeniakiem w środku. Potem te dwa kłębki, jeden za drugim, wtaczają się do izby.

— *Co za dziwy?* — wykrzykuje Babcia. — *Właśnie miałam iść po wełnę, a tu ona sama przyszła. Na dodatek nawinięta w kłębki...*

W odpowiedzi jeden kłębek zaczyna szczekać, drugi miauczeć i cała sprawa się wyjaśnia. Wybucha straszna awantura. Filemon i Szczeniak dostają klapsy i po odwinięciu z wełny wyrzuceni zostają na dwór. Nietęgie mają miny. Na dodatek Bonifacy się naśmiewa:

— *Eh, urwisy! Same zbytki was się trzymają. Czy nie lepiej wyciągnąć się na słońcu i zdrzemnąć trochę?*

Co rzekłszy Bonifacy wyciąga się najwygodniej jak tylko może i ślepia zamyka. Ledwie zamknął, a już kolejna chmura słońce zakrywa i śnieg z deszczem zaczyna padać. Umykają więc wszyscy do izby, a Bonifacy po drodze wyrzeka:

— *Co za pogoda w tym kwietniu? Oby tylko do prawdziwej wiosny doczekać.*

„LISTY DZIECI DO PANA BOGA"

Drogi Panie,
Czy możesz pokazać Mi jak zmyć ze mnie olejnom farbe?
Howard

Proszę, zrób żeby psy żyły tak długo jak ludzie.
Nancy

O.K. Ja dotrzymałem słowa — a gdzie jest rower???
Bert

Jak ty robiłeś cuda to wszyscy mówili, że to wspaniałe. A jak ja chcę, to nawet nie mogę zrobić małej sztuczki bo zaraz dostaję w skórę
Allison

DROGI BOŻE
JAK JESTEŚ
GRUBA TO NIKT
NIE CHCE SIĘ Z
TOBĄ [redacted]
KOLEGOWAĆ
Martha

Dzisiaj Ewa kupiła sobie nową lodówkę. Myśmy dostali pudło po tej lodówce i urządziliśmy sobie w nim klub. Piszę Ci żebyś wiedział gdzie ja jestem jak mnie będziesz szukał.
Marvin

Czy chłopcy są lepsi niż dziewczynki? Wiem że jesteś jednym z nich. ale spróbuj odpowiedzieć uczciwie.
Sylvia

Ja wiem, że każesz nadstawić drugi policzek, ale co robić kiedy twoja własna siostra podbija ci oko.
Teresa

Dlaczego zrobiłeś niebo na niebiesko a trawę na zielono. Czy miałeś tylko takie kolory.

W zeszłym tygodniu trzy dni padało, aż myśleliśmy, że będzie Arka Noego. Ale nie było i tak się cieszę, bo można brać tylko po parze zwierząt — pamiętasz chyba — a my mamy trzy koty.
Donna

Co Ty myślisz o przytulaniu? To takie fajne, co?
Brenda

Uważam, że Biblia jest nieźle. Czy napisałeś jakieś inne książki?
Alice

Wybór z książki „Listy dzieci do Pana Boga", (Wyd. PAX, 1978), zebrali Eric Marshall i Stuart Hample, przełożyła Małgorzata Goraj, rysunki Wojciech Grzymała.

SILNIEJSZE NIŻ PAŃSTWA

Od kilku lat jesteśmy świadkami intensywnej i raczej burzliwej dyskusji, jaka toczy się na różnych płaszczyznach (wśród naukowców, przedstawicieli kręgów gospodarczych, związkowych oraz rządowych licznych krajów świata, zwłaszcza zachodniego) wokół problemu tzw. przedsiębiorstw „wielonarodowych". Rola i wpływy, jakie wielkie korporacje odgrywają obecnie w gospodarce światowej, w pełni uzasadniają powagę problemu. „Wielonarodowce" (Multinationals) stały się bowiem czymś w rodzaju suwerennych imperiów przemysłowych i finansowych, zdolnych narzucać swą wolę państwom i rządom, w efekcie — działalność ich oraz coraz bardziej dominująca pozycja budzi niepokój nie tylko w państwach rozwijających się, ale także wśród wysoko uprzemysłowionych krajów kapitalistycznych. O skali i zasięgu wpływów wielonarodowych korporacji świadczy m. in. fakt, iż na przykład już przed kilku laty produkcja amerykańskich koncernów poza granicami Stanów Zjednoczonych przewyższała ponad pięciokrotnie wolumen eksportu USA, osiągając w 1971 roku wartość 450 miliardów dolarów, co stanowiło 22 proc. wartości całej produkcji przemysłowej świata kapitalistycznego, przy czym proporcja ta wykazuje tendencję zwyżkową. Nic dziwnego zatem, że zjawisko korporacji wielonarodowych stało się obecnie jednym z bardzo poważnych problemów światowych, zwłaszcza jeśli chodzi o stosunkowo nikłe możliwości kontrolowania rozwoju i ekspansji owych potęg przemysłowych, które w latach powojennych rozrosły się pod względem potencjału gospodarczego do wielkości państw.

Będące nie do skontrolowania przez rządy i władze (zarówno krajów macierzystych jak i przyjmujących), związki zawodowe, ONZ, banki, sądy, niemal niedostępne dla narodowej polityki celnej, handlowej i koniunkturowej, niezależne niemal od wahań kursów wymiennych walut — międzynarodowe giganty gospodarcze rozrosły się ponad wszelkie granice, uniezależniły się od narodowej ingerencji i ustanowiły własne prawa. Oto niektóre z nich: zarządzanie w skali światowej i długofalowa maksymalizacja zysków przez władzę centralną, omijanie krajowych barier celnych, przepisów dewizowych i limitów w handlu zagranicznym przez budowę własnych przedsiębiorstw w wielu krajach, transfer zysków do państw, w których podatki są niższe i zaciąganie kredytów w krajach o niskiej stopie oprocentowania, wyrównywanie wahań kursu dewiz przez międzynarodowe kierownictwo finansowe.

Częstokroć owe korporacje określa się w literaturze jako wielonarodowe, transnarodowe, międzynarodowe lub ponadnarodowe, i co charakterystyczne, niemal żadne z tych określeń nie definiuje dostatecznie jasno zarówno istoty, jak i celu tych korporacji, brak jest również czytelnego wyróżnika na tle porównania z „narodowymi" kapitalistycznymi organizacjami gospodarczymi. Szczególne wątpliwości budzi przymiotnik „wielonarodowy", sugerujący, iż kapitał takiego przedsiębiorstwa stanowi własność wielu krajów, podczas gdy zazwyczaj jest on ściśle narodowy (amerykański, brytyjski, francuski, japoński itd.) i lokowany za granicą w formie inwestycji bezpośrednich. Toteż w tym rozumieniu korporacji, jako spółki kapitałowej, posiadającej lub zakładającej filie na terytorium innych krajów, najbardziej prawidłowy i adekwatny dla rzeczywistości wydaje się być dlań termin — korporacja ponadnarodowa, zwłaszcza, że monopole te wielonarodowymi mogłyby się stać dopiero w przypadku, gdyby państwo na terenie którego działają, przeprowadziło częściową nacjonalizację ich przedsiębiorstw i kapitałów. Warto zwrócić uwagę na te aspekty specyficznej dla korporacji międzynarodowych problematyki, które dotyczą kwestii restrykcyjnych praktyk wielkich koncernów (między innymi wymienionych we wstępie artykułu) w ich działalności, szczególnie poza granicami krajów macierzystych. Dlaczego właśnie to zagadnienie jest tak istotne i do jego rozwiązania przykłada się tak dużą wagę?

Otóż, po II wojnie światowej, kiedy rozpoczął się intensywny rozpad systemu kolonialnego kapitalizmu, coraz liczniejsze kolonie uzyskiwały niezależność i suwerenność państwową. Zmieniły się zatem warunki polityczne działania wielkich monopoli. Filie macierzystych korporacji dostawały się pod jurysdykcję niezależnych państw, ale stosunki ekonomiczne pozostawały takie same — filie podlegały organizacyjnie centralom znajdującym się w metropoliach. Tym samym więc stawały się organizacjami ekonomicznymi o ponadpaństwowym charakterze.

Proces dekolonizacji powodował napływ kapitałów z metropolii do tych wszystkich krajów, gdzie nie groziła nacjonalizacja. Zjawisko to było całkowicie zrozumiałe — panowanie polityczne musiało być zastąpione panowaniem ekonomicznym, gwarantującym dostęp do surowców oraz niski poziom cen. Cechą szczególną neokolonialnej eksploatacji krajów postkolonialnych była (utrzymywana dzięki monopolowi inwestycji, technologii i kapitału finansowego) struktura cen światowych — niskich na surowce, wysokich na artykuły przemysłowe. Nowo powstałe państwa szybko uświadamiały sobie swoją całkowitą gospodarczą zależność od kapitału prywatnego byłych metropolii, coraz wyraźniej rysował się problem międzynarodowego systemu panowania ekonomicznego prywatnego kapitału.

W tej sytuacji państwo narodowe i przedsiębiorstwo ponadnarodowe musiały się znaleźć nawzajem wobec siebie w stosunku naturalnej sprzeczności. Państwo narodowe może bowiem zrealizować swoje prawa suwerenne tylko na obszarze swojej suwerenności, natomiast przedsiębiorstwo „wielonarodowe" realizuje swoje cele przez aktywność przekraczającą granice. Ponieważ zwiększa się wciąż liczba państw suwerennych z ich różnymi porządkami prawnymi i gospodarczymi, powoduje to coraz więcej zaszłości wymagających kontroli. Narodowa suwerenność ponad 150 państw stworzyła jednakże taki potencjał różnych ustawodawstw, iż stanowi to wprost zachętę dla przedsiębiorstw ponadnarodowych, aby wykorzystywały nie tylko różnorodne interesy poszczególnych państw, ale także różnice między ich ustawodawstwami i istniejące między nimi luki. Tendencja taka staje się szczególnie wyraźnie zauważalna, gdy poddamy analizie skalę, charakter i sposoby penetracji systemów gospodarczo-politycznych krajów Ameryki Łacińskiej, Azji i Afryki przez filię superkoncernów amerykańskich i europejskich. Godne podkreślenia jest przy tym, że ich ingerencja i wpływy są w znacznej mierze uzależnione od stanowiska oraz orientacji politycznej rządu kraju, w którym firmy „wielonarodowe" prowadzą swoje interesy, a także od wartości, jaką dany kraj dla nich przedstawia.

Początkowo główną formą działania korporacji ponadnarodowych była intensywna eksploatacja źródeł surowcowych prowadzona przy użyciu bezwzględnych metod kolonialnych, wkrótce jednak okazało się, że znacznie wyższe zyski można sobie zapewnić drogą obniżenia kosztów produkcji, co z uwagi na wielokrotnie niższą wartość sił roboczych w krajach Trzeciego Świata niż w USA i Europie oraz wciąż nowe, intratniejsze rynki zbytu, zaczęło być sprawą bardzo opłacalną.

Zmieniła się zatem orientacja w strategii ekspansji wielkich koncernów. Odtąd zaczęto dokładnie badać tereny przyszłej działalności, starając się rozpoznać i zdominować te gałęzie produkcji i usług, rozwój których mógł przebiegać możliwie najszybciej i przynosić maksymalne korzyści finansowe. Krociowe zyski miały także płynąć dzięki zastosowaniu nowoczesnych technologii eliminujących konkurencję lokalnych producentów (technologiczny kolonializm); popieraniu szczególnie atrakcyjnych (z punktu widzenia interesów koncernów ponadnarodowych i rynków zbytu krajów wysoko rozwiniętych) gałęzi przemysłu, częstokroć zupełnie zbędnych dla istotnych potrzeb gospodarczych krajów Trzeciego Świata, a także dzięki — przyznawaniu pomocy w postaci kredytów na rozwój takich właśnie rodzajów produkcji. Spośród innych, jeszcze bardziej wyrafinowanych metod bezwzględnej eksploatacji krajów gospodarczo zacofanych przez obce monopole można wymienić politykę „westernizacji" sposobu myślenia wpływowych grup sprawujących władzę, lokalnego establishmentu, politykę — zmierzającą do tworzenia elit psychologicznie dopasowanych do konsumpcyjnego modelu społeczeństw Zachodu. Na uwagę zasługuje również zjawisko ekologicznego neokolonializmu polegające na likwidacji tych rodzajów i gałęzi przemysłu, które w krajach zindustrializowanych uważane są za „niebezpieczne" dla środowiska ludzkiego i lokalizowanie ich w „nie skażonych" do niedawna wpływami rozwoju „cywilizacji" państwach Ameryki Południowej, Afryki i Azji.

Charakterystyczne jest również, że wyrafinowaną grą ponad granicami „Multinationals" zapewniają sobie znaczne korzyści we współzawodnictwie z przedsiębiorstwami krajowymi i to nie wchodząc bynajmniej w kolizję ani z ustawodawstwem, ani z „zasadami przyzwoitości gospodarczej". Korzystają w tym celu jedynie z aparatu międzynarodowego, jakim nie dysponuje konkurent krajowy. Międzynarodowe kierownictwo finansowe korporacji chroni firmę w skali światowej przed stratami dewizowymi wskutek stałej zmiany kursów wymiennych: zagwarantowanie kursu i „wypompowanie" płynnych środków z „zagrożonych" stref walutowych przynoszą rocznie milionowe zyski. Przy tym „wielonarodowce" mogą zawsze tam kierować swe środki inwestycyjne, gdzie to jest najkorzystniejsze: w krajach o wysokiej stopie procentowej stosują tylko finansowanie, a tym, gdzie kredyty są tanie, zapewniają sobie obce pieniądze.

Trudno się zatem dziwić, że reakcje krajów Trzeciego Świata na neokolonialną ekspansję i wyzysk ze strony ponadnarodowych korporacji, często przejawiają się w formie nacjonalizacji lub wywłaszczenia obcych towarzystw i firm, bądź też jako działania zmierzające do osiągnięcia niezależności ekonomicznej poprzez ograniczanie zagranicznych inwestycji i programów pomocy oraz wypieranie kapitalistycznych koncernów z poszczególnych obszarów i dziedzin działalności gospodarczej. Istniejącą lukę prawną w systemie gospodarki światowej, która umożliwia dyskryminacyjne praktyki wielkich monopoli, wypełnić powinna (zdaniem niektórych badaczy problemu) — jurysdykcja ONZ, opierająca się na deklaracjach „nowego światowego porządku ekonomicznego", a przede wszystkim jurysdykcja regionalna (porozumienia krajów powiązanych regionalnie), umożliwiając kontrolę nad działaniami korporacji. Pomimo opracowania (m. in. przez ONZ, OECD, EKG) konkretnych projektów kodeksów postępowania dla koncernów wielonarodowych zarówno wobec krajów przyjmujących, jak i macierzystych należy wątpić, czy pełne rozwiązanie „problemu ponadnarodowej kontroli korporacji" będzie możliwe, a kontrola skuteczna. Abstrahując bowiem od znaczenia kontroli jako rozwiązania cząstkowego, zagadnienie nie polega na kontroli „międzynarodowego imperializmu ekonomicznego", lecz na jego eliminacji i likwidacji. A zatem, tego rodzaju środki stanowiące próbę pogodzenia interesów tych krajów z interesami wielkich firm (z uwagi na ich zasadniczą sprzeczność systemową) są skazane na fiasko.

ANDRZEJ BLAJER

DE GAULLE I EUROPA

Foto: Archiwum

Z analizą systemową w badaniach z zakresu nauk społecznych wciąż jeszcze spotykamy się u nas najczęściej jako z mniej lub bardziej wyraziście zarysowaną teorią, znacznie zaś rzadziej jako z jej konkretyzacją w badawczej praktyce. Badania systemowe są dziś zawołaniem modnym: ukazują się więc różne, tłumaczone z innych języków bądź (rzadziej) rodzime prace metodologiczne z tego zakresu, toczą się inspirujące naukowe dyskusje nad podstawowymi kategoriami badań systemowych, zainteresowani specjaliści rozważają na różne sposoby, co i jak należałoby badać w oparciu o nowe inspiracje teoretyczne. Jednakowoż wszystko to ma — jak dotychczas — bardzo niewielkie odniesienie do praktyki badawczej historyków, socjologów czy politologów, z których zdecydowaną większość woli hołdować metodom tradycyjnym, może nie doskonałym, ale zawsze sprawdzonym już przez poprzedników i asekurującym autorów przed ryzykiem posłużenia się kategoriami, które nie wszyscy jeszcze znają i akceptują. Swoista inercja praktyki nie nadąża więc za dynamicznym rozwojem ogólniejszej refleksji metodologicznej: stan to z pewnością niezadowalający, ale jak dotąd — rzeczywisty.

Nic w tym dziwnego, że do nowych propozycji metodologicznych szczególną predylekcję okazują uczeni, reprezentujący młode dyscypliny badawcze, zwłaszcza należący do młodszej generacji. Tak też się stało w przypadku warszawskiego politologa Waldemara J. Szczepańskiego, któremu zawdzięczamy niezmiernie interesującą — nie tylko w swej warstwie informacyjnej, bo również i metodologicznej — książkę zatytułowaną: „Europa w myśli politycznej de Gaulle'a. Próba analizy systemowej", wydaną niedawno (1979) we wzorowej szacie edytorskiej przez zasłużoną dla rozwoju nowej dyscypliny badawczej, jaką są w naszym kraju nauki polityczne Redakcji Nauk Politycznych warszawskiego PWN. Celem tej ambitnej rozprawy była rekonstrukcja i wyjaśnienie „tego aspektu myśli politycznej de Gaulle'a, który dotyczył Europy i polityki europejskiej Francji". Autor zaprezentował więc swym czytelnikom — by powołać się na jego własne sformułowanie — „studium politologiczne z pogranicza marksistowskiej teorii stosunków międzynarodowych, historii myśli społecznej i historii współczesnych stosunków międzynarodowych", a więc pracę o rozmachu rzeczywiście interdyscyplinarnym. Starał się uniknąć niedostatków dotychczasowych, tradycyjnych badań nad myślą polityczną de Gaulle'a, tych mianowicie, które nie wykraczały „poza obręb tradycyjnych ujęć deskryptywnych", co autor zidentyfikował — nazbyt pochopnie zresztą — z „metodą historyczną, polegającą na badaniu faktów, opisie ich genezy i ujęciu zjawisk w prostej sekwencji przyczynowo-skutkowej". Nie miejsce tu na bardziej szczegółowe dyskutowanie tej charakterystyki „metody historycznej", która potwierdza raz jeszcze, że przedstawiciele nauk „sąsiednich" mają o historii i jej metodzie wyobrażenia ukształtowane podług jej przedwczorajszego, bo nie wczorajszego nawet kształtu. Nowoczesna historiografia bowiem — i to nie od dziś — usilnie zwalcza tego rodzaju historycystyczną metodę postępowania badawczego, tę metodę, którą wyprecyzowała nauka historyczna ubiegłego wieku, rozwijająca się w orbicie oddziaływania tak zwanego dziś w światowej historii historiografii „niemieckiego historyzmu".

Zostawmy jednak te sprawy na boku. Zgodzimy się z W.J. Szczepańskim, że tego rodzaju ujęcia prowadzą „do wąskiego empiryzmu i uniemożliwiają przeprowadzenie syntez". Dążąc do całościowego oglądu badanych procesów i zjawisk młody autor sięgnął więc po inspiracje, płynące z badań systemowych. Uczynił to okazując znaczną kulturę metodologiczną, nie ograniczając się li tylko do mniej lub bardziej sprawnego zastosowania istniejących już, niejako „gotowych" wzorców badawczych. W pierwszej części swojej książki, zatytułowanej: „Znaczenie analizy systemowej w badaniu stosunków międzynarodowych. Założenia metodologiczne i teoretyczne", pokusił się o zbudowanie własnej, precyzyjnej konstrukcji metodologicznej, mającej znaczenie nie tylko dla badań nad wybranym przezeń problemem, ale również innymi zagadnieniami. Myślę, że przynajmniej tę partię książki W.J. Szczepańskiego powinni przeczytać wszyscy ci, którzy interesują się zagadnieniami dziejów myśli politycznej i zastanawiają się nad metodami jej całościowego badania.

Nie będę jednak w błędzie, gdy przypuszczę, iż większość czytelników, którzy sięgną po książkę W. J. Szczepańskiego, uczyni to nie tyle ze względu na metodologiczne propozycje jej autora, ile ze względu na jej temat. Wybitny znawca dziejów Francji Jan Baszkiewicz pisze na skrzydełku okładki tej książki: „Na posiedzeniu naukowym w paryskim Institut Charles de Gaulle powiedziałem kiedyś żartem, że w Polsce sympatycy de Gaulle'a są być może proporcjonalnie liczniejsi, niż w samej ojczyźnie Generała. Nasze sympatie do niego nie są zresztą bezkrytyczną admiracją; tej już więcej jest wśród Francuzów. Wszelako z dystansu mniej jesteśmy w Polsce wrażliwi na słabości polityki wewnętrznej Generała oraz na styl jego rządów, które irytowały i budziły sprzeciw bardzo licznych jego rodaków". My Polacy spoglądamy na de Gaulle'a z odmiennej — historycznie uwarunkowanej — perspektywy, widząc w nim przede wszystkim „wielkiego patriotę nieprzejednanego w walce z naszym wspólnym wrogiem" oraz męża stanu, którego koncepcje w zakresie polityki międzynarodowej nie były i dla nas bez znaczenia. Warto skonfrontować nasze nie zawsze w pełni kontrolowane intelektualnie sądy z tym, co o tych sprawach ma do powiedzenia badacz. I choćby dlatego warto zaglądnąć do książki W. J. Szczepańskiego, nawet wówczas, gdy skomplikowana analiza systemowa będzie obchodziła czytelnika akurat tyle, co zeszłoroczny śnieg.

ANDRZEJ F. GRABSKI

STARY I NOWY PARYŻ

Każde stare miasto musi nieuchronnie przeżyć „erę modernizacji". Przeżył ją również Paryż — miasto miast. Stolica Francji ma za sobą długą historię, ale czytając prasę francuską wydaje się nieraz, iż w ciągu ostatnich 20 lat żył on bardziej intensywnie, niż kiedykolwiek w swojej długiej przeszłości. Przemiany, jakie dokonała w nim era modernizacji są głębsze i przebiegały bardziej burzliwie niż w innych wielkich metropoliach świata. W każdym razie dla przytłaczającej większości mieszkańców Paryża jest to zupełnie nowe miasto, niezwykle aktywne i pod bardzo wieloma względami uciążliwe w życiu codziennym. Ale tylko ktoś pozbawiony wyobraźni może patrzeć na Paryż jak na zwykle duże miasto odsuwając poza nawias cały otaczający go romantyzm.

Wielki Paryż — to supermiasto liczące 10 milionów mieszkańców, z których cztery piąte zamieszkuje osady podmiejskie. W 1955 roku 40 proc. paryżan mieszkało w granicach 20 rejonów miejskich. Dziś, Paryż jest większy od Chicago czy Londynu, a jego przedmieścia sięgają daleko poza centrum. Ponad połowę powierzchni mieszkalnej wybudowano w Paryżu w ciągu ostatnich 20 lat. Blisko 4 miliony ludzi przybyło do stolicy po zakończeniu wojny i osiedlono ich pospiesznie na peryferiach miasta. Tymczasem ilość mieszkańców „środka" Paryża, więc tych, którzy mieszkają wewnątrz kołą, jakie tworzą Bulwary, zmniejszyła się i zmieniła jakościowo.

Mniej więcej milion paryżan przyjeżdża każdego ranka z odległych przedmieść do pracy w centrum miasta. Średnio tracą oni na dojazdy więcej czasu, niż mieszkańcy Los Angeles, przy tym ludzi żyjących w tak trudnym rytmie czasowym jest w Paryżu więcej niż w Chicago. W stolicy Francji mieszka wysoki procent ludzi pracujących, a liczba kobiet posiadających zawód jest o jedną trzecią wyższa od średniej w całym kraju.

Większość paryżan to urzędnicy. Stanowią oni dwie trzecie zatrudnionych, podczas gdy w przemyśle pracuje zaledwie czwarta część ludności miejskiej (w 1954 roku 40 proc.). Mimo dużego przyrostu przemysłowego we Francji na przestrzeni ostatniego ćwierćwiecza — przyrostu, któremu nie będzie sądzone utrzymać się na tym samym poziomie w okresie możliwym do przewidzenia — przemysł nie jest w stanie zwiększyć liczby miejsc pracy. Paryż biurokratyzuje się w coraz większym stopniu, jego mieszkańcy są w większości urzędnikami, biuralistami, nauczycielami, pracownikami służby zdrowia itp. 25 proc. tej kategorii mieszkańców stolicy pracuje w sektorze służby państwowej. Czy tendencja ta będzie się rozwijać? A jeśli tak to gdzie tych wszystkich ludzi zatrudnić? Oto jedna z głównych trosk władz miejskich.

Przemiany w takich sprawach życia miasta, jak miejsce zamieszkania i rodzaj zajęcia mieszkańców dały początek rosnącej segregacji, która jest dziś charakterystycznym rysem nowego Paryża. Dzieli ona ludzi według takich cech, jak: miejsce pracy, mieszkanie i czas wolny od zajęć. W rzeczywistości jednak jest to segregacja klasowa, rasowa i według stanu zamożności.

Szczególny urok dawnego Paryża stanowiło bliskie sąsiedztwo najbardziej różniących się między sobą ludzi i różnorodność ich zawodów. Właśnie pod tym względem idealny, wymarzony i romantyczny Paryż był bardzo bliski rzeczywistości. W nowoczesnych, wysoko zabudowanych przedmieściach, próżno by dziś szukać tego polotu starego Paryża. Tak samo zresztą, jak i na eleganckich ulicach bogaczy. Drugim czynnikiem, który spowodował zmiany w stolicy Francji jest wzrost opłat dzierżawnych za mieszkania i wysoka cena działek ziemskich w Paryżu. Ponieważ cena za metr kwadratowy powierzchni mieszkalnej w jakimkolwiek punkcie miasta wewnątrz koła zamkniętego Bulwarami utrzymuje się na poziomie około 5—7 tys. franków (nie dotyczy to mieszkań luksusowych), a wyraźnego programu budowy mieszkań z umiarkowaną opłatą w samym Paryżu nie ma, przeto wielodzietne rodziny zostały wyrugowane poza granice stolicy. Najpierw opuścili Paryż przedstawiciele najbiedniejszych warstw ludności, za nimi pociągnęła drobna burżuazja i wreszcie warstwy średnie. Pozostały bogate rodziny i rodziny nędzarzy, a szczególną osobliwością dzisiejszych „miejskich" paryżan jest bezdzietność. Mieszkanie zajmuje jedna, dwie lub trzy osoby dorosłe ale dzieci nie ma 60 procent par małżeńskich. Mieszkańców Paryża przeraża fakt, iż wiele w tym mieście zaczyna przypominać Nowy Jork: jedne dzielnice są wyludnione nocą, inne w dzień, koncentracja aktywności handlowej i zatłoczenie w centrum, posępna pustka na przedmieściach, ponieważ ich mieszkańcy jeżdżą do pracy w Paryżu i wracają do domu, żeby przenocować.

Zabudowa nowego Paryża przebiegała pod presją ostrego braku mieszkań. Bodźcem do tego był szybki przyrost ludności. W 1946 roku, w granicach rejonu paryskiego mieszkało 6,6 mln. osób. W 1954 roku liczba ta wzrosła już do 8,4 mln. z silną tendencją wzrostu. Zapewnienie mieszkań i usług w takiej masie ludzi, już samo w sobie było kolosalnym problemem. A przecież w okresie lat 1932—54 w Paryżu praktycznie nie budowano, a wiele domów doczekało się śmierci technicznej.

Po wojnie budżet miejski był w opłakanym stanie. Ponad połowa mieszkań nie miała łazienek, centralnego ogrzewania i składała się w swojej podstawowej masie, z dwóch, często maleńkich pokoików. Municypalne władze miasta znalazły się w rozpaczliwej sytuacji. Ostatni szpital zbudowano w 1932 roku, zaledwie czwartą część wód ściekowych oczyszczano w miejskich stacjach oczyszczania wody. Miasto pozostało daleko w tyle również w takich dziedzinach, jak stan łączności telefonicznej, stan budynków administracji, oczyszczanie miasta, sprawy sanitarne i inne.

Paryż należało więc modernizować, ponieważ proces ten uległ tragicznemu wprost zahamowaniu w okresie między dwiema wojnami światowymi. Od 1954 roku paryscy budowniczowie miasta rozpoczęli gorączkową realizację programu masowej zabudowy. Była to żałosna era „wielkich zespołów", kiedy to na skinienie ręki biurokraty, tu i tam wyrastały szeregi ponurych, jednakowych kolosów. Z kolei prywatni właściciele wznosili domy według własnego widzimisię, gwoli zaspokojenia potrzeb przez nikogo nie kontrolowanych przedsiębiorców i spekulantów ziemią. Nad tym całym godnym pożałowania chaosem panoszył się najgorszy z systemów: z jednej strony urzędnicy nie mający żadnego generalnego planu zabudowy, a z drugiej — nieokiełznani spekulanci.

Dopiero w początkach lat 60-tych ten chaos w zabudowie miasta, który groził zdławieniem centrum Paryża, zmusił prezydenta de Gaulle'a i ówczesnych energicznych prefektów stolicy do podjęcia decyzji podporządkowania tego budowlanego zamętu zorganizowanej dyscyplinie modernizacji miasta. Szeroki program budownictwa przewidziany planem wykonano w znacznym stopniu. Wybudowano nową linię metra dla pociągów ekspresowych, rozszerzono ogólną sieć metra, wybudowano nowe szpitale, dworce kolejowe, otwarto nowe lotnisko, zbudowano sieć urządzeń oczyszczających wodę oraz urządzeń do przeróbki odpadów. Nabrały życia nowe przedmieścia, stając się podstawą całej strategii „skoordynowanej decentralizacji", chociaż okazały się nie tak znów spoiste i różnorodne, jak wyglądały w projekcie.

Okres intensywnego wzrostu i wielkich przemian zakończono. Był to końcowy etap w rozbudowie miasta, chociaż sposoby wprowadzania go w życie można krytykować z różnych stron. Szczególnie niefortunnie w ogólnym planie wygląda pierwsze dziesięciolecie, kiedy to brakowało koordynacji planowania. Specjaliści ubolewają, że ten etap masowego budownictwa zbiegł się z upadkiem we francuskiej architekturze. Z nielicznymi wyjątkami wielkie projekty owego czasu wyglądają z budowlanego i architektonicznego punktów widzenia bardzo licho. Na przykład drapacz chmur na Montparnasse przypomina konstrukcje, które widać z daleka podjeżdżając do jakiegokolwiek amerykańskiego miasta średniej wielkości. Jest on — zdaniem wielu mieszkańców stolicy, a także architektów — typowym przykładem braku dobrego smaku. W niedługim czasie, jak informuje „Le Monde", oczekują Paryż dalsze przemiany, ale tym razem skromniejsze niż miało to miejsce w niedawnej przeszłości.

Paryż jest wielkim, nowoczesnym miastem i, ogólnie rzecz biorąc, można by właściwie powiedzieć, że jest on teraz w niezłej formie. Paryż nie został ani światową stolicą sztuki, mimo ogromnego Ośrodka Kultury im. Pompidou, ani stolicą międzynarodowego biznesu, mimo pojawienia się gigantycznego kompleksu drapaczy chmur z siedzibami firm i banków. Dziś na świecie nie może pretendować do tego tytułu ani jedno miasto, ani Nowy Jork, ani Los Angeles, ani nawet Londyn. A już na pewno nie Tokio i nie Frankfurt nad Menem. Podobnej roli nie sądzono już odegrać ani jednemu miastu i znawcy przedmiotu twierdzą, że tak jest lepiej. Pod jednym wszakże względem dzierży stolica Francji bezwarunkową palmę pierwszeństwa: Paryż był i pozostanie najbardziej ponętnym, atrakcyjnym i pełnym uroku miastem spośród wszystkich miast-gigantów na świecie. Tak więc Paryż przeobraził się wprawdzie, ale w wyniku tej operacji pozostało na nim kilka szpecących go blizn.

JERZY CZECH

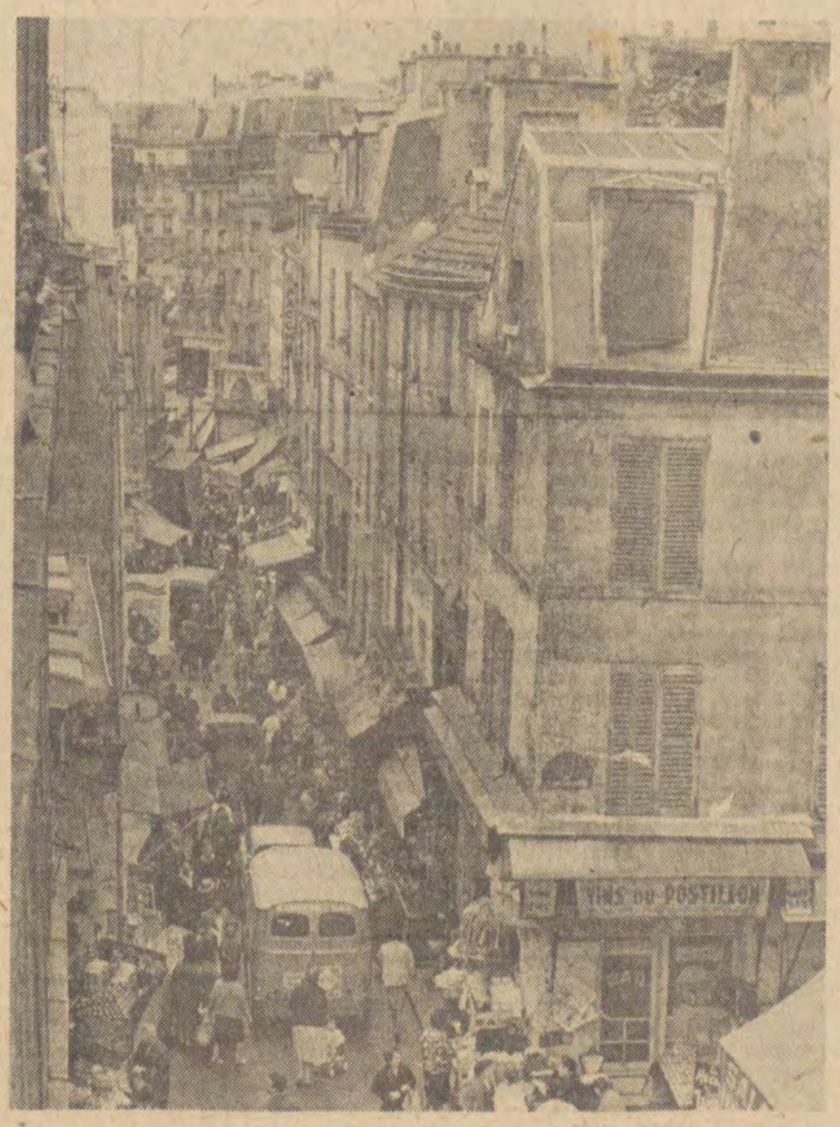

Foto: Archiwum

KRONIKA TYGODNIA

Po zwycięstwie konserwatystów w Wielkiej Brytanii **podobnie potoczyła się sytuacja w Kanadzie**. Liberałowie przegrali w wyborach i w następstwie **Kanada będzie miała najmłodszego premiera w swej historii — 39-letniego Joe Clarka — przywódcę partii postępowych konserwatystów**. Jako pierwsze posunięcia wewnętrzne zapowiedział on przekazanie rządowej firmy naftowej — Petro-Canada sektorowi prywatnemu oraz redukcję ok. 60 tysięcy miejsc pracy w administracji rządowej. Walka wyborcza toczyła się wokół spraw krajowych i dlatego komentatorzy nie spodziewają się po nowej ekipie zmian w polityce zagranicznej.

Kierowana 11 lat przez poprzedniego premiera — Trudeau kanadyjska polityka zagraniczna, zmierzała do otwarcia tego kraju wobec świata, a przede wszystkim Europy. Przyniosła rezultaty — Kanada, żeby tylko przypomnieć, jest sygnatariuszem Aktu Końcowego KBWE i liczy się na arenie międzynarodowej. Postępowi konserwatyści będą chcieli zachować owe otwarcie.

Bardziej dyskutowana jest w prasie zachodniej **linia Kanady wobec Stanów Zjednoczonych**. Pisze się wprawdzie, że Clark zainteresowany jest utrzymaniem status quo w stosunkach z USA, ale jednocześnie uważa się, iż rozwój wydarzeń w Quebecu może wpłynąć na ich zakłócenie. Tu musimy podkreślić, że tendencje separatystyczne w tej prowincji narastają, a wybór Clarka, który jest pochodzenia angielskiego, we francuskiej części społeczeństwa może je spotęgować. Tym bardziej że już wcześniej zapowiedziano, że w Quebecu przed 22 czerwca odbędzie się referendum.

Aby utrzymać temat: wybory — przenieśmy się do Włoch.

Sondaże wykazują, że **na 10 dni przed terminem oddania głosów aż 25 proc. Włochów nie podjęło decyzji, za jaką partią opowie się.** Tymczasem dwie największe partie mogą liczyć na prawie tyle głosów, ile otrzymały w poprzednich wyborach (chadecy — 38,7 proc. komuniści — 34,4 procent).

W toku kampanii wyborczej były premier Włoch — Fanfani sięgnął do takich argumentów przeciwko Włoskiej Partii Komunistycznej, które wywołały sprzeciw innych politycznych ugrupowań. „Kraje NATO i EWG — oświadczył on — mówiły nam na tysiąc sposobów, że ich solidarność z nami bardzo się zmniejszy w wypadku poważnej obecności komunistycznej w naszym rządzie". Przypomnienie to jest formą nacisku na część wyborców, ale też wyrazem zaniepokojenia, że układ głosów może pozostać ten sam i nie znajdzie się trwalszego rozwiązania bez udziału komunistów w rządzie.

Wydarzeniem w RFN był **wybór nowego prezydenta**, piątego z kolei. **Zgromadzenie Federalne**, w skład którego wchodzą przedstawiciele Bundesratu, Bundestagu i parlamentów krajowych, **wybrało szefem państwa kandydata chadeckiej opozycji — Karla Carstensa**, liczącego 65 lat. Pełnił on dotychczas funkcję przewodniczącego Bundestagu. Otrzymał o 9 głosów więcej od wymaganej większości. Kontrkandydatem była Annemarie Rengen — z ramienia SPD. Druga partia koalicji rządowej — FDP nie wystawiła żadnego kandydata i jej elektorzy wstrzymali się od głosu.

Komentarzem do tego wyboru może być przypomnienie — kiedy kilka miesięcy temu CDU/CSU zgłosiły tę kandydaturę nie tylko koalicja rządowa, lecz również wiele dzienników i tygodników wyrażało krytyczne opinie. Głównie z powodu przeszłości Carstensa.

Spośród innych wydarzeń tygodnia zwrócimy jeszcze uwagę na rozpoczęte pod koniec minionego tygodnia **rozmowy egipsko-izraelskie z udziałem przedstawicieli USA na temat tzw. autonomii okupowanych obszarów Cisjordanii i strefy Gazy**. Rokowania te wynikają z separatystycznego układu między Kairem a Tel Awiwem.

Zamiast wycofania się Izraela z tych ziem, które zagarnięte zostały w czerwcu 1967 roku, wspomniany układ przewiduje bliżej nieokreśloną autonomię. Jak cynicznie stwierdza Tel Awiw — rozwiązanie takie pozwoli przedłużyć tam jego obecność i utrwalić obecny stan. Z tego powodu koncepcja „autonomii" została odrzucona przez Organizację Wyzwolenia Palestyny i większość krajów arabskich.

Dodajmy, że w myśl ustaleń z Camp David w rokowaniach tych mieli wziąć udział przedstawiciele Palestyńczyków i Jordanii — toczą się natomiast tylko na płaszczyźnie trójstronnej.

W. SŁAWSKI

PO SEZONIE TEATRU NARODÓW W HAMBURGU

W dniach od 26 kwietnia do 13 maja odbywał się w Hamburgu kolejny sezon Teatru Narodów. Warto przypomnieć, że sezony Teatru Narodów, pierwotnie działającego w Paryżu, zmieniły swoją formułę i od roku 1975 odbywają się w stolicach różnych krajów. Decyzję w tej sprawie podjęto na Kongresie Międzynarodowego Instytutu Teatralnego ITI w Moskwie, w 1973 roku. Udział delegacji polskiej w opracowaniu nowych zasad działalności Teatru Narodów przyczynił się m. in. do tego, że pierwszy sezon odbył się w Warszawie w 1975 roku. Następnie Teatr Narodów gościły: Belgrad, Paryż, Caracas i ostatnio Hamburg.

Hamburski sezon Teatru Narodów, wyróżniający się obfitością imprez, zgromadził przeszło 30 zespołów oraz dziesięciu artystów występujących indywidualnie. Łącznie pokazano 50 spektakli w trzech grupach.

Do pierwszej zaliczono teatry państwowe i tzw. repertuarowe. Festiwal rozpoczęły występy Opery Pekińskiej, która przedstawiła spektakle składające się z różnorodnych programów odpowiadających specyfice opery chińskiej. Zespół The Royal Shakespeare z Londynu i Stradfordu przywiózł „Koriolana" Szekspira w reżyserii Terry Handse'a, z Allanem Howardem w roli głównej. Schauspielhaus, z Hamburga, pełniący rolę gospodarza Festiwalu, bowiem intendent tego teatru, dyrektor Ivan Nagel, był dyrektorem tegorocznego Teatru Narodów, przedstawił: „Miłość i gniew" Osborne'a w reżyserii Arie Zingera, „Heddę Gabler" Ibsena oraz „Opowieść zimową" Szekspira. Te dwa ostatnie przedstawienia reżyserował Peter Zadek.

Z ogromnym zainteresowaniem i aplauzem przyjęto występy Akademickiego Teatru im. Maksyma Gorkiego z Leningradu, szczególnie znaną także i polskiemu widzowi „Historię konia" według opowieści Lwa Tołstoja, w opracowaniu i reżyserii Gieorgija Towstonogowa, ze wspaniałą kreacją E. A. Lebiediewa. Towstonogow reżyserował również drugie przedstawienie oparte na własnej adaptacji „Cichego Donu" Szołochowa. Hamburski Teatr Thalia, oglądany również i w Polsce, wystąpił tylko z jednym spektaklem, pokazując sztukę Samuela Becketta „Epizod I" i „Epizod II", w reżyserii Waltera E. Asmusa.

Najpełniej dał się poznać w Hamburgu Państwowy Teatr Wirtenbergii ze Stuttgartu, przywożąc aż siedem przedstawień oraz program filmowy. Duże zainteresowanie wzbudziła inscenizacja obydwu części „Fausta" Goethego, granych podczas dwóch kolejnych wieczorów. Reżyser i inscenizator, Claus Peymann, potraktował to dzieło jako podróż Fausta, aż od schyłku średniowiecza, a zarazem jako historię zwycięskiego mieszczaństwa, które utrwaliło swoją pozycję w wyniku rewolucji francuskiej, stając wobec perspektywy historycznego zakrętu. Tej podróży Fausta przez wieki towarzyszy przegląd stylów teatralnych, od teatru misteryjnego, poprzez sztukę mieszczańską wyrażaną w teatrze Ibsena i Strindberga, po nowe próby i poszukiwania teatru współczesnego. Przedstawienie przygotowane z ogromnym rozmachem, ciekawe wizualnie, spotkało się ze skrajnie przeciwstawnymi opiniami miejscowej krytyki. W roli Fausta wystąpił Martin Lüttge, Mefistofelesa — Branko Samarovski. Opracowanie dramaturgiczne — Hermann Beil, scenografia — Achiwum Freyer, muzyka — H. Koch. W festiwalowym repertuarze teatru ze Stuttgartu znalazły się także: współczesna baśń niemiecka pt. „Rotter" (reżyseria Christof Nel), polityczna komedia Dario Fo „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego" o zdecydowanych akcentach antyfaszystowskich, reżyserowana przez Walentina Jekera, znane polskiemu widzowi z gościnnych występów tego teatru w Warszawie przedstawienie „Ifigenii w Taurydzie" (reż. Claus Peymann) z Kirsten Dene w roli tytułowej, okrutna opowieść o losie kobiety, pt. „Ella" (reżyserował autor tej sztuki, Herbert Achternbusch, świetna rola Josepha Bierbbichlera). Zobaczyliśmy również w wykonaniu tego teatru widowisko muzyczne „Elvis Presley Memorial", poświęcone zmarłemu pieśniarzowi, przygotowane przez Uwe Jensa Jensena i H. Kocha.

Theatron Technis z Aten, zespół kierowany przez Karolosa Kuona, przyjechał ze znanym w Warszawie przedstawieniem „Pokoju" Arystofanesa i z koturnowym, przesyconym głębokim tragizmem „Królem Edypem" Sofoklesa. Sezon zamknęły spektakle Burktheatru z Wiednia — jeszcze jedna „Ifigenia w Taurydzie" Goethego, w reżyserii Adolfa Dresena.

Najobfitszym ilościowo nurtem tegorocznego sezonu Teatru Narodów były występy tzw. zespołów niezależnych.

Pewnego rodzaju sensacją świadczącą o pomysłowości i wyobraźni realizatorów było przedstawienie o terroryzmie pt. „Andy Warhols Last Love", pokazane w pustym sklepie meblowym przez Souat Theatre z Nowego Jorku. Wiele tu pomysłów, ale i dziwaczności.

Trzecim nurtem hamburskiego Teatru Narodów były występy teatru jednego aktora. Od klasycznej już pantomimy, reprezentowanej przez Marcela Marceau, po przyjmowane owacjami produkcje Craig Russela, aktora świetnie, ale i brutalnie parodiującego wielkie gwiazdy światowego show biznesu.

Niestety, w tym roku zabrakło teatru polskiego. A należymy przecież pod tym względem do czołówki światowej. Nie były też reprezentowane, poza Związkiem Radzieckim, inne kraje socjalistyczne. Osłabiło to konfrontację nurtów i ideologii współczesnego teatru europejskiego. Miejmy nadzieję, że naszego teatru nie zabraknie za rok w Amsterdamie.

Dalszy ciąg ze str. 1

turze dziełami znaczącymi; wyrazistość ich propozycji intelektualnych oraz artystycznych jest znikoma i bezustannie rozmywana w ruchach kulturowych bądź to opartych na statycznych programach moralistycznej kontestacji jak „nowofalowa poezja", bądź stanowiących reprodukcję mitologii pokolenia „Współczesności" jak w prozie Pastuszka, Andermana czy Natańsona, bądź zagubionych w jałowych konstrukcjach estetyzujących. Młoda Polska w ciągu dwudziestu pięciu lat zdążyła przeżyć młodość, dojrzałość i poświęć podczas wydarzeń 1905 roku, pozytywizm rozegrał się w ciągu niespełna trzydziestu lat, początek, wzrost i upadek ideologii oświeceniowej w naszej kulturze wymagał lat trzydziestu pięciu, generacja pisarska debiutująca u progu niepodległości potrzebowała zaledwie pięciu lat, aby uformować programy artystyczne i praktykę poetycką Skamandra oraz awangardy, „stracone pokolenie" debiutujące u progu lat trzydziestych określiło się całkowicie w ciągu lat niespełna siedmiu. Definiowanie światopoglądu „młodej literatury" trwa bezustannie już prawie dwadzieścia lat i ciągle jeszcze trwa sprawdzanie konwencji stylowych, sposobów kreacji bohatera, poszukiwanie przedstawionych i nieprzedstawionych światów tej poezji i prozy, której młodość staje się coraz bardziej problematyczna.

W tej sytuacji nawet najbardziej powierzchowny ogląd współczesnej polskiej mapy literackiej musi doprowadzić do sformułowania tezy, iż najbardziej aktywne i dla polskiej kultury literackiej znaczące jest to pokolenie pisarskie, które debiutowało w latach międzywojennych: Jarosław Iwaszkiewicz, Maria Kuncewiczowa, Jerzy Putrament, Teodor Parnicki, Jan Edmund Osmańczyk, Wilhelm Szewczyk, Tadeusz Hołuj, Henryk Worcell, Halina Auderska, Tadeusz Łopalewski, Anna Swirszczyńska, Kornel Filipowicz, Józef Morton, Józef Ozga-Michalski, Jan Dobraczyński i inni. Wybitna i trwała obecność twórczości Jarosława Iwaszkiewicza w literaturze współczesnej spostrzeżenie to czyni jeszcze bardziej wyrazistym. Dynamizm twórczy tej grupy generacyjnej — z punktu widzenia historii kultury stanowiący osobliwy fenomen, jest wsparty przez systematyczną i znaczącą obecność pokolenia literackiego, które formowało doświadczenie wojenne oraz lata rewolucji socjalistycznej. Chodzi o takich pisarzy, jak Wojciech Żukrowski, Bohdan Czeszko, Witold Zalewski, Roman Bratny, Tadeusz Różewicz, Jerzy Broszkiewicz, Kazimierz Koźniewski, Lesław M. Bartelski, Leszek Prorok i inni. Wyrazista jest również propozycja intelektualna i artystyczna sformułowana przez pisarzy debiutujących w latach pięćdziesiątych, w obu połowach tych lat, by wspomnieć tylko twórczość Wisławy Szymborskiej, Tadeusza Nowaka, Tadeusza Konwickiego, Jerzego Harasymowicza, Bohdana Drozdowskiego, Juliana Kawalca, Jerzego Krzysztonia, Zbigniewa Safjana, Andrzeja Kuśniewicza, Władysława Lecha Terleckiego, Zbigniewa Kubikowskiego, Erwina Kruka, Andrzeja Szujowskiego, Wiesława Myśliwskiego, Eugeniusza Kabatca, Jerzego Wawrzaka i innych. Twórczość postów i prozaików tych kolejnych rzutów pokoleniowych sformowała oblicze literatury polskiej lat siedemdziesiątych, zadecydowała o jej intelektualnej i artystycznej jakości.

Ruchliwość konwencji stylowych oraz odmienianie sposobów interpretowania świata oraz bilansowania wartości, jakie literatura pragnie zaoferować czytelnikowi, uznać należy za zjawisko ze wszech miar normalne i pozytywne, jeśli traktować literaturę jako gmach wielopiętrowy, w którym obowiązuje kilka obiegów czytelniczych. I jeśli takie ruchy prowadzą do przeobrażeń istotnych i nie wyrodnieją w jałowych eksperymentach oraz w pozorach uniwersalistycznych rozwiązań ontologicznych, a na istnienie takich ekstremalnych biegunów wskazuje w naszym życiu literackim z jednej strony twórczość Leopolda Buczkowskiego i Mirona Białoszewskiego, z drugiej strony pisarstwo Jerzego Andrzejewskiego i Kazimierza Brandysa. Ani nie prowadzą do niepożądanej osmozy wszelkich odmian języków i konwencji, do zatraty reguł obowiązujących na wyższych i niższych piętrach literatury, do stworzenia miazgi literackiej, magmy, stapiającej w jedno banał i odkrywcze idee, ambicje stylowe i jałową przeciętność, mądrość i głupotę, prostotę i prostactwo. Bo wtedy każde posunięcie na obszarze literatury staje się ruchem pozornym i daremnie podejmowane są próby kontroli kategorii literackich i niemożliwa do odczytania zasada ich konwencjonalizacji. Ani też — i to jest inne niebezpieczeństwo — do wywołania przez literaturę zjawiska nietolerancji estetycznej, do ograniczenia jej na niektóre tylko płaszczyzny współczesnej i tępienia wszystkiego, co jest inne, zaskakujące, nie mieści się w granicach aprobowanej konwencji. Czy też do rozciągnięcia nietolerancji na sposoby interpretacji świata, wyrażania stosunku do problemów egzystencjalnych i społecznych nie w ramach potocznego, a równocześnie oficjalnego widzenia, od którego literatura, aby nie stała się bezkrwista i papierowa musi uciekać. Co daje jej prawo ryzyka i nakłada na nią obowiązek poznawczej odwagi, a równocześnie otwiera pole do kolizji z polityką zawodową, o czym pisał swego czasu trafnie Antonio Gramsci: „...do oceny stosunków pomiędzy literaturą i polityką trzeba stosować kryterium następujące: literat musi z konieczności mieć spojrzenie mniej precyzyjnie określone niż polityk, musi być mniej „sekciarski", jeśli można się tak wyrazić, ale na swój sposób kontradyktoryjny. Dla polityka każdy obraz ustalony a priori jest reakcyjny; polityk patrzy na każdy ruch pod kątem „stawania się". Artysta musi mieć obrazy ustalone, ujęte w definitywnym kształcie. Polityk wyobraża sobie człowieka, jakim on jest, ale równocześnie jakim być powinien jeśli ma osiągnąć pewne określone cele; jego praca polega właśnie na nakłanianiu ludzi do ruchu, do porzucenia ich dotychczasowego sposobu życia, aby stali się zdolni do osiągnięcia wyzwolonymi siłami określonych celów; czyli — aby się „przystosowali" do nich. Artysta przedstawia to, co w danym momencie jest osobiste, nonkonformistyczne i przedstawia to realistycznie. Dlatego też z politycznego punktu widzenia polityk nigdy nie będzie zadowolony z artysty i zadowolony z niego być nie może, zawsze będzie go uważał za zapóźnionego, anachronicznego, wiecznie wyprzedzanego przez przemiany rzeczywistości".

PROZA POLSKA LAT SIEDEMDZIESIĄTYCH

2.

Powieść polityczna lat siedemdziesiątych w zasadzie zdołała się uwolnić od problematyki „kuchni i alkowy" życia politycznego, od analizy dewiacji w ośrodkach dyspozycyjnych i skutków odchyleń w realizacji założeń taktycznych w zbiorowości ludzkiej znajdującej się poniżej centrum sprawowania władzy, a także od kreowania bohatera, który jest bezsilnym i bezwolnym przedmiotem w grze przemożnych sił politycznych. Niejako modelowo te dwie tendencje uwidaczniały powieści Jerzego Putramenta „Pasierbowie" (1963) oraz Romana Bratnego „Losy" (1973).

Współczesna powieść polityczna nie redukuje roli mas, klas i ich partii; stara się przede wszystkim udowodnić w świecie przedstawionym prawdę znaną z III Tezy o Feuerbachu, że w procesie rewolucyjnej praktyki przemianie podlegają ludzie na obu biegunach społecznych: rządzący i rządzeni oraz że inspiracja zmiany może również stanowić rezultat inicjatywy oddolnej, jeśli program przestaje masom odpowiadać i wydaje się im bądź niedostateczny, bądź konserwatywny. Jednostka ludzka nie jest wtedy traktowana w sposób redukcyjny jako „wypadkowa" różnych ról i wpływów społecznych, jako efekt oddziaływania struktury społeczno-politycznej, jak to spotykamy jeszcze w „Losach" Romana Bratnego. Bohater najnowszej powieści społecznej nie jest już pomniejszony do wymiarów tylko na pół świadomego realizatora wzorów działania zakodowanych w języku, obyczaju, ideologii, w wymogach struktur historycznych, ale sam tworzy kody i wzory działania, artykułuje własne pragnienia i dążenia i realizuje je w praktyce społecznego czynu lub znosi je jako nieprzydatne i niefunkcjonalne. Jak bohater jednej z dojrzalszych powieści politycznych ostatnich lat, „Osoby" Tadeusza Hołuja, jak bohaterowie opowiadań Ryszarda Liskowackiego z tomu „Kto grzeszył", powieści Mariana Grześczaka „Odyseja, odyseja", Władysława Machejka „Czekam na słowo ostatnie", Wacława Bilińskiego „Wypadek", Jerzego Putramenta „Akropolis", Jana Marii Gisgesa „Czas słyszany po latach". W utworach tych polityka nabiera prawdziwie ludzkiego sensu w tym znaczeniu że nie jest już traktowana jako kwestia określonego miejsca na drabinie władzy, jako problem utrzymania się w partyjnej hierarchii lub na innej wysokiej zawodowej pozycji, jako kuszenie niewinnych przez demona Historii, ani jako błąkanie się po manowcach dziejowych w poszukiwaniu prawdziwej szansy i perspektywy, ale przede wszystkim jako skuteczna działalność na rzecz wyzwalających się mas, jako budowanie podstaw ustrojowych socjalizmu i działanie na rzecz narodu integrującego się na nowej płaszczyźnie ideowych i politycznych zasad społecznej organizacji.

Powieści te punktem wyjścia czynią zasadę uczciwego, skutecznego, aktywnego i wydajnego życia. Bogatego w cele ponadindywidualne, prawdziwie społeczne, to znaczy uwzględniające interesy zbiorowości, jej spokój, szczęście i dostatek. W imię tak pojętego dobra wspólnoty bohater „Linii" Jerzego Wawrzaka walczy z małomiejską kliką i stara się ocalić swe jednostkowe prawo do miłości i szczęścia jako rezultatu swobodnego wyboru, nie ograniczonego konwencjami środowiskowych etyk i przesądów. Bohater „Odysei, odysei" Mariana Grześczaka stawia fundamentalne pytania o to, jak możliwy był zbrojny konflikt klasy robotniczej i ludowej władzy oraz konfrontuje młodzieńczą wrażliwość oraz głęboko klasowo umotywowane dążenia robotników z upiorami biurokracji i doktrynerstwa. Dlaczego ludzie przestali rozumieć głos klasy, która jest podmiotem dziejów, jak powstał mechanizm kolizji pomiędzy pragnieniami mas a programem politycznym, zapytuje Wacław Biliński w „Wypadku", ukazując rozbieżności dialektycznie i w pełnej komplikacji, w dramatycznym rozdarciu wewnętrznym ludzi, którzy uświadamiają sobie, iż całe życie poświęcili pracy dla dobra społecznego, a rozminąwszy się z tymi, dla których pracowali, wywołali zło w najróżniejszych postaciach. Pragnienia mas rosły bowiem szybciej niż możliwości ich zaspokojenia wedle ustalonego programu; jeśli ośrodek dyspozycyjny przestanie się z nimi liczyć i nie zechce ich zrozumieć, nieuchronnie dojść musi do gwałtownego starcia interesów i argumentów. Racje ludu zmieniają się bowiem szybciej niż racje statycznie traktowanych programów i kto tego nie rozumie, prowadzi do uśpienia wrażliwości i aktywności mas, co przejmująco ukazał Bohdan Czeszko w „Powodzi".

Lud jest podmiotem działań i lud pragnie modyfikacji programów społecznych z uwzględnieniem jego interesów, a nie dogmatycznie i abstrakcyjnie pojmowanych racji — zdaje się mówić współczesna proza polityczna, uzasadniając prawo mas do artykulacji własnych żądań i pragnień. Ukazując również zgubne skutki przeciążeń politycznych i zahamowań autentycznego rozwoju, co starał się pokazać Jan Maria Gisges w „zetempowskiej" powieści „Czas słyszany po latach". Powieść polityczna pragnie także objaśnić skutki zgubnych przesileń politycznych, jakie powstają wtedy, kiedy polityk przestaje pojmować, iż jego wola kształtowania rzeczywistości jest ograniczona, a możliwości działania nie mogą być rozszerzane dowolnie. To tak dobrze pamiętany problem „bolszewizmu", wracający także w nowszej powieści Jerzego Putramenta „Akropolis", w której pisarz stara się obnażać mechanizm kolizji pomiędzy aspiracjami polityka a życiem, które bierze nad wszystkim górę, bo jest potężniejsze i bardziej gwałtowne, niż najsilniejszy ideowy czy polityczny imperatyw. W kręgu tej ogólnej problematyki pozostaje również Putrament w „Ucieczce", tomie pierwszym z zamierzonego cyklu „Wybrańcy".

Szansa powieści politycznej, czego dowodzą również powieści Zbigniewa Safjana „Pole niczyje", Lesława Bartelskiego „Krwawe skrzydła", Kazimierza Koźniewskiego „Noc Stolarza Norberta", kryje się zatem w nowym rozumieniu problematyki jednostki i społeczeństwa, w ukazywaniu dialektyki stosunków pomiędzy masami a ośrodkami kierowniczymi, w ujawnianiu istotnych napięć moralno-psychologicznych ograniczających lub dynamizujących działania, w objaśnianiu poczynań jednostek, które muszą dokonywać ważnych wyborów w sytuacjach społecznych o małej przejrzystości, decydować o ruchach społecznych, których efekty trudne są do przewidzenia, potykać się o przeszkody budowane przez ludzi ślepych, zbyt silnie wierzących we własne racje, by pojąć motywy postępowania innych ludzi, przeciwników lub politycznych sojuszników. Wszystko to, co stanowi przedmiot powszechnej dumy i troski, rezultaty zbiorowego wysiłku i celowej pracy, musi być bronione nie tylko przed zewnętrznym wrogiem, ale również przed krótkowzrocznością i nieroztropnością ludzi nie do końca przewidujących sens i efekty prowadzonej przez siebie gry politycznej. Powieść polityczna mówi również o konieczności wspólnej pracy w tym celu prowadzonej, by Marksowski ideał „wspólnoty" ludzi wolnych i odpowiedzialnych, żyjących demokratycznie i harmonijnie, stawał się coraz bardziej rzeczywisty. Oczywista — taka powieść polityczna musi powstawać poza płaszczyzną ideowej deklaracji i oficjalnego wykładu historycznego, z którym spotykamy się w wielkim cyklu Jana Łysakowskiego „Żołnierze", „Partyzanci", „Kowale". Najbardziej bowiem doskonała deklaracja polityczna oraz historiozoficzna, najbardziej precyzyjny wykład dziejów najnowszych nie zastąpi prawdy wpisanej w losy bohaterów, prawdy o cierpieniu, satysfakcji, rozczarowaniu, wątpieniu i nadziei ludzi pokonujących bariery czasu i niesprzyjających im zewnętrznych okoliczności. Wykład historyczny nie bilansuje antropologicznej problematyki, nie uwzględnia rachunków moralno-psychologicznych; w wykładzie interesują fakty, procesy, rezultaty. Powieść tą materią się nie używi.

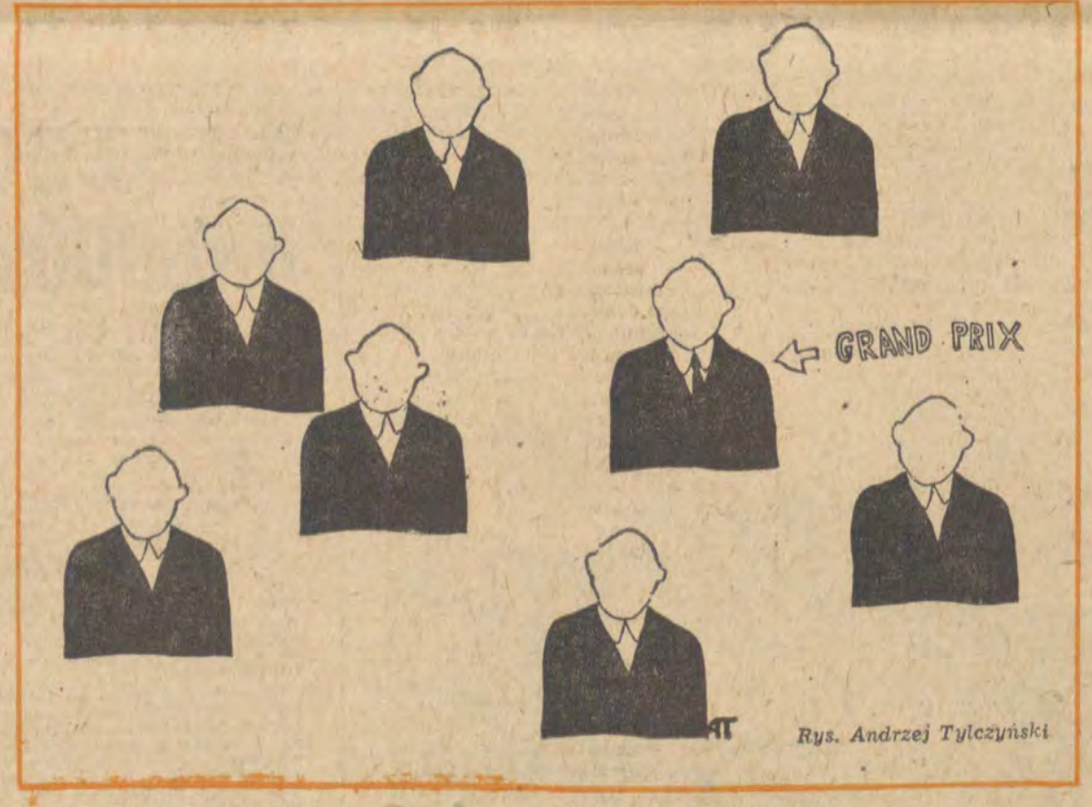

Rys. Andrzej Tylczyński

3.

Współczesność ławi się w literaturze lat siedemdziesiątych nie tylko w wersji politycznego rachunku możliwości i osiągnięć, intencji i efektów. Literatura dąży do stworzenia odpowiednio szerokiego i bogatego komentarza moralno-filozoficznego oraz obyczajowo-społecznego dla wielkiego tematu otaczającej nas rzeczywistości, tej, w której masy widzą cel swej egzystencji i starają się przeobrazić ją na miarę swych pragnień. Liryka Jarosława Iwaszkiewicza, Wisławy Szymborskiej, Ewy Lipskiej, Anny Kamieńskiej, Ernesta Brylla i innych, proza Jarosława Iwaszkiewicza, Marii Kuncewiczowej, Andrzeja Kuśniewicza, Juliana Stryjkowskiego, Bohdana Czeszki, Witolda Zalewskiego i wielu innych, eseistyka Jana Szczepańskiego, Krzysztofa Teodora Toeplitza, Marcina Czerwińskiego, Stefana Bratkowskiego i innych — dowodzi, że płaszczyzna tolerancji dla wielorakiego i konfliktowego widzenia świata oraz dla ujawniania sprzeczności naszego współczesnego życia, jego nadziei i dramatów, osiągnięć i utraconych złudzeń, staje się coraz szersza. A także i to o obszerności płaszczyzny dyskusyjnej decyduje, iż w świadomości literatury dokonał się jeszcze inny, niezwykle ważny proces; mianowicie likwidacji, przynajmniej częściowej, ale przecież znaczącej i dość zasadniczej, uległo wewnętrzne rozdarcie literatury, która swego czasu łatwiej zdobywała się na totalny protest przeciwko historii, rzucała anatemy na dzieje i współczesność piórem pisarzy zrozpaczonych utratą nieba dawnej wiary w prosty i bezustannie wznoszący się postęp, powtarzała w kolejnych artykulacjach tezy o nieprzejrzystości świata i niemożności międzyludzkiej komunikacji, przez ciągle maiejącą szczelinę spoglądała w przyszłość świata, a nie potrafiła się zdobyć na odpowiednio wysokie i zróżnicowane oceny tego wszystkiego, co dokonało się w polskich powojennych latach, ani uświadomić sobie własnej intelektualnej nieodkrywczości.

Stagnacyjne procesy literackie lat sześćdziesiątych, znajdujące odbicie w twórczości kontynuującej temat inteligenckiego rozbratu ze społeczną rzeczywistością, podejmującej w kolejnych wersjach motyw rozpaczy i niewiary, nieudacznictwa lub mało realistycznej deskrypcji codzienności, zostały w znacznym stopniu przezwyciężone. Nie pojawiła się — co prawda — powieść zawierająca wielki komunikat o losie narodu, dzieło o wymiarach epickich, ale też nikt z tego faktu już nie czyni literaturze niecierpliwego i nieuzasadnionego wyrzutu. To bowiem, co prezentowała we wcale licznych książkach, złożyło się przecież na bogaty i urozmaicony komentarz do paradygmatu współczesnej kultury, a jego istnienie wydaje się coraz bardziej wyraziste i coraz częściej uświadamiane, choć równocześnie powszechne jest przekonanie, iż kształtowanie się wzoru kultury powstającego współcześnie społeczeństwa polskiego jest ciągle jeszcze procesem niż oczywistością.

Najwyraźniej uświadamia nam tę prawdę proza drugiego rzutu generacyjnego podejmująca tzw. temat wiejski. Nowoczesna struktura społeczna w powieściach tych pisarzy, którzy przejęli temat po Julianie Kawalcu i Tadeuszu Nowaku, ukazana jest jako stan, w procesie tworzenia dopiero nabierający kształtu względnie stałego układu. Wyłania się on dopiero z chaosu wielkiej wędrówki ze wsi do miasta, widzianej oczyma Mariana Pilota, Zygmunta Trziszki, Zygmunta Wójcika, a nawet Juliana Kawalca (w powieści „Oset") — nie jako „radosny festyn" jako prosty marsz na pozycje społeczne lepsze i więcej obiecujące. Miasto i wielki przemysł, miasto i uniwersytet, miasto jako szansa odmiany plebejskiego wiejskiego losu — to już w tej prozie temat nie tak jednoznacznie optymistyczny. Poszukiwanie nowej, przyjaznej jednostce formuły kulturowej jest okupione zerwaniem więzi z tradycją, licznymi kolizjami, które rozgrywają się zarówno w przestrzeni pozostawionej poza sobą, jak i w tej, której kształt niejasno rysuje się przed bohaterami. Przyszłość okazuje się wroga i ponura („Zakaz walki" Mariana Pilota), awans może okazać się zdradą i aprobatą nieautentycznego sposobu życia („Zabijanie koni" Zygmunta Wójcika), bohater z plebejskim rodowodem może stać się przedmiotem szyderstwa i dezaprobaty, jeśli jego pozy i nawyki są tylko maską niepokoju, że miejski świat okazał się jednak całkiem wypełniony i niełatwy do zdobycia („Przedmiotowy pejzaż" Zygmunta Trziszki). To wieloznaczne odczucie awansu pojawia się także w prozie Juliana Kawalca („Oset") oraz w powieści Tadeusza Nowaka „Dwunastu", w której droga w nową przyszłość okazuje się nieprosta i ciernista. Czyż więc warto uczestniczyć w męczącym i wyniszczającym współzawodnictwie, czyż warto fascynować się przyziemną codziennością i znosić jej dotkliwy ucisk — formułowane jest pytanie. Edward Stachura odpowie na nie konsekwentnie — „nie" i w tomie „Wszystko jest poezją" opowie się za rolą śpiewaka i barda wolności, za poezją i poetyckością jako sposobem rozpoznania świata, którego znaczenie zamierza odnaleźć — a potrafi to artystycznie przekonująco opowiedzieć — w innej płaszczyźnie bytu: w przeżyciu piękna i miłości, w „neofranciszkańskiej" radości płynącej z doświadczania egzystencji. Rzeczywistość, która w prozie Józefa Ozgi Michalskiego („Ujarzmianie żywiołu") podlega obserwacji historyczno-socjologicznej, jej celem jest odkrycie prawdy o kształtowaniu się kultury wsi i jej radykalizmu społeczno-politycznego, podlega równocześnie zabiegowi uwznioślającemu w spontanicznym opisie jej żywiołowości, w twórczości Mariana Pilota jest traktowana ironicznie, widziana w wymiarze groteskowym, obnażona w całkiem niespodziewanym kształcie („Karzeł pierwszy, król tutejszy"). Proza wiejska lat siedemdziesiątych kwestionuje nie tylko sposób deskrypcji rzeczywistości, opowiada się przeciwko jej heroizacji („Tam gdzie much nie ma albo brzydactwa" Mariana Pilota), ale również opowiada się przeciwko manipulowaniu wiejską kulturą („Jednorożec" Mariana Pilota).

WITOLD NAWROCKI

(dokończenie w następnym numerze)

Autor, doc. dr habil., historyk literatury polskiej i krytyk literacki, dziekan Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Śląskiego, laureat wielu nagród za twórczość eseistyczną, m. in. nagrody II stopnia Ministra Kultury i Sztuki i nagrody Trybuny Ludu.

PRZEKROJE

* * *

Pisarz A. niemal od samego początku swej twórczej aktywności realizuje biologiczną koncepcję literatury. To znaczy p i s z e c a ł y m s o b ą, nie tylko piórem. Każdy jego ruch, gest, grymas, każde słowo ma w sobie coś z kreacji. Staje się nieledwie samoistnym aktem. On bez przerwy musi kreować. Nawet gdy milczy, zastyga w pozie do złudzenia przypominającej charakterystyczne sylwetki wielkich twórców bądź stworzonych przez nich bohaterów. Niektórzy podejrzewają, że są to jednak pozy nie w pełni świadome, wynikają po prostu z wszechogarniającego oddziaływania literatury, z demonicznej potrzeby służenia literackiemu bożkowi, z bezgranicznej wiary w pisarstwo jako syntezę życia. Niekiedy daje do zrozumienia, iż w życiu nie powinno mieć miejsca nic, czego nie ma w literaturze. Tak oto potęga literatury objawia się najprościej i najpełniej — polega na bezgranicznej wierze w słowo i gest.

* * *

Pisarz B. nie wierzy w literaturę. To zresztą zbyt mocno powiedziane. On raczej nie dowierza sile kreacyjnej, kathartycznej, ekspiacyjnej literatury. Jest przecież zwolennikiem k o n k r e t ó w, spośród których wyraźnie upodobał sobie honoraria za książki i spotkania autorskie. W ten sposób stara się zaprzeczyć pokutującemu tu i ówdzie twierdzeniu, jakoby literatura nie miała związków z życiem.

* * *

Pisarz C. przez cały czas przędzie niezmiennie tę samą nić. Stał się niewolnikiem j e d n e g o t e m a t u. Niekiedy zdaje się popadać w obsesję. Innym razem jest to tylko konsekwencja. Wierzy głęboko, że prawdziwy twórca powinien tak naprawdę drążyć wyłącznie ten sam krąg spraw. Wszystko jedno, czy znajduje je we własnej jaźni, czy sięgnie po nie do tak zwanej otaczającej rzeczywistości. Postuluje więc ścisłą specjalizację artystów. Ale na tym nie koniec. Jest bowiem wyznawcą indukcji. Twierdzi że tylko poprzez szczegółowe zbadanie kolejnych problemów można będzie kiedyś dokonać artystycznej syntezy życia.

* * *

Pisarz D. powtarza bez przerwy: „Śni mi się jakaś wielka, a przez wieki idąca powieść". Powtarza to od tak dawna, że już nawet zapomniał, iż słowa te przeczytał kiedyś u Słowackiego. Przyswoił je sobie. Uważa je za największy swój skarb. Może dlatego poprzestał wyłącznie na sennym m a r z e n i u.

* * *

Pisarz E. sądzi, że w literaturze — podobnie jak w życiu — było już wszystko. Czy jest zatem sens powtarzać, nawet w zmienionej formie, coś, co zostało kiedyś powiedziane? Czy warto wyważać otwarte drzwi, budować zamki na lodzie, a nawet błękitne mosty? Na roztrząsaniu tych pytań schodzi mu czas i tak oto pozostaje wciąż autorem jednej książki. Pozostałe skrywa głęboko w zakamarkach swej pamięci, obnosi się z nimi, wciąż obiecując, że je kiedyś napisze.

* * *

I tak dalej. I tak dalej. Czegokolwiek by jednak nie powiedzieć o pisarzach, to i tak zawsze gorsze rzeczy wypowiada się pod adresem krytyków. Tradycji tej i tym razem stanie się zadość. Tyle tylko, że głos oddam innym. Na przykład Antoniemu Goreckiemu:

Niech jeszcze dobre niebo tym Polskę obdarzy,
By miała mniej krytyków, a więcej pisarzy!

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

HASŁO ANIMACJA

Jeśli długotrwałe zabiegi w dziedzinie upowszechniania muzyki wśród szerokich rzesz społeczeństwa nie przynoszą imponujących rezultatów — wypada, po pierwsze, próbować w jakiś sposób zmodyfikować dotychczasowe sposoby oddziaływania na potencjalnego odbiorcę (aczkolwiek nie każdy eksperyment musi oznaczać tu rzeczywisty postęp), po drugie zaś — samej działalności na tym polu można nadać też... nową nazwę.

Takie spostrzeżenie zrodzić się mogło ostatnio w Bydgoszczy, gdzie z udziałem przedstawicieli UNESCO, federacji „Jeunesses Musicales", Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz władz miejskich nastąpiło otwarcie „Międzynarodowego Centrum Dokumentacji i Informacji Technik Animacji Muzycznej", utworzonego z inicjatywy Stowarzyszenia Polskiej Młodzieży Muzycznej.

Powracając od razu do uwagi początkowej: oczywiście kwestia nazwy nie jest tu najważniejsza. I tak zresztą nietrudno się domyślić, że najbardziej ogólny sens stosowanego od niedawna w dziedzinie muzyki terminu „animacja" (łac. animare — ożywiać) pokrywa się z grubsza z dotychczasowym „upowszechnianiem" czy „popularyzacją"...

Dużo istotniejsze są natomiast szczegółowe treści kryjące się za tym słowem. Współpracująca z SPMM jako wykładowczyni letnich kursów, szwedzka śpiewaczka Dorothy Irving, autorka przetłumaczonej w ub. roku na język polski broszury „Artysta — publiczność — porozumienie", określa animację muzyczną jako czynność, która stymuluje innych do twórczej aktywności, czyli również i do świadomego odbioru kompozycji. Gdyby jednak powyższe szerokie rozumienie pojęcia — nie wnoszące jak na razie jeszcze nic nowego — chociaż trochę uściślić wydobywając to, co oryginalne (zmierzały m. in. do tego wyjaśnienia udzielane w czasie konferencji prasowej poprzedzającej otwarcie „Centrum", należałoby chyba uwypuklić swoiste właściwości metody: „rozluźnienie" przekazu muzycznych informacji i jego — w założeniu — bardziej swobodny charakter.

Szczególnie w wypadku bezpośredniej relacji muzyk — słuchacz, dąży się do zmiany koncertowych zwyczajów, „defetyszyzacji kontaktów" poprzez nadanie im cechy nieskrępowania, piętna niemal osobistego. Występujący artysta — uwaga! — może (a nawet powinien) rozmawiając z publicznością komentować wykonywaną muzykę, by w ten sposób obudzić większe zainteresowanie mniej przygotowanych odbiorców (widać tu zbieżność z tym, co robił w Łodzi Henryk Czyż). Orkiestra natomiast staje się niekiedy już raczej specjalnie uprofilowanym zespołem, który nie tylko rezygnuje z tradycyjnych, galowych strojów, lecz... wychodzi wręcz na ulicę, aby grać dla przypadkowego audytorium (takie przeznaczenie ma debiutująca na wieczornym koncercie z okazji uruchomienia omawianej placówki, bydgoska „Ricciotti Group", wykonująca popularną i, przyznajmy, dość eklektyczną muzykę z repertuaru analogicznego zespołu holenderskiego „Ricciotti Ensemble"). Naturalnie, dopatrując się w tak rozumianej animacji indywidualnych rysów, nie sposób nie widzieć jej powiązania z całą dotychczasową problematyką wychowania muzycznego. Wspominamy o tym dlatego, że w Bydgoszczy nie mówiono o tym, niestety, wcale.

Czym jednak — wypada wreszcie spytać — ma być samo „Centrum"? Jego kierowniczka i... animatorka — Barbara Dybkowska poinformowała, że główne cele to: gromadzenie materiałów dotyczących animacji muzycznej rozwijającej się w różnych krajach, popularyzowanie najlepszych rozwiązań w tym zakresie dzięki rozpowszechnianiu wydawnictw i pomocy dydaktycznych, organizowanie kursów, obozów szkoleniowych, międzynarodowych sympozjów. Bydgoskie „Centrum" nie startuje od zera. Wydany został już m. in. pierwszy zeszyt kilkujęzycznego biuletynu, zgromadzono też pewien zasób książek, przezroczy, filmów, płyt, a do ciekawszych nabytków należy np. szwedzka „Duża skrzynia muzyki" zawierająca zestaw egzotycznych instrumentów przeznaczony do umuzykalniania najmłodszych.

Oficjalnemu uruchomieniu tej — jak się należy spodziewać — pożytecznej placówki, towarzyszyły dwa koncerty w Filharmonii Pomorskiej, poświęcone dorobkowi artystycznemu SPMM (gorąco oklaskiwano m. in. łódzkiego gitarzystę Jerzego Nalepkę). Urządzono także pokaz filmów muzycznych oraz wystawę plakatów nt. „Muzyka i dziecko".

Czekając już teraz na robocze wieści z Bydgoszczy, a przede wszystkim chyba na widome, społeczne efekty działalności ośrodka, warto by jednocześnie postulować współdziałanie „Centrum" z tymi instytucjami, które mogłyby wydatnie dopomóc jego pracy. Chodzi głównie o katedry wychowania muzycznego PWSM, Jak wiadomo, łódzka uczelnia muzyczna ma w Bydgoszczy od kilku lat swą filię. Czy nie jest to okazja do współpracy i osiągania obopólnych korzyści?

JANUSZ JANYST

ADOPCJA... NA WESOŁO

1979 Międzynarodowy Rok Dziecka

Staje się już dobrą tradycją w łódzkim Teatrze Powszechnym, że raz w sezonie jedną ze swoich sztuk dedykuje on najmłodszej widowni, proponując jej sceniczną wersję któregoś z klasycznych utworów literatury dla dzieci. Po niedawnej inscenizacji „Historii o sosnowym pieńku" Jerzego Hornowskiego, która — dodajmy — święciła ostatnio tryumfy podczas IV Biennale Sztuki dla Dziecka w Poznaniu, sięgnięto do adaptacji powieści „Przygody Piotrusia Pana", pióra angielskiego pisarza — sir Jamesa Matthewa Barrie (1860—1937).

Jest rzeczą ciekawą, że z obfitego dorobku prozatorskiego tego autora, największą popularność (i zapewne czytelniczą nieśmiertelność) zdobył sobie właściwie tylko ów cykl opowieści dla dzieci — o małym chłopcu, który nigdy nie chciał być dorosłym. Co jednak ciekawsze, opowieści te nie są wcale w twórczości Barrie pozycją typową. Niektóre jego powieści i sztuki mają w sobie co prawda sporo z tej samej dziwnej fantazji, z sentymentalizmu i humoru, który przesyca „Przygody Piotrusia Pana", aliści ze względu na wyraźny prymat wyobraźni nad realnością i nastawienie na innego adresata wydany w 1904 roku „Piotruś Pan" jest osobliwym wyjątkiem. Do rzędu klasycznych już dzieł literatury dla dzieci książka ta awansowała jednak stosunkowo wcześnie; jeszcze bowiem przed I wojną światową doczekała się wielu przekładów, z których polski ukazał się w roku 1913.

Autorzy kolejnej, teatralnej adaptacji (i reżyserzy zarazem) nie ulegli pokusie zamieszczenia w ramach dwugodzinnego spektaklu maksymalnej ilości zdarzeń i postaci; nie stworzyli też jakiejś syntezy z wielu opowieści. To co w formie — trzeba przyznać — przejrzystej dramaturgicznie, a jednocześnie atrakcyjnej teatralnie, dzieje się przed oczami widzów jest swobodną wariacją wokół jednej tylko opowieści („Peter and Wandy"). Klimat książki, jej duch został jednak zachowany i — na teatralny sposób przetworzony — w utwór samodzielny i zamknięty.

Podczas jednej z sennych wędrówek Piotruś — w towarzystwie elfa o motylim kształcie — opuszcza się do pokoiku dziewczynki Wandy, skąd po namowie i wypiciu czarodziejskiej mikstury cała trójka odlatuje do odległej fantastycznej krainy — Nibyi-Kraju. Tam, po nawet groźnie zapowiadających się z początku nieporozumieniach, mała Wanda zostaje — — zgodnie z życzeniem Piotrusia — bajkową mamą czwórki urwisów, którzy — podobnie jak tytułowy bohater — wylecieli niegdyś przez okna domów, aby już nigdy do nich nie powrócić. W malowniczym pejzażu nadmorskich gór i łąk rozkwita „życie rodzinne", zakłócane jednakże szeregiem wizyt groźnych korsarzy pod wodzą kapitana Haka. Ten pała zemstą do Piotrusia, pragnie pomścić utratę ręki; jego złość podsyca ostatecznie wiadomość o tym, że chłopcy mają znowu matkę... (nawiasem mówiąc: gdyby pozbawić tę adaptację całej jej baśniowości połączonej z ciepłym humorem, mogłoby się okazać, że antagonistą Piotrusia Pana rządzą motywy wcale serio: opuszczenie, samotność i płynąca z niej zazdrość o przybraną matkę...). Kapitan Hak działa energicznie, wnet Wandzia razem z chłopcami (lecz bez Piotrusia) zostają uwięzieni i grozi im śmierć. Ale sprytny Piotruś — wraz z prawdziwym „przyjacielem w potrzebie" dobrodusznym Krokodylem — wyciągają więźniów z opresji. Całość kończy się happy-endem dzięki interwencji Wandzi, która proponuje zgodę i wspólny powrót do jej domu, gdzie z pewnością wszyscy: chłopcy, byli korsarze i ich krwawy herszt znajdą schronienie i... rodziców.

J. M. Barrie: „Piotruś Pan". Scena zbiorowa.

Foto: Archiwum

Pozwoliłem sobie na to krótkie streszczenie, bowiem — o ile mi wiadomo — potencjalni odbiorcy spektaklu od „Odgłosów" wolą na razie „Swierszczyka", zaś ich rodzicom ten pobieżny opis da raczej ogólne pojęcie. Chcę natomiast podkreślić, że z wartości żywej dramaturgicznie, pulsującej zdarzeniami adaptacji nie uroniła nic realizacja. Rzadko się też zdarza, by na niewątpliwy sukces zapracowały w niemal równym stopniu wszystkie bez wyjątku elementy przedstawienia.

Tym jednak, co nadaje wrażenie harmonii między reżyserią, scenografią, muzyką, tańcem i grą aktorów, spajając te elementy w sugestywną całość, jest muzyka, której w spektaklu ani za mało, ani też za wiele i która pojawia się jako istotny czynnik dramaturgiczny wszędzie tam, gdzie jawić się powinna.

Muzyka w łódzkim „Piotrusiu Panu" nie ustatycznia, ale dynamizuje akcję, nie zamąca, ale podkreśla działania postaci, nie rozbija widowiska na luźne scenki, ale spaja poszczególne obrazy, w końcu: nie opóźnia tempa, ale nadaje dopiero żywy rytm widowisku. Do tego stopnia, że często odnosi się wrażenie, że to muzyka właśnie reżyseruje ten spektakl!

Do braw dla kompozytora — Bogdana Pawłowskiego i wykonawców muzyki (bardzo zróżnicowanej, a przy tym śpiewnej i wpadającej w ucho) dołączyć trzeba wyrazy uznania dla kolejnej w tym teatrze udanej scenografii Tadeusza Paula, którego talenta w plastycznym budowaniu baśniowych światów poznali wcześniej widzowie w „Historii o sosnowym pieńku". Warto jednak podkreślić, że w stworzeniu kolejnej, ciekawej wizji duży udział ma również trafne operowanie światłem i efektami, dzięki czemu kilka przynajmniej scen (choćby nocne loty w I akcie, krajobrazy i scena kąpieli w II) z pewnością na długo wryją się w pamięć najmłodszych widzów.

Pełna werwy, obfitująca i w zabawne i w trzymające w napięciu perypetie, akcja (jej puls słabnie może tylko w drugiej części II aktu — w scenach dość monotonnej rodzinnej sielanki), dobrze napisany tekst (w tym również udane teksty piosenek), ważna obecność muzyki, tańca i ruchu scenicznego, zróżnicowanie charakterystyk bohaterów, stwarzają spore pole do popisu aktorom, którzy — trzeba przyznać — szansę tę wykorzystują. Subtelny i pełen ciepła duet tworzą Wandzia (Barbara Szcześniak) i Piotruś (Leszek Benke). Nader sprawny i dowcipny jest kwartet zagubionych chłopców (I. Karamon, Z. Bielski, A. Łągwa, A. Fogiel). Spośród korsarzy wyróżniłbym T. Sabarę jako Kapitana Haka i M. Szewczyka — w roli komicznego Flamy, który najbardziej dekonspiruje prawdziwe oblicze groźnych tylko z pozoru — korsarzy (wyobraźcie sobie korsarza o twarzy profesora matematyki i w dodatku bezustannie robiącego na drutach!). Żywiołowe reakcje małej publiczności budzi każde pojawienie się dobrego Krokodyla — jarosza, którego bardzo dobrze ożywiła Maria Wawszczyk, dając sobie świetnie radę z trudnym kostiumem.

Miejmy nadzieję, że tę atmosferę, jaką udało się stworzyć realizatorom przedstawienia podczas uroczystej (bo przypadającej w Dniu Matki) premiery (tu trzeba dodać, że muzyka i plastyka „Piotrusia" towarzyszy widzom również podczas przerw, na foyer — w postaci odtwarzanych z taśmy piosenek, tekstów i nut zamieszczonych w ładnie wydanym programie wg. plastycznego projektu Pawła Udorowieckiego oraz — wystawy projektów scenograficznych i kostiumów do sztuki zorganizowanej w teatralnej Galerii Proces) zachowają również następne spektakle. Jeśli tak się stanie, będzie można powróżyć łódzkiej adaptacji „Przygód Piotrusia Pana" duże powodzenie.

TOMASZ SOLDENHOFF

J. M. Barrie: Piotruś Pan, oprac. M. Byron, przekład: A. Strasmanowa, adaptacja i reżyseria: R. Kamińska i B. Wrocławski, opieka artystyczna: R. Kłosowski, scenografia: T. Paul, muzyka: B. Pawłowski, choreografia: Wł. Traczewski. Premiera prasowa — 26 maja 1979 r.

SŁOWNIK REŻYSERÓW FILMOWYCH

Wśród oczekiwanych książek o filmie poczesne miejsce zajmują publikacje encyklopedyczne, słowniki, informatory. W niektórych krajach (np. we Francji) przygotowano kilka wydawnictw tego typu, nasz dorobek jest ciągle dość skromny. Dotychczas, jeśli nie liczyć wydawnictw przedsiębiorstw rozpowszechniania filmów, istniały podstawowe prace encyklopedyczne poświęcone kinematografii polskiej. Obecnie przybyła nam książka Zbigniewa Pitery o reżyserach zagranicznych, zawierająca ponad 450 sylwetek twórców. Pierwsze pytanie, jakie się w tym momencie nasuwa, to pytanie o kryteria doboru sylwetek do leksykonu. Pitera pisze:

„Zamierzony jako publikacja popularna, prezentuje reżyserów wybitnych i bardziej znanych, w przeważającej części takich, którzy już trwale zapisali się w historii sztuki filmowej. Jak każdy wybór dokonany przez jednego autora, jest wyrazem pewnych indywidualnych kryteriów i upodobań".

Oczywiście to kryterium — trwałego zapisu w historii sztuki filmowej — z wielu względów nie musi być zbyt mocne i zdarza się, że widać to dość wyraźnie. Zarzuty, które mogłyby się ze strony historyka filmu pojawić, łagodzi druga część wypowiedzi, mówiąca o preferencjach i upodobaniach twórcy słownika. Wbrew temu, co bywa powszechne w tego typu próbach, charakterystyka i dobór nazwisk jest dziełem jednej osoby. W przygotowaniach niektórych wydawnictw encyklopedycznych uczestniczyły dość często zespoły 20—30 osobowe, czasami większe.

Trudno mieć do autora pretensje o taki bądź inny wybór nazwisk, ale mnie osobiście żal, że brak w leksykonie informacji np. o twórczości J. Nemeca, twórcy znakomitego filmu „O zaproszeniach i gościach", który należy do najlepszych pozycji tzw. nowej fali w kinie czechosłowackim i ma zapewnione miejsce w historii kina tego kraju, a przecież długo jeszcze historia filmu będzie jedynie historią kinematografii narodowych. Bardzo chciałbym, aby w słowniku udało się pomieścić także sylwetki: S. Clarke, L. Puntile, A. Tannera, B. Taveniera, by poprzestać na tych kilku nazwiskach.

Pytanie o kryteria wyboru wiąże się z kwestią oceny, komentarza. Przygotowując notę krytyczną Pitera sugeruje, że odwołuje się do ustalonej opinii o twórcy, a pragnąc zwiększyć perswazyjność komentarza sięga dodatkowo po opinię innego znawcy, albo autokomentarz reżysera. Uwagi autorskie na temat własnej twórczości przywołuje w przypadku „wąskiej czołówki" kina: Bergman, Bunuel, Antonioni. Zdarza się, że brak opinii innych krytyków i autokomentarza; tak jest z Fellinim. Z krytyków cytuje autor słowa J. Mitry, G. Sadoula, M. Martina, P. Kaël, A. Sarrisa itd. Przykład komentarza znawcy, P. Kaël o Woody Allenie: „Humphrey Bogart amerykańskiej burleski".

Charakter komentarza i ocen nie jest bez znaczenia. Szczególnie w momencie, kiedy niewielu czytelników ma szanse na ponowny kontakt z dziełami, które już były na naszych ekranach. Niech ktoś spróbuje obejrzeć, albo „przypomnieć" sobie „Narodziny narodu", „Reguły gry", „Październik", czy „Do utraty tchu", a wówczas okaże się, że to nie takie proste. Jeśli widz chciałby potraktować ten leksykon jako przewodnik w swoich kontaktach z filmem, źródło wyboru, musiałby raczej przypominać fanatyka niż miłośnika kina. Ta ostatnia postawa na niewiele nam się przydaje. Podejście, które w przypadku czytelników książek jest możliwe — np. czytać tylko prozę iberoamerykańską — w kinie traci swoją rację bytu. Nieszczęśliwy ten, kto zdecyduje: oglądam francuską „nową falę" lub „szkołę czeską". A przecież taka forma wykorzystania słownika jest możliwa do przemyślenia i akceptacji, trudno by służył on jedynie do rozwiązywania krzyżówek. Dlatego traktując pracę Pitery jako źródło wtórnego kontaktu z filmem, należy akcentować dążenie do obiektywności, postulując wprowadzenie informacji tematycznej zamiast ocen. Czasem poszukiwanie filmu okazać się może szczególnie kłopotliwe. Dla przykładu dzieło braci Mekasów nosi w leksykonie tytuł „Paka". Obraz będący dokumentalnym zapisem spektaklu Living Theatre pt. „The Brig" znany jest w Polsce jako „Klatka".

Niezależnie od tych czy innych uwag książka jest sukcesem Pitery. Ale trudno mówić o sukcesie wydawcy, drukarni. Na negatywną ocenę dwóch wymienionych instytucji składa się parę rzeczy. Zacznijmy od tego co zewnętrzne. Okładka jest niestarannie wydrukowana, biel wkracza na teren przeznaczony dla innej barwy, ta anektuje w zamian obszar bieli. Najgorsze usterki czekają nas wewnątrz, przynajmniej w moim egzemplarzu. W indeksie nie są zadrukowane strony: 210—211, 214—215, 218—219, 222—223, 226—227, 230—231, 234—235, 238—239. Gdybym teraz chciał dokonać prostego wyboru filmów do obejrzenia, nie bardzo mógłbym w pełni wykorzystać informacje leksykonu. Należy zaznaczyć, że książkę wydrukowały Łódzkie Zakłady Graficzne, Zakład nr 1 przy ul. Rewolucji 1905 r. nr 45.

Negatywny akcent w końcowej części recencji nie powinien osłabiać radości z faktu, że nareszcie mamy leksykon reżyserów, i uznania dla Zbigniewa Pitery, że starał się jak najlepiej opracować tekst. I choć wszystko co niedobre jest poza zasięgiem jego oddziaływania, nie można było o tym nie mówić.

KAZIMIERZ KOWALEWICZ

Zbigniew Pitera, Leksykon reżyserów filmowych, WAiF 1978.

RODZINA

W cywilizacji bloków i osiedlowych suburbiów telewizor spełnia rolę nowoczesnego kominka. Miejsce fantazyjnych płomieni, trzaskających bierwion, emanujących smolne ciepło, zajęli prezenterzy i prezenterki o głosach równie dźwięcznych i rozgrzewających. Dawny kominek, znak domostwa z którego nadmetrażu bez żenady korzystali różni arystokraci i inni przedstawiciele klas posiadających, zamienił się w demokratyczny mebel o bezklasowym nacechowaniu (pomijam tu telewizory kolorowe) bo jest w każdym mieszkaniu. Jest więc telewizor współczesną materializacją metafory domowego ogniska, w cieple którego dorastają kolejne pokolenia.

To amerykańskie (że niby takie fajne) porównanie wpadło mi do głowy, gdy przychodzi zdać sprawę z telewizyjnych atrakcji ostatniego tygodnia. Zresztą sama tv (przyznaję lojalnie) narzuciła mi tę śmiałą paralelę. Jeśli odbiornik spełnia funkcję kominka — myśleli telewizyjni redaktorzy — przy którym gromadzą się na codzienne godzinki całe rodziny, zaprezentujmy programy przedstawiające rozmaite modele familijnego bytowania.

Zamiast programu „Dzień dobry, tu telewizja" (notabene, był to pomysł nieźły, acz niekonsekwentny, no i te wczesne godziny), oglądamy więc „Dzień dobry w kręgu rodziny". W środę i piątek dwuczęściowy film radziecki „Idylla rodzinna", a także powtórka czechosłowackiej serii „ Z życia wzięte", kolejny program dla rodziców, nazwany wbrew temu co z ekranu się słyszy, „Bez recept". Nawet najbardziej atrakcyjny termin, w sobotę po dzienniku, zaanektowano dla emisji obrazów z życia aktorskiego klanu rodzinnego w serii „Na scenie życia". Punktem kulminacyjnym był oczywiście Dzień Matki, uroczyście akcentowany przez Studio — 8. Mało tego. Jak zawsze bardzo interesujący program „W minutę po premierze", przyniósł kolejny film A. Chiczewskiego „Za chlebem" w którym obejrzeliśmy żywoty polskich rodzin na amerykańskiej ziemi obiecanej. Szkoda tylko, iż dyskutanci zastawiając się statystyką, nie potrafili dotrzymać tonu prowadzącemu redaktorowi i twórcy filmu. I kolarze niedosyceni efektami swojego udziału w Wyścigu Pokoju, poklepywani przez Ryszarda Dyję, mówili o rodzinnej atmosferze panującej w zespole.

Tak, rodzina była centralnym motywem ostatniego tygodnia w telewizji. Ale żeby nie wszystko było tak jednoznacznie pozytywne, wedle zasady „Atrydzi też rodzina", siódmy odcinek angielskiego serialu „Ja, Klaudiusz" przeszedł nasze najgorsze wyobrażenia, kształtowane przez sądowo-familijne kawałki z krwawych popołudniówek. Ale też został przeniesiony w godziny, kiedy to bogobojni i uczciwi telewidzowie dawno śpią. Przynajmniej powinni spać. Ciekawość ludzka jest jednak silniejsza. Do późnej nocy więc okna Widzewa-Wschodu rozświetlone były refleksami telewizyjnych odbiorników.

Ów rodzinny impuls tv wybawił nas takoż od piątkowego Studia Gama. W jego miejsce emocjonowaliśmy się najnowszym pomysłem teleturniejowym. I oczywiście w grze wzięły udział rodziny. Zadania, które musiały rozwiązać, stanowiły typowe dla naszych czasów obowiązki i rozrywki. A więc rozplątywanie węzłów, budowanie domków z kart, rozbijanie butelek od mleka, przekładanie piłeczek ping-pongowych. Ta ostatnia metafora była dla mnie dosyć mało czytelna. Miało być chyba o bezsensie? Poważnie mówiąc, zgadzam się, iż trudno o nowy pomysł teleturniejowych szranków, bo z jednej strony muszą one mieć charakter rywalizacji, a z drugiej zachować walory rozrywkowo-widowiskowe. Bliskim ideału jest „Wielobój gwiazd", natomiast to, co zaprezentowano podczas ostatniego „Wieczoru teleturniejów", przeczyło zasadzie równości szans grających, zwłaszcza finał, o czym zadecydował skład socjalny i pokoleniowy poszczególnych rodzin.

Historia Polski, zresztą nie tylko Polski, zaświadcza w całej swojej rozpiętości, że rodzina, jej wewnętrzne więzi i funkcje decydowały o żywotności, aspiracjach i sile narodu. Prawda to choć potoczna, ale niedyskutowalna. I dobrze, iż telewizja odwołuje się do tych wartości, iż próbuje je rozwijać i kształtować. Pożyteczniej jednak byłoby dla obu stron, dla tych co program nadają i dla tych, którzy go odbierają, aby o sile ideologicznej perswazji nie decydowała ilość przekazywanych treści, ale ich jakość.

Że nic nie ma o programie II? A cóż można napisać, jeśli telewizja proponuje audycje takie jak „Oko w oko z gorylem", „Jana, Hana, Dana", „Janosika", po dwa odcinki „Przygód pana Michała" i to wszystko w jedno sobotnie popołudnie i wieczór? Na szczęście dopisuje pogoda, korzystajmy więc z tego i wracajmy przed telewizor, tylko wtedy, gdy telewizja stanie na wysokości swoich zadań. Nie zalegajmy natomiast z opłatą abonamentu.

GRZEGORZ GAZDA

AUTOPLAGIAT

Claude Sautet należy do reżyserów, którzy poddają wrażliwość i cierpliwość widza szczególnej próbie. Na bezrybiu francuskiej kinematografii jest to jedna z nielicznych postaci, które z problematycznym powodzeniem usiłują ratować coraz bardziej mizerny prestiż kina nad Sekwaną. Jednocześnie w jego filmach przeglądają się z wyjątkową precyzją wszystkie zalety i słabości tego kina. Sautet zdaje się zbierać i podsumowywać jego zmienne doświadczenia. Świadczy o tym również artystyczna biografia reżysera, który — rówieśny prominentom Nowej Fali — zadebiutował dziesięć lat później niż oni, u schyłku lat 60, głośnym filmem „Okruchy życia". Nie był to rzeczywisty debiut, poprzedzały go dwa inne utwory bez znaczenia, ten natomiast został uhonorowany cenioną nagrodą im. L. Delluca. Warto jednak wiedzieć, że Sautet był scenarzystą popularnego nurtu Nowej Fali, filmów Franju, Malle'a i Rappenau i ta współpraca w dużej mierze określa jego artystyczny rodowód.

„Mado", bodaj ostatni film Sauteta, pragnie nawiązać do sukcesu błyskotliwych „Okruchów życia". Powraca ten sam aktor, ten sam bohater, prawie ta sama anegdota i tło społeczne, a także psychologiczna atmosfera. Jest to francuska wersja „antonionizmu" przedstawiona w kaligraficznym stylu. W „Okruchach życia" Sautet zręcznie wykorzystał aktorski sukces Michela Piccoli, który stał się męską Moniką Vitti, głównym specjalistą od ujawniania alienacji i frustracji na ekranie. Piccoli stworzył jedną z najbardziej wyrazistych, a przy tym subtelnych postaci ekranowej mitologii lat 70. Jego bohaterowie, mężczyźni w średnim wieku, świetnie sytuowani burgeois, żyją w stanie psychicznej dezintegracji, ustawicznego rozproszenia, trawieni egzystencjalnymi rozterkami. Sautet do perfekcji opanował styl wizualnej relacji, w której sytuacje, drobne zdarzenia, z których składa się życie, owe „okruchy" dyskretnie zyskują psychologiczny rezonans.

Mado to imię dziewczyny ulicznej, którą poznaje bohater, mężczyzna na progu starości. Staje się ona przedmiotem jego narastającej fascynacji miłosnej. Pociąga go jej tajemniczy wdzięk, jej młodość. Dla dziewczyny starszy pan jest tylko jednym z licznych partnerów, ona dla niego piekłem zazdrości. Związek tych dwojga jest psychologiczną grą, która dla Sauteta staje się kolejnym przykładem jego ulubionego tematu: kruchości ludzkich uczuć, braku trwałych wartości w życiu, egzystencjalnej próżni. Diagnoza psychospołeczna tyleż banalna, co ciągle aktualna. U Sauteta ma ona charakter nienatrętny, nieomal mętny i niedookreślony. Jest naszkicowana w tle innych zdarzeń, które stanowią codzienną treść życia bohatera. Jest on przedsiębiorcą, którego przyjaciel wykorzystywany przez rekina gospodarczego podziemia popełnia z powodu bankructwa samobójstwo. Simon postanawia dokonać odwetu, a jednocześnie uratować przedsiębiorstwo, którego był akcjonariuszem. Fabułę filmu wypełniają skomplikowane zabiegi Simona wokół tego zamiaru, w których nie cofa się przed wątpliwymi moralnie działaniami, dążące ku uświęcającemu celowi. Jednocześnie ten cel ma ukierunkować jego chaotyczne życie, nadać mu choćby tymczasowy sens pragmatyczny. Jest to złudzenie, bowiem przeciwnik okazuje się bardziej wyrafinowany i wysiłki Simona spełzają na niczym. Film zamyka symboliczna scena, dla której Sautet zrobił cały film. Simon, jego przyjaciółka i współpracownicy utykają nocą samochodami w strugach ulewy w rozległym bagnie. Simon boleśnie odczuwa bezsens swoich działań, daremność ucieczki od samego siebie. Film zamyka obraz nieprzeniknionej twarzy Mado.

Z tym wszystkim trudno chwalić ten film. Wydaje się, że Sautet nie do końca zaufał psychologicznej nośności tego tematu. Jego film jest równie niezdecydowany jak jego bohater i waha się pomiędzy formułą dramatu psychologicznego a opowiadania sensacyjnego. Zatęsknił do swojego pierwszego filmu i pragnął z tym samym sukcesem po raz wtóry zrealizować ten sam temat. A tego rodzaju pokusy zwykle bywają zdradliwe, kończą się klęską, brak im żywotności, bo żyją światłem odbitym jak każdy plagiat.

Jednocześnie jest to sytuacja niesłychanie charakterystyczna dla całego współczesnego kina francuskiego, które usiłuje żyć z odcinania kuponów od niegdysiejszej sławy. Jeśli przyjrzeć się z tego punktu widzenia dzisiejszym filmom Trouffauta, Godarda czy Chabrola to łatwo skonstatować, że wiecznie poruszają się one w kręgu ciągle tych samych formuł problemowych i estetycznych, które ongiś uruchomiły współczesną wrażliwość i wyobraźnię filmową, lecz dziś powielane w nieskończoność brzmią martwo.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

JEGO BATALION

Wasil Bykow, współczesny prozaik białoruski, należy do pisarzy, którzy konsekwentnie trwają przy tematyce wojennej. Urodził się w 1924 roku. W czasie wojny walczył w szeregach Armii Czerwonej, był dwukrotnie ciężko ranny. W armii służył do roku 1955, po demobilizacji osiadł w Grodnie, gdzie rozpoczął pracę dziennikarską. Jako pisarz debiutował w roku 1956.

Jest autorem dobrze znanym polskiemu czytelnikowi m. in. z takich utworów, jak: „Trzecia rakieta", „Sotnikow" i tomu opowiadań „Doczekać do świtu". W roku 1974 został laureatem Nagrody Państwowej ZSRR.

Bykow sprawy wojny traktuje nietypowo. Jego zainteresowania wojenne nie ograniczają się do opisu przebiegu działań. Interesują go złożone problemy moralne, które wojna obnaża. Jego bohaterowie, to szeregowi bojownicy ukazywani zwykle w pełni dramatyzmu, niemal krańcowych sytuacjach. A bohaterstwo ich nie jest zjawiskiem nadludzkim, wynika z frontowej codzienności.

W opowiadaniu „Jego batalion" towarzyszymy bohaterowi, młodemu kapitanowi, dowódcy batalionu, przez jedną noc i dzień. W tym czasie batalion dokonuje dwukrotnego ataku na pozycje niemieckie. Jeden atak jest nieudany, kapitan zarządza odwrót, zostaje za to zdjęty ze stanowiska dowodzenia. Drugi atak prowadzi jego zastępca. Wołoszyn bierze w nim udział, jako zwykły żołnierz. Z ogromnymi stratami pozycje wroga zostają zdobyte. Ale nie to w całym opowiadaniu jest najważniejsze. Bykow poddaje ocenie kadrę dowódczą, jej fachowość i odpowiedzialność za życie szeregowych żołnierzy. Utwór surowy, pozbawiony patosu, daje obraz zwykłej codzienności frontowej, a przez to staje się jeszcze bardziej wstrząsający.

Wasil Bykow, „Jego batalion", przekład: Waldemar Kiwilszo, Czytelnik, W-wa, str. 225, cena zł 20.

ANTOLOGIA DRAMATU RADZIECKIEGO

Dramat, jako rodzaj literacki jest na ogół przystosowany w swojej strukturze, warstwie językowej i formalnej do oglądania na scenie, nie zaś do czytania. Wydawanie dramatów w formie książkowej jest jednak konieczne pod względem poznawczym. „Antologia dramatu radzieckiego" jest taką konieczną pozycją.

Sam wybór dramatów był przedsięwzięciem karkołomnym — należało zamknąć w jednym tomie, na sześciu czy siedmiu utworach przestając, antologię dramaturgii rosyjskiej z okresu lat sześćdziesięciu po Rewolucji Październikowej. Wprawdzie przed dziesięciu laty wydał PIW cztery pojemne tomy pt. „Teatr radziecki", zawierające utwory 23 autorów — od Majakowskiego i Gorkiego, po Wołodina i Szatrowa, „Antologia" jednak stawia sobie za cel skupienie uwagi czytelnika na podstawowym tonie porewolucyjnej, aż po dni dzisiejsze, dramaturgii, która zajęta sprawą ojczyzny i jej ludzi ma też ambicje poznawcze i moralizatorskie.

Klasykę rewolucyjną sensu stricte reprezentują w tym tomie Bułhakow, Wiszniewski i Pogodin. Dla Michała Bułhakowa, który wojnę domową przeżył w Kijowie, smak tej epoki i jej sens polegał na tym, że wielu spośród oficerów białej gwardii i wielu przedstawicieli zbiegłej inteligencji rozumiało „ogrom siły, potęgę bolszewizmu, co z północy nadciągał do Kijowa i wyparł hetmańszczyznę". Znakomity pisarz rewolucję odczuwał, jako burzę osądzającą i karzącą dawną Rosję. Ostatnie zdanie sztuki, wygłaszane przy dźwiękach „Międzynarodówki" brzmi: „Dla jednych prolog, dla innych epilog".

Inaczej niż Bułhakow widzi rewolucję Wiszniewski. Sam był frontowym żołnierzem, odmiennie przeto ukazuje starcie rozpętanej anarchii z potężną wolą partii. Zwraca się do potomności, byśmy pomyśleli, że życie nie umiera, byśmy zastanowili się „czym jest dla nas — w istocie swej — walka i śmierć".

Ze wszystkich sztuk rosyjskich, których generalną postacią jest Lenin, najsympatyczniejszą i najlepszą są chyba „Kremlowskie kuranty" Pogodina. Lenin zarysowany jest tu wyraziście, ciepło, ale przez jego bezpośredność i skromność przebija mądrość i wielkość.

Nowy okres dramaturgii radzieckiej reprezentują w „Antologii" Wampiłow i Arbuzow. Obaj urzeczeni są rozlewnym krajobrazem syberyjskiej Rosji i jej ludźmi. Każdy z nich dostrzega inne piękno. Inne jest ono dla Arbuzowa — moskwianina i dla Wampiłowa, który na Syberii się urodził.

„Antologia dramatu radzieckiego", wyboru dokonał i wstępem opatrzył Stanisław Witold Balicki, PIW, 1978, str. 585, cena 100 zł.

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

POŻEGNANIE ULICY GŁÓWNEJ

O nazewnictwie łódzkich ulic pisałem jakieś piętnaście lat temu w „Odgłosach", a następnie na łamach „Polityki". Do tematu — jako, że wciąż aktualny — wracam po latach. Chodzi mi o ulicę Główną.

Na planie sytuacyjnym „Osady Rękodzielniczej — Łódka" ulica Główna widnieje już w 1827 r. Z prostego rachunku wynika więc, że dwa lata temu ulica ta obchodziła jubileusz 150-lecia.

Dlaczego nazwano ją Główną? Po prostu — to była rzeczywiście g ł ó w n a ulica osady. Tędy właśnie prowadził szlak do pierwszego łódzkiego dworca — Stacji Kolei Żelaznej w Rokicinach. Tędy jeździły wozy z bawełną — w jedną stronę, a wracały załadowane manufakturą — w drugą stronę.

Dopiero w drugiej połowie XIX wieku ulica Główna zaczyna tracić powoli swój — określony nazwą — charakter. Zbudowano Dworzec Warszawski, zwany dziś Fabrycznym, i Główna straciła znaczenie. Jeśli chodzi o nazwę, zawsze była pechowa. Zaledwie trzydzieści lat była główną ulicą przemysłowej Łodzi, potem spadła do rzędu zwykłych arterii śródmieścia i przyszywani łodzianie dziwili się, skąd ta boczna ulica kupców i rzemieślników nosi taką „główną" nazwę. Raz już ją przemianowano, ale wróciła do swego historycznego miana.

Tak się składa, że — wiedzeni przeczuciem — o ulicy Głównej pisali ostatnio Zdzisław Konicki w „Kalejdoskopie" oraz Wacław Pawlak w „Głosie Robotniczym". I dobrze się stało, bo już więcej nie będzie okazji. Ulica Główna zniknęła z planu i krajobrazu Łodzi.

A był to jedyny, ostatni ślad starego, historycznego układu urbanistycznego. Nie zostało już bowiem śladu po większości starych kamienic — i to dobrze, bo miasto jest organizmem żywym i nie może się zasklepiać w starych murach. Przy ulicy Głównej wyrosły nowe wieżowce, stała się ona arterią przelotową. Śmiałe plany łódzkiej urbanistyki sprawiły, że po latach ulica Główna odzyskała swój charakter sprzed 150 lat.

I właśnie wtedy... zmieniono jej nazwę. Dość młodej proweniencji ulicę Mickiewicza postanowiono przedłużyć w stronę Placu Zwycięstwa — i w ten sposób zniknął z planu Łodzi ostatni ślad historycznego układu urbanistycznego.

Jest więc ten felieton pożegnaniem ulicy Głównej. Jest pożegnaniem nazwy, która trochę dziwiła przybyszów, ale jeśli któryś z nich zechciał poświęcić nieco czasu na poznanie dziejów tego miasta, przestawał się dziwić. Ulica Główna jest bowiem obecna w dziesiątkach książek i prac historycznych, tkwi w dziejach miasta. Wie o tym każdy łodzianin. No, przesadziłem trochę, oczywiście nie każdy.

Mogę nawet dokładnie powiedzieć, kto o tym nie wie. Otóż, z pisma Głównego Geodety Województwa w Łodzi dowiedziałem się, że nazewnictwem ulic zajmuje się poważne grono ludzi — przedstawiciele Towarzystwa Przyjaciół Łodzi, Wydziału Kultury, Biura Organizacyjno-Prawnego Urzędu m. Łodzi, Urzędów Dzielnicowych, KW MO, Wydziału Komunikacji oraz Biura Głównego Geodety.

Poważne to grono — cytuję — „ma za zadanie z zebranych przez Biuro wniosków od ludności, instytucji i publikowanych w prasie, wyeliminować już istniejące nazwy i przedstawić projekt do zaopiniowania Komisji Rady Narodowej". Koniec cytatu.

Prawdę mówiąc, dziwi mnie obecność w tym gronie przedstawicieli Towarzystwa Przyjaciół Łodzi i Wydziału Kultury. To oni bowiem powinni uświadomić pozostałym, że niczym nie uzasadniona zmiana nazwy jednej z najstarszych ulic Łodzi jest posunięciem — delikatnie mówiąc — wątpliwej wartości.

Trochę mi trudno uwierzyć, że „ludność, instytucje i publikacje w prasie" postulowali zmianę nazwy ulicy liczącej sobie ponad 150 lat. Przeciwnie — uważam, że stało się to trochę wbrew intencjom łódzkiej społeczności. A stało się na skutek niedopatrzenia i niedoinformowania.

Ale stało się. Nie ma już w Łodzi ulicy Głównej. Niech więc ten skromny felieton będzie jej pożegnaniem.

WIDOK

PROPOZYCJE

WĄSY PANA JACKA

Jacek Fedorowicz zapuścił wąsy. Jest to jego prywatna sprawa. Ale w „Expressie Wieczornym" widziałem zdjęcie Jacka Fedorowicza i nie jest to już tylko jego prywatna sprawa. Z informacji tej, że Jacek Fedorowicz zapuścił wąsy nic co prawda nie wynika, bo teraz przecież Jacka Fedorowicza nie ogląda się — z wąsami czy bez — ani na telewizyjnym, ani na kinowym ekranie, ale zawsze... Jacka Fedorowicza słucha się w radio lub czyta się w książce.

Niektórzy bardzo żałują, że Jacek Fedorowicz nie występuje ani w filmie, ani w telewizji. On sam jest powściągliwy w wypowiedziach na ten temat, stwierdzając tylko, że nie ma go ani tam, ani tu, czyli na żadnym z ekranów. Woli radio. Ja nie będę namawiał Jacka Fedorowicza do tego, aby rzucił radio i wrócił na ekran, choć czasem żałuję, że minęły już czasy „Poznajmy się" czy „Małżeństwa doskonałego". Wtedy nie było jeszcze magnetowidów i być może zapisano obraz na taśmie telerecordingu, a to nie był najlepszy zapis. Pozostały wspomnienia. I chyba dobrze. Mam bowiem poważne wątpliwości czy dziś Jacek Fedorowicz czułby się dobrze na telewizyjnej estradzie. Nie dlatego, że tego nie umie, broń mnie Panie Boże przed takim posądzeniem, ale inne teraz mody panują w telewizji, a Jacek Fedorowicz jest wielkim kreatorem i improwizatorem. On kreuje sam siebie i swoje otoczenie, stwarza wokół siebie świat na swoje podobieństwo i wedle swoich wyobrażeń. Jest to bardzo zabawny świat. Być może w telewizji parę osób chciałoby się do tego świata wtrącić, dołożyć swoje wyobrażenia, a one mogłyby się kłócić z tym, co wymyślił Jacek Fedorowicz i wyszłoby z tego Bóg wie co. W radio jest zupełnie inaczej, tam mógł zapuścić nawet wąsy.

W radio Jacek Fedorowicz ma nieograniczone możliwości budowania świata swoich wyobrażeń i nie tylko. Kto słucha w trzecim programie PR „60 minut na godzinę" ten wie, ile tam Jacek Fedorowicz może wymyślić. Wielu jest znakomitych autorów w tej znakomitej audycji, ale ja zawsze z dużym zaciekawieniem oczekuję na moment, kiedy przed mikrofonem stanie Jacek Fedorowicz i grono kolegów, których on kreuje.

Proszę nie myśleć jednak, że Jacek Fedorowicz wszystko to robi jedynie dla zabawy. Nic podobnego, choć zabawa jest to przednia. Ileż swojskiego uroku posiada Kolega Kierownik, Kolega Kuchmistrz, Spiker czy Kolega Tłumacz, nie mówiąc już o tym, że Jacek Fedorowicz kreuje przed mikrofonem Jacka Fedorowicza, ale jest to zupełnie inny Jacek Fedorowicz od tego, który później zgrzany wychodzi z radiowego studia. Jest to bowiem postać radiowa pod tytułem Jacek Fedorowicz. A wszystko to, aby ośmieszyć nasze wady, przywary, słabości śmieszności, wykpić naszą głupotę i bezmyślność udającą szczyty intelektu. Bo Jacek Fedorowicz jest w gruncie rzeczy moralistą, wychowawcą, pedagogiem, dydaktykiem.

Wybrał on wielce perfidną metodę atakowania naszej wyobraźni. Nie grzmi, nie peroruje, ale ośmiesza. Zbudował swoim głosem świat ludzi nierzeczywistych, ale przecież mających odniesienie do rzeczywistości. Buduje sytuacje paradoksalne, które jak ulał pasują do takiej czy innej instytucji. Ludzie słuchają nieprawdopodobnych, absurdalnych przygód Kolegi Kierownika i jego Załogi i mówią sobie: — to zupełnie tak jak u nas. Bo Jacek Fedorowicz znalazł skuteczny sposób, aby wytykać nam nasze przywary, błędy i głupotę. Zresztą w książce „W zasadzie ciąg dalszy", która jest jakby drugim tomem poniedziałkowych felietonów wygłaszanych niegdyś przez Jacka Fedorowicza w programie trzecim, a która nosiła tytuł „W zasadzie tak", w swej ostatniej książce Jacek Fedorowicz pisze:

„Uważam, że należy mi się jakiś drobny pomniczek za to, iż w moich badaniach nad życiem współczesnego Polaka zająłem się nie Sprawami Zasadniczymi, lecz właśnie drobiazgami...".

W zasadzie tak, należy się Jackowi Fedorowiczowi drobny pomniczek, ale wątpię, czy ktoś mu go wystawi. Natomiast znajdą się niewątpliwie naśladowcy, którzy zaczną zajmować się drobiazgami w nadziei, że dorównają. Otóż nie. Jacek Fedorowicz ma bowiem rzadki dar improwizacji. Wprawdzie ponoć wszyscy Polacy mają dar improwizacji, stąd też nasza działalność społeczna i gospodarcza oparta jest przede wszystkim na tej zasadzie organizacyjnej. O skutkach lepiej nie mówić, doświadczamy ich codziennie. Ale jest to zupełnie inna improwizacja. Raczej godna zwalczania. Natomiast dar, jaki posiada Jacek Fedorowicz pozwala mu w kreowanym przez niego świecie ukazywać nieustannie wykrzywioną twarz współczesnego Polaka, obarczonego wieloma wadami i jest to nie do naśladowania.

Kto nie słucha Jacka Fedorowicza w radio niech go sobie poczyta w książkach: „Porady estradowca", „W zasadzie tak", „W zasadzie ciąg dalszy". Można je dostać już tylko w bibliotekach.

A Jacek Fedorowicz z wąsami bardzo mi się podoba, tylko że z tego nic nie wynika.

MARCIN RODAK

KONTROWERSJE

SERIAL SANDAUERA

Czytającą publiczność zbulwersował ostatnio trzyodcinkowy serial **Artura Sandauera** emitowany na łamach „Polityki". Stary, mądry krytyk napisał komediofarsę na temat współczesnej poezji. Trzeba przyznać, że na tle nudnej publicystyki lat ostatnich tekst Sandauera czyta się z niesłabnącym zainteresowaniem.

Jednocześnie spotkałem się z pytaniem **„Dlaczego „Polityka" publikuje takie teksty?"**. W pytaniu tym zawarte są zdziwienie i nagana.

Uważam, że niesłusznie. Bardzo dobrze, że publikuje się takie teksty. Bardzo dobrze, że obok postaci tytana myśli krytycznej, jakim był (i przecież pozostał) Kazimierz Wyka — funkcjonuje taki przewrotny prześmiewca jak Artur Sandauer. Gdyby nie on — współczesna literatura byłaby o wiele nudniejsza niż jest.

A zresztą Artur Sandauer ma wiele racji, choć nie dotyczą one akurat literatury.

Natomiast gdy idzie o literaturę, wygłasza Sandauer opinie, którymi rządzą obsesje. To bardzo cenna zaleta pisarza — mieć własne obsesje. Sandauer je ma. Poza tym Sandauer posiada do perfekcji opanowany warsztat. Lektura Sandauera to lekcja pisania. Precyzyjnego — gdy mu to potrzebne: niejasnego i aluzyjnego — również, gdy mu to potrzebne.

Pisze Sandauer o Zbigniewie Herbercie: **„wykształcenie historyka sztuki, nalot kultury antycznej"**. Akapit dalej o Erneście Bryllu: **„należy do nurtu plebejskiego"**. Ani słowa o wykształceniu, które Bryll przecież ma w równym co Herbert stopniu. Ani słowa o „nalocie" kultury, którym Bryll pokryty jest również.

To nie przypadek. W ten sposób wywołuje się u czytelnika pewną pojęciową zbitkę: **„Herbert — znaczy kulturalny Europejczyk" — „Bryll — znaczy plebejski prostak"**. Dalej już idzie łatwo. Cytuje się precyzyjnie dobrany fragment wiersza Brylla, aby móc go skomentować uogólniającą, pogardliwą konkluzją.

O Stanisławie Grochowiaku pisze Sandauer, że nie jest prawdą **„jakoby był całkowicie pozbawiony talentu"**. O ile wiem nikt dotąd nie ogłosił „prawdy", że najwybitniejszy poeta pokolenia „Współczesności" był pozbawiony talentu.

Ale Sandauer jest znakomitym pisarzem. Budując zdanie w ten sposób wywołuje u czytelnika wrażenie, że pozycja Grochowiaka we współczesnej poezji była i jest podejrzaną i wątpliwą. Więcej — to właśnie Sandauer bierze w obronę tego lichego poetę, który **„jest na bakier z ojczystym językiem"** — to właśnie Sandauer wystawia mu łaskawie dostateczną ocenę za **„parę młodzieńczych wierszy"**.

Budując sobie taką pozycję do ataku — dalej już idzie prosto. Grochowiak pisał fatalną polszczyzną, a w ogóle poszedł na łatwą karierę.

Skreślamy zatem Brylla i Grochowiaka.

Skreślamy także Jerzego Harasymowicza, którego poezja jest dla Sandauera **„okazem pseudonaiwnej tandety"**. Skreślamy Tadeusza Nowaka — to przecież według Sandauera **„tania poetyczność i łatwizna"**. Skreślamy Jarosława Marka Rymkiewicza — **„jako poetę możemy go pominąć"** — pisze Sandauer. Skreślamy Tymoteusza Karpowicza — **„czytając jego wiersze miewamy nieraz wrażenie, jakbyśmy defilowali wzdłuż ekspozycji środków pisarskich, zwiedzali wystawę poetyckiego demobilu"** — drwi Sandauer.

Więc gdzie są poeci? Niewielu ich. Szymborska, Herbert, Różewicz, Białoszewski, Śliwiak. Czy Sandauer się myli? Skądże znowu! Jest przecież wytrawnym krytykiem. To są naprawdę wybitni poeci.

Po co więc „oczyszczał pole" z innych — skoro ranga tej piątki jest absolutnie niekwestionowana?

A może kryła się w tym przewrotna myśl podważenia owej niekwestionowanej rangi? Sandauer demonstruje bowiem, jak przy pomocy jednej obsesji i paru tendencyjnie dobranych przykładów można zdyskredytować k a ż d e g o poetę. Zabieg zastosowany na twórczości Grochowiaka, Brylla, Harasymowicza — jest zabiegiem uniwersalnym. Przyrządem krytycznym Sandauera można ciąć także Różewicza, Herberta, Śliwiaka, Białoszewskiego...

Czy o to chodziło Arturowi Sandauerowi? Nie wydaje mi się.

Otóż Sandauer uczynił to w imię wyższych racji. Współczesna krytyka bowiem **„nie potrafiła wytyczyć, ani aktualnej linii frontu, ani kierunku przyszłego rozwoju"**. Sandauer dodaje skromnie: **„autor usiłuje zaniedbania te z opóźnieniem nadrobić"**.

I bardzo dobrze. Dzięki Arturowi Sandauerowi otrzymaliśmy pasjonujący serial w najlepszym telewizyjnym stylu, serial pełen głębokich obsesji i bardzo powierzchownych ocen. Zawirowania prądów — w głębinie i na mieliznach, może sprawią burzę. Nawet jeśli okaże się ona burzą w szklance wody — lepsze to niż martwa pogoda.

JERZY WILMAŃSKI

Z GALERKI

PAULOS RAPTIS

Akropolis adie,
Łódź woła mnie.

Rys.: Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

SPORT

ZŁUDNE KALKULACJE

Wiem co grozi za opowiadanie starych dowcipów, ale proszę mi wybaczyć, bo dowcip, który za chwilę opowiem pasuje mi do reszty. Dowcip jest o starym Rozenkracu, który co niedzielę bardzo złorzeczył dobremu Bogu, że ten nie dał mu wygranej w Toto-lotka. Któregoś dnia dobry Bóg zdenerwował się, wychylił się zza chmury i powiedział: — Słuchaj Rozenkrac, ty mi daj szansę, wypełnij wreszcie ten kupon.

Kiedy słyszę lub czytam o różnych kalkulacjach na temat szans naszych sportowców, zaraz przypomina mi się ten dowcip. Kalkulowanie nie jest niczym złym. Każdy rasowy kibic kalkuluje, rozważa, jakie też szanse ma jego drużyna, jego ulubiony zawodnik, układa prognozy, co powinno się stać, aby doszło do zwycięstwa tych, na których on stawia. Kto powinien przegrać, a kto wygrać. Mogę sobie wyobrazić nawet, jak w tym czy innym klubie cały sztab rachmistrzów siedzi i liczy skrzętnie, co by było, gdyby ci stracili, ci zremisowali, a oni zdobyli punkty. Wszystko na ogół kończy się na tych obliczeniach. Na boisku, na stadionie, wydarzenia toczą się inaczej niż to obliczyli i wykalkulowali znakomici rachmistrze. Jak to w życiu...

Wszyscy z dużym zaciekawieniem, a niektórzy nawet z niepokojem, oczekiwali na spotkanie lidera tabeli pierwszej ligi z wiceliderem tejże tabeli, czyli chorzowskiego RUCHU z łódzkim WIDZEWEM. Dodatkowym smaczkiem tego meczu był fakt, że RUCHEM kieruje Leszek Jezierski, który znakomicie zna drużynę WIDZEWA, a piłkarze WIDZEWA znakomicie znają — przynajmniej w większości — byłego trenera tej drużyny. Ale mecz podobał się tylko Janowi Ciszewskiemu, który określił go jako szybki, dynamiczny i atrakcyjny. Inni zgodni są w opiniach, że mecz był wyjątkowo niecekawy, choć stawka była wysoka. Przegrana RUCHU otwierała szansę na mistrzostwo Polski przed WIDZEWEM. Ryszard Kulesza, który ten mecz oglądał, powiedział: „tak to już bywa, że wysoka stawka nie zawsze idzie w parze z oczekiwanym poziomem". Tu bym przypomniała Argentyńczyków, którzy w swoim europejskim tournee bardziej bronią honoru i sławy niż liczą na apanaże, choć przecie za darmo nie grają. Ale jak grają...

Po meczu RUCHU z WIDZEWEM, który — jak wiadomo — zakończył się remisem, wszyscy zaczęli kalkulować. Jedni zgodnie z logiką uważają, że WIDZEW stracił już szanse na mistrzostwo. Inni natomiast twierdzą, że dopiero je zyskał, bo... RUCH musi przegrać. Dlaczego?

Pokalkulować warto, aby wiedzieć, co nas czeka. Kalkulować powinni też trenerzy, aby wiedzieć na jakie ewentualności przygotowywać sportowców. Nie można jednak poprzestawać tylko na kalkulacjach. A u nas tak się często dzieje. Dla wszystkich było już wiadomo, że polscy kolarze przegrali wyścig na trasie do Bańskiej Bystrzycy, ale niektórzy ciągle jeszcze mieli nadzieję i kalkulowali, że gdyby tak, to by tak, a gdyby tak, to by inaczej. Tylko, że wtedy gra już szła o dwa drugie miejsca: drużyny i Jana Jankiewicza. Ale Jan Jankiewicz walczył jednocześnie o koszulkę najaktywniejszego kolarza. A we wszelkich pouczających przypowieściach stara ciocia przestrzega, żeby nie łapać dwóch srok na raz i nie wkładać dwóch grzybów do barszczu. Na szczęście do czołówki dobił Krzysztof Sujka.

Nasi kolarze jechali rzeczywiście dobrze. Pracowali na wielu etapach za innych, namordowali się co najmniej za dwa wyścigi, tylko że zyski przypadły komu innemu. Im nasi więcej pracowali, tym inni coraz bardziej korzystali z okazji i poprawiali swoje wyniki. I wreszcie przyszedł przedostatni etap w Neubrandenburgu, kiedy wiadomo było, że tu wszystko jeszcze może się zdarzyć. I zdarzyło się. Ale, kiedy już było wiadomo, że straciliśmy drugie miejsce w klasyfikacji indywidualnej, kalkulatorzy jeszcze nie spasowali, liczyli, co musi się stać, aby Krzysztof Sujka mógł się utrzymać na drugim miejscu. Nikt jakoś nie wziął pod uwagę, że inni też liczyli i w wyniku tego rachunku musiało im wyjść, że trzeba tak pojechać, aby przed metą zablokować wszystkich Polaków, bo inaczej...

Kolarze radzieccy rozegrali wyścig na swoją korzyść w momencie najbardziej do tego sprzyjającym i to jest przykład właściwej kalkulacji. Nasi wysilali się, aby wygrać przez cały czas, podczas gdy drużyna radziecka już tylko broniła swojej pozycji. Ale mimo to polska drużyna osiągnęła w 32 Wyścigu Pokoju takie wyniki, jakich nie mieliśmy co najmniej od 4 lat. I to się liczy. Tylko, że teraz do głosu doszli kalkulatorzy i już obliczają, ile to medali przywieziemy z mistrzostw świata w Holandii. Doszli oni do wniosku, że najgroźniejszy konkurent Siergiej Suchoruczenkow jest kolarzem wieloetapowym, nie będzie więc groźny na szosie w Holandii, gdzie wszystko musi się rozegrać na jednym etapie. Zapominają, że kolarze radzieccy wygrali 32 WP też właściwie na jednym etapie.

Nie wystarczą więc tylko kalkulacje. Trzeba się do walki odpowiednio przygotować. Coś jak w tym starym dowcipie.

BOGDA MADEJ

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi — dyr. Piotr Sagan. Adres redakcji: ul. Mickiewicza 12, kod poczt. 90-438 Telefony 652 44 sekretariat i red naczelny 680-99, 677-70. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listono sze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" — dyr. Bogusław Kucab. Nr indeksu 26762. Zam. 1236. A-2.

Załącznik nr. 27/-/79

HASŁO NUMERU: Twoja krew, ich rumieniec

TO i TAMTO

Na szczęście

„Express Ilustrowany" doniósł, że już niedługo, a będziemy mieli **„AUTOBUSY I TRAMWAJE AUTOMATYCZNIE STEROWANE"**. Skóra mi ścierpła. Ale po lekturze „informacji własnej" łódzkiej popołudniówki okazało się, że tak będzie tylko w nowej zajezdni MPK powstającej przy ulicy Telefonicznej. Odetchnęliśmy. Na szczęście nie w całym mieście. To by dopiero był całagan. Jeszcze większy od tego, jaki już jest. A wydawałoby się, że większy już być nie może.

Bracia Słowacy też...

Moda na wydawanie instrukcji do najprostszych urządzeń, jak na przykład instrukcji posługiwania się długopisem, dotarła już do Braci Słowaków. W kioskach „RUCH" i w drogeriach można kupić bardzo dobry płyn do mycia naczyń: „PUR — SPECIAL". Do pojemnika z płynem dołączona jest instrukcja, która najpierw informuje, czym jest „PUR — SPECJAL":

„Bardzo skuteczny środek do zmywania naczyń, zawiera składniki łagodnie ozielające na skórę".

A następnie poucza, jak ten płyn używać:

„1 pełna łyżka (cca 10 g) na 10 l gorącej wody. Po umyciu naczyń nie optukać w pitnej wodzie".

Serdecznie dziękujemy Braciom Słowakom za jasną i prostą instrukcję, ale po polsku to może pisalibyśmy sami, albo najlepiej zrezygnować z instrukcji tam, gdzie są one zbędne. Szkoda papieru!

Powrót „Brutala"

Zanim rozpoczął się „JARMARK ŁÓDZKI", zaczytywaliśmy się w „Dzienniku Popularnym", jakie to — cytujemy — „kosmetyki dla dzieci" będzie można nabyć w drogeryjnym kiosku na zapleczu „Kaskady". Po powrocie z „Jarmarku" informujemy, że największym wzięciem cieszyła się w owym kiosku... woda kolońska „Brutal", która powróciła — jak widać zwycięska, bo nie przechrzczona i w dodatku ze znakiem pierwszej jakości — do grona najbardziej ekskluzywnych kosmetyków...

Rewelacja zza oceanu

W związku ze spodziewaną dalszą kurację odmładzającą w rodzinie „Odgłosów", nabyliśmy niedawno gustowny materacyk do łóżeczka dziecinnego (a 413 złotych). Uwagę naszą zwróciła metka, z której dowiedzieliśmy się, na jakiejż to dopiero rewelacji byczyć się będzie nasza pociecha. Jak bowiem informuje producent — materacyk ten został wykonany z... „trawy zamorskiej"... Ho, ho, ho!

Foto: R. Łucyszyn

BLISKIE SPOTKANIE pewnego rodzaju

Stanął przede mną i zadarł głowę. Odruchowo spojrzałem na zegarek, aby odpowiedzieć mu na pytanie: — Proszę pana, która teraz jest godzina? Ale on zapytał zupełnie inaczej.

— Proszę pana, czy pan nie wie, gdzie można kupić papierosy Marlboro"?

— Wiem — odpowiedziałem a on się ucieszył. — W Warszawie!

Był to głupi żart i zrobiło mi się bardzo żal chłopca.

— W śródmieściu — powiedziałem na pocieszenie — też można kupić papierosy „Marlboro", ale nie zawsze.

Trzymał w ręku dwie monety, 20 i 10 złotych i patrzył na mnie z nadzieją, że w końcu mu jednak powiem, gdzie te cholerne papierosy można kupić.

— Tatuś cię wysłał? — zapytałem.

— Nie, nasza pani

Szlag mnie już trafiał. Gdybym tak miał pod ręką tych z „RUCHU" od papierosów. A on zadzierał na mnie głowę i patrzył z nadzieją w niebieskich oczach.

— A może pan ma niepotrzebną paczkę „Marlboro"? Mógłby pan odsprzedać?

Wyjąłem pogniecioną paczkę „Rarytasów".

— Nie — powiedziałem. — Widzisz, ja palę „Rarytasy". Ale też ich nie można dostać. To już ostatnie.

Poszedł w stronę szkoły, ściskając w garści dwie monety. Był bardzo smutny. **M BORO**

Z ŻYCIA SFER

W BARZE I NA ŁAMACH

W warszawskim barze „Fawory" spotkali się przy bufecie red. Daniel Passent z „Polityki" i red. Ryszard Łukasiewicz ze „Sztandaru Młodych". Wypili — jak się przyznają — trzy szybkie i posprzeczali się. Pyskówkę z baru „Fawory" przenieśli później na łamy „Polityki" i „Sztandaru Młodych". I jak to w pyskówce mówili o wszystkim, pochodzeniu, rodzinie, opiniach, tylko nie o poglądach, o których miał się toczyć spór. Czytelnicy z przykrością obserwują, jak coraz gwałtowniej umiera u nas dyskusja, nikną polemiki, ustępując miejsca połajankom, jak argumenty zastępuje się inwektywami. Szkoda!

POETYCKA SPÓŁDZIELNIA PRACY „RADOSNA TWÓRCZOŚĆ" świadczy usługi dla ludności

Do Zarządu Spółdzielni wpłynęło podanie od naszego członka, **p. Andrzeja Krakowskiego**, przyjętego w poczet PSP w ubiegłym roku. Pan Krakowski pisze: **„Jako jeden z najstarszych stażem członków uprzejmie proszę o pomoc w załatwieniu pewnej, niezwykle delikatnej sprawy natury sercowej"**. Dalsza część podania przynosi prośbę o wydrukowanie wiersza dedykowanego pewnej pani, z którą to pana łączy autora podania **„jednostronny i na razie zupełnie bezinteresowny stosunek uczuciowy"** (cytat!). Zważywszy dramatyzm podania, Zarząd Spółdzielni postanowił — w myśl swych założeń — wyświadczyć i tę usługę. Pod jednym wszakże warunkiem: że w razie pozytywnego załatwienia w.w. sprawy Prezes PSP zaproszony zostanie na świadka.

PREZES

WIERSZ ZAKOCHANEGO ODBIJACZA DRUKÓW DO PRZEPIĘKNEJ LINOTYPISTKI

Tak w kwiaty chciałbym Cię przemienić,
Ubzdurowić, wyzłocienić,
Potem na łąkę iść, gdzie rośniesz
I rwać radośnie.
Tak chciałbym, żebyś była ptakiem —
Jaskółką albo małym szpakiem.
A ja bym w lesie, w którym latasz
W sidła Cię złapał.
Tak pragnę, żebyś była moja.
Szczęśliwa w słońcu i powojach.
Bom odbił w sercu mym rozdartym
Druk z Twojej szpalty

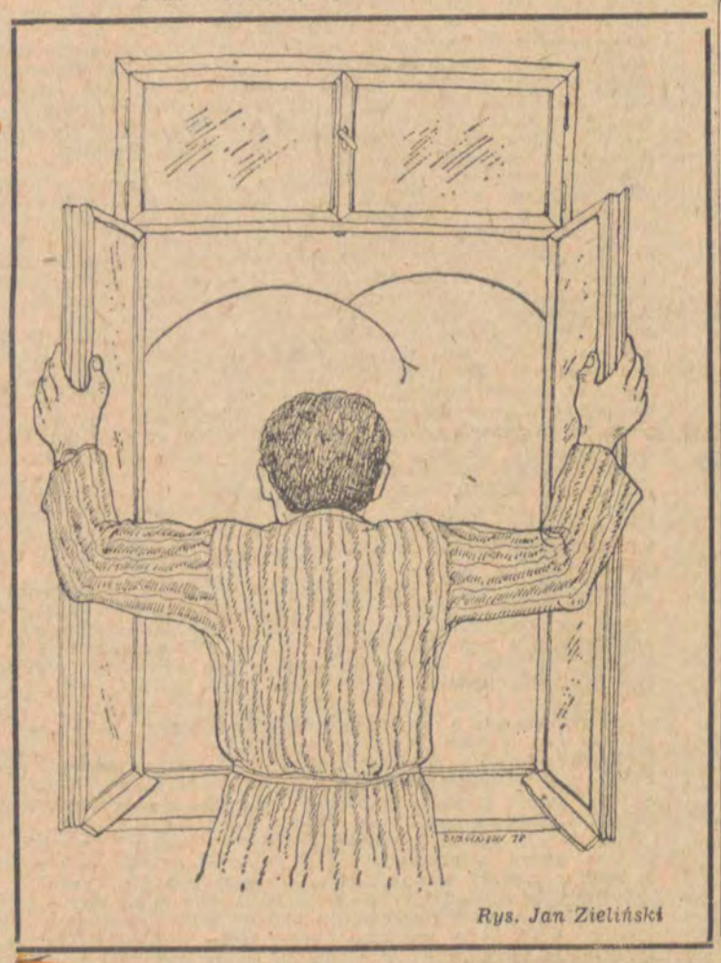

Rys. Jan Zieliński

wydawnictwa artystyczne i filmowe projekt planu '79

Reprodukowany wyżej w naturalnych wymiarach katalog Wydawnictw Artystycznych i Filmowych nosi ostrożny tytuł „projekt planu '79". Sądząc po rozmiarach katalogu można myśleć, że Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe nie mają co i na czym wydawać. Aliści jest to pogląd błędny. Katalog mimo swoich miniaturowych wymiarów, zapowiada 87 pozycji o filmie teatrze, telewizji, sztuce. Dużo to, czy mało? Po skrupulatnym przeliczeniu okazało się, że 1,5 książki tygodniowo. Nie jest to wcale mało, choć chcielibyśmy coraz więcej ciekawych książek w coraz większych nakładach.

Ale pomysł katalogu w miniaturze bardzo nam się podoba. Przy obecnych kłopotach z papierem jest to pomysł bardzo pożyteczny. Popieramy i polecamy do naśladowania.

POPIERAMY!

Taki oto znak widnieje na ulicy Sienkiewicza, tuż przed skrzyżowaniem z ulicą Moniuszki Malucha z rzędem temu, kto wytłumaczy, o co chodzi.

1. Czy znak w ogóle nie dotyczy pojazdów „gospodarczych", a innych dotyczy tylko w godz. 19.00—11.00?

2. Czy też pojazdy „gospodarcze" mogą skręcać tylko w godz. 19.00—11.00 a innym nie wolno skręcać w ogóle.

Ktoś kto jedzie pojazdem nie „gospodarczym" i wybiera wariant I, tzn. skręca w prawo w godz. 11.00—19.00 napotyka na ul. Moniuszki, tuż za skrzyżowaniem „zakaz ruchu wszelkich pojazdów", a tuż za znakiem — funkcjonariuszy MO (numery służbowe znane Redakcji!), którzy, wiadomo...

Dla nas jest to klasyczny przykład bełkotu informacyjnego. Wystawiono te znaki z okazji zmian w ruchu spowodowanych „Jarmarkiem Łódzkim". Podejrzewamy, że ktoś przy tej okazji upłynnia remanenty oznakowania.

S. KAZANY

JARMARK ZNAKÓW

Foto: R. Łucyszyn

Sytuacja jest taka. Rankiem, 12 bm., kupiłem na Dworcu PKS Łódź Fabryczna bilety na autobus odjeżdżający o godz. 17.30 w kierunku Tomaszowa Maz.

Kiedy ponownie przybyłem na dworzec, okazało się, że kurs został odwołany. Poszedłem do kasy (nr 1) po odbiór pieniędzy, ale tam już pieklił się tłum pasażerów, także z innych odwołanych autobusów. Po upewnieniu się, że pieniądze mogę odebrać kiedy indziej (czas naglił), pojechałem innym środkiem lokomocji.

Tu zrezygnowałem. Nie ukrywam, że już trzy razy byłem na dworcu w sprawie wyjazdu, który się nie odbył, to mam chodzić po raz czwarty — Co robić? Czy ktoś mi odda pieniądze zaanektowane przez PKS?".

(nazwisko itd. znane Redakcji)

Odpowiedź ad 1 Co robić? — Popukać się w czoło. Któż to teraz jeździ autobusami, które, jak wiadomo, wraz z wiosną odlatują do zimnych krajów.

ad 2 Nie sądzimy, aby Pan odzyskał cokolwiek. Jak wiadomo, PKS przeżywa ogólne trudności i pieniądze są jej potrzebne, choćby na premie dla pracowników, takich np. jak kasjerka, dyżurny ruchu czy dyrektor. W związku z tym uruchamia się kursy po to, aby je odwołać co jest korzystne, bo pasażerowie płacą a autobusy się nie niszczą i nie spalają benzyny. Przeciwdziała się w ten sposób kryzysowi energetycznemu, który — jak powinno być Panu wiadomo — nęka cały świat, w tym i PKS.

Zatem, jak się już pan puknie w czoło, to machnij Pan ręką, bo o to właśnie PKS chodzi.

C.YNIK

PORADY NIEPRAWNE

Po powrocie do Łodzi, 25 bm., zgłosiłem się po pieniądze, jak po swoje. A tu kasjerka puka się w czoło i kieruje mnie do dyżurnego ruchu. A tam pani dyżurna także się puka, wypytuje co tak późno, wyraża masę wątpliwości i proponuje, abym porozmawiał z kierownikiem następnego dnia.

PEŁNY LUZ PEŁEN RELAKS

Foto: L. Włodkowski

GEORGE KHATARAS

Z LIMERYKÓW

I DAŁ GO

Wciąż pewien z Madrytu hidalgo
Obżerał się marmoladą.
Aż zagroził mu srogi tatulo
Że odda go pszczołom do ula.
Jak zagroził, tak zrobił. I dał go.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

WIELKA PCHŁA

MINI POWIEŚĆ O!?

ODCINEK 6.

Pani Celinka szła do pokoju naczelnika, a w kinie „Zwycięstwo" szła najnowsza polska komedia „Mama się rypła, kochanie". Na sali oprócz bileterki było około dziesięciu osób, z czego trzy w ostatnim rzędzie śmiały się bardzo głośno. To Gzyms opowiadał kawały kolegom.

— Nakiciał mu w lemiesz aż puzdro zećpało na blic — mówił, więc chłopaki ryli ze śmiechu, chociaż wiedzieli, że to nic nie znaczy. — Ale sznuruje! — zachwycał się Kapiszon, najmłodszy w tym gronie. Miał trzydzieści lat i trzecią żonę, z drugą spotykał się czasem w przedpokoju, bo mieszkali w tym samym rozwojowym M-2. Pierwszej wysyłał uczciwie co miesiąc pięćdziesiąt złotych na wychowanie bliźniaków, niech wiedzą że mają ojca.

Niestety, nie każdy może być najmłodszy. Toteż Torpedzie przeświecały już pojedyncze srebrne nitki przez gąszcz brodo-wąsobokobrodów, a jeśli głowa mu nie zaczęła siwieć, to tylko dlatego, że jeszcze w zasadniczej zawodowej wyłysiał. To była szkoła przetrwórstwa jajczarskiego, wstyd się przyznać. Torpeda też śmiał się z dowcipów Gzymsa, ale zaraz potem, gdy bohater filmu zniechęcony do życia przebił sobie gardło widelcem w pędzącym samochodzie, spoważniał nagle i trzepnął Kapiszona w kolano.

— Spust! — powiedział krótko i węzłowato. — Przestań się pan wachlować, co?

Starszemu panu siedzącemu przed nimi ręka ze złożonym w pół „Ekspresem" zamarła w pół gestu. Młodzież ma prawo do rozrywki, cóż stąd, że duszno? Wentylatorów opuścić nie można, bo a nuż zaczną iskrzyć, a wyjścia awaryjne zamknięte. Jedna bileterka nie upilnuje sześciu drzwi, są tacy, proszę państwa, co udają że wychodzą z kina a oni właśnie wchodzą i konsumują sztukę za darmo. Nikt nie chce iść na bileterkę, nawet na filmy z gołymi babkami nikt na lewo biletów nie kupuje, z czego żyć?

Więc nie można otworzyć drzwi, a także nie można włączyć wentylatorów. „Ekspres" może by pomógł, zawsze trochę wiaterku, ale jak młodzież mówi żeby przestać to nie żarty. Starszy pan osunął się niżej w krześle, kurczył się uprzejmie i kurczył, aż usnął gdzieś blisko podłogi, zasłanej pachnącą pomarańczową skórką. Nic już nie przeszkadzało naradzie młodych konspiratorów.

Gdy wychodzili mrużąc oczy na pełną słońca ulicę, wiedzieli już, że trzeba coś zrobić. Stanęli wśród tłumu czekających na tramwaj, nie wiedząc że przystanek przeniesiono na przeciwległy róg. Zresztą motorniczy też nie wiedział i zatrzymał wagon ze zgrzytem hamulców, aż na drugim piętrze przekrzywiły się „Słoneczniki" Van Gogha, a z tapczanu wyfrunął samotny złoty mól. Torpeda nadepnął inwalidzie na odcisk i

Dalszy ciąg nastąpi